

fobia

Dawid Kain



GENIUS
CREATIONS

Spis treści

Część I Przesunięcie ku czerwieni

Lęki

Fragment 1: Tracheotomia divina

Dziewiąta jeszcze mnie nie przeraża

Fragment 2: Pierwszy dzień w nowym świecie

Czy ta dziewczyna jest mną?

Fragment 3: Ekran wszystkich krajów, łączcie się

Próba kontaktu

Fragment 4: Utrata orientacji

Pudełko pełne niczego

Część II Słowa kluczowe

Fragment 5: Afobian

Ukryte zapiski

Fragment 6: Przeczucie kresu

Immersja

Fragment 7: Jaskrawość

Witaj, świecie

Fragment 8: Spotkanie po latach

Część III Poświęcenie

Coraz bliżej

Fragment 9: Zanim to przyjdzie

Oko cyklonu

Fragment 10: Nie taki strach straszny...

Dawid Kain

Część I

Przesunięcie ku czerwieni

*Musi być miejsce środkowe, między abstrakcją
i zdziecinnieniem, żeby można było rozmawiać
poważnie o rzeczach naprawdę poważnych.*

Czesław Miłosz, *Traktat teologiczny*
„Tygodnik Powszechny” 2001, nr 11-12 [60-61]

Lęki

Wczoraj w nocy zaginał mój ojciec.

Choć może „zaginał” to nie jest odpowiednie słowo, lepiej powiedzieć: zniknął. Bo niby jak miałby się zgubić w pokoju cztery metry na cztery? Pewnie dałby radę ukryć się pod łóżkiem albo między biurkiem a regałem z książkami, ale ojciec nie zaczął nagle bawić się ze mną w chowanego. W ostatnich latach okropnie zdziwaczał, to prawda, jednak nie zdzięcinniał.

Nie ma go w jego pokoju.

Nie ma go w całym mieszkaniu.

Nie wyszedł na zewnątrz. Od lat nie wychodził nawet na klatkę schodową, wiem to na pewno. Rano zastałam jego pokój zamknięty od środka, jak zawsze. Zapukałam, czekając cierpliwie, aż zwlecze się z łóżka. Przywitałabym go z uśmiechem, nie licząc na wzajemność. Nawet jeśliby odpowiedział, bardziej przypominałaby to nerwowe warknięcie niż radosne „dzień dobry”. Popatrzyłabym w te jego smutne, wiecznie podkrążone oczy, mimo wszystko starając się nie załamywać. Potem zjedlibyśmy razem śniadanie, nie rozmawiając ze sobą, bo już nie potrafimy. Dla uspokojenia liczyłabym zmarszczki na jego twarzy, plamy wątrobowe na żylastych, trzęsących się dłoniach, okruszki na talerzu i na stole. Słuchałabym jego powolnego oddechu, odgłosów przełykania i miarowych sapnięć, łyżki dzwoniącej o szkło, noża zgrzytającego przy każdym starciu z porcelaną. Po wszystkim ojciec otarłby usta serwetką, wstał chwiejnie i wrócił do siebie. Zatrzasnąłby drzwi, przekręcił klucz. Dwa szczęknięcia, przerwa, potem jeszcze jedno. Żadnych kart, pasków na nadgarstek, zabezpieczeń biometrycznych, żadnych chipów – jedynie „stara, pewna stal klucza”, jak się upierał, gdy jeszcze miał siłę się upierać. Szuranie pantofli i coraz cichszy jęk łóżka pod coraz chudszy ciałem ojca... Tylko że tego dnia nic się nie zgadzało. Nie odpowiedział. Nie otworzył. Nie popatrzył na mnie tak, jakbym była zupełnie przezroczyista.

Zapukałam raz jeszcze.

Dalej nic.

Raczej nie spał, bo przez ostatnie tygodnie nie sypiał właściwie wcale. Miał inne zajęcia, w jego mniemaniu ciekawsze niż spanie.

Wołając go, zapukałam znowu.

I znowu.

Pukałam, aż rozboleła mnie ręka, kłykcie zaczęły pulsować tępo.

– Ojczy! – krzyczałam tak długo, aż głos zaczął mi się łamać.

Nic. Zupełnie nic.

Zakryłam dłonią usta.

Umarł?

Pomyślałam, że umarł.

Pomyślałam tak, chociaż nie powinnam tak myśleć.

Ojciec umarł. Nie żyje. Leży martwy na łóżku, w swoim zamkniętym na klucz pokoju. Nie oddycha i nie jest. W ogóle go już w nim samym nie ma.

Co teraz?

Lęk uderzył z nokautującą siłą.

Twarcz momentalnie zdrętwiała, załomotało w skroniach.

Przycisnęłam plecy do ściany, z trudem łapiąc oddech. Wszystko przechyliło się pod niewyobrażalnym kątem, przed oczami zawisł rój czarnych plam. Przedmioty wokół w jednej chwili robiły się płaskie, by w drugiej nabrać głębi. Ich cienie rosły, przekreślając wszystko na swojej drodze.

W uszach dudniła krew. Usta miałam otwarte, spazmatycznie próbując wciągnąć w płuca powietrze. Ale najgorsze było to, że nie bałam się wcale prawdopodobnej śmierci mojego ojca. Nie był to ten znany każdemu lęk przez utratą bliskiej osoby. Mnie ogarnął strach przed tym, czym jest – czym może być – sama śmierć. Abstrakcyjne pojęcie. Pustka w miejsce czegoś. Nagły brak. Nic, niemieszczące się w swej nazwie. Najstraszniejsza straszność.

Nie, nie, nie mogę zastanawiać się nad takimi sprawami. W ogóle nie powinnam o tym rozmyślać. Ani o niczym w jakimkolwiek stopniu dziwnym i niewyjaśnialnym.

Powietrza. Teraz trzeba mi tylko powietrza...

Świat wciąż tańczył dziko i groźnie, ja podpierałam ścianę. Powoli osuwałam się na podłogę, aż w końcu usiadłam. Pokój za drzwiami w mojej wyobraźni stał się czarnym sześcianem, rosnącym z każdym uderzeniem serca.

Nie myśleć o tym. O niczym. Przestać. Po prostu przestać. W mózgu załadować wygaszacz ekranu, odwrócić wzrok, nie patrzeć, potem odłączyć wtyczkę od własnej głowy, wyszarpnąć z gniazdka, odciąć zasilanie.

W skroniach dudniło, nie przestawało.

Oddychałam przez nos, coraz szybciej i bardziej łapczywie. Tak było łatwiej, nie dławiałam się już powietrzem, jakby wypluta na brzeg z ciemnych

odmętów.

Szczęki przeszył potworny skurcz, nie byłam więc w stanie nawet otworzyć ust.

Czarny sześcian, w którym nie ma nikogo, niczego. Coraz większy.

Nie...

Przestać. Odłączyć się, odciąć.

Wiedziałam, że panika za chwilę minie. Ale to wcale mnie nie uspokajało. Każda minuta ciągnęła się bez końca.

Nie ma ojca, nie ma ojca, nie ma ojca.

Stop. Nie myśl już o tym, Magda. To nieważne. Udawaj, że wszystko jest jak zawsze. Każda rzecz dokładnie na swoim miejscu.

Przysunęłam kolana pod brodę i wtuliłam w nie głowę, zakrywając uszy dłońmi. Jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, a żadnego z rodziców nie było w zasięgu objęcia. Stare metody bywają najskuteczniejsze.

To zaraz przejdzie. Tylko już nie myśl, nie myśl, nie myśl...



Cierpię na jedną z odmian batofobii – lęku przed głębią. Boję się wszystkiego, co jest czymś więcej niż powierzchnią. Dla mojego dobra cały świat powinien być płytki, płaski, jasny i zrozumiały. Inny byłby zbyt potworny do zniesienia. I mógłby mnie nawet zabić.



Rozmasowałam zdrętwiałe policzki. Przez nos nabrałam powietrza, a potem

powoli wypuściłam je przez zaciśnięte zęby. Robiłam tak raz za razem, aż udało mi się odkleić plecy od ściany i wstać.

Otworzyłam pokój zapasowym kluczem. Ojciec zamykał się każdej nocy. Za dnia też, jeśli akurat pracował. Nikt – czyli ja – nie mógł mu przeszkadzać. Zajmował się przecież bardzo ważnymi sprawami. Sam tak mówił, jeśli w ogóle mówił.

Przed laty ojciec był popularnym pisarzem. Wydał osiem powieści. Miały spore nakłady, zarabiał przyzwoite jak na autora beletrystyki pieniądze, zyskał mnóstwo wiernych czytelników. Później niespodziewanie doszedł do wniosku, że nie będzie już pisać dla niczyjej rozrywki, że wreszcie stworzy coś „poważnego, istotnego, kluczowego”. Taka miała być jego dziewiąta, najlepsza i najambitniejsza powieść. Nigdy jej nie ukończył. Od ponad dekady nie wydał niczego. W euforii łamanej rozpaczą wciąż zaczynał kolejne literackie projekty i natychmiast je porzucał. Miotał się, brakowało mu słów do pełnego wyrażenia siebie. Jego zdaniem to nie była tymczasowa blokada, tylko coś znacznie większego, przepaść nie do przeskoczenia, trwałe niezadowolenie z efektów podejmowanych starań. Sześć lat temu zaczął całkowicie tracić łączność z rzeczywistością. Przestał płacić rachunki, robić zakupy, nawet kontaktować się ze mną. Wszystko przestał.

Musiałam więc znowu z nim zamieszkać. Przerwać studia prawnicze ledwie na drugim roku i zająć się każdą sprawą, do której nie miał głowy – czyli wszystkim.

Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat. Myślałam, że życie przede mną.

Boję się bardzo wielu rzeczy. Z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej. Umysłowo cofnęłam się już w rozwoju do wczesnej nastoletniości. Objawy choroby ostatnio poważnie się nasiliły, więc od pół roku nie jestem nawet w stanie wychodzić z mieszkania.

Co tu ukrywać: jestem chora psychicznie. Jednocześnie opiekuję się chorym psychicznie ojcem. Nie mogę dopuścić, żeby trafił do zakładu. On by tego nie przeżył, a ja bym sobie nie wybaczyła. Dlatego muszę ukrywać swój stan. Opiekunem osoby niepoczytalnej nie może przecież być inna osoba niepoczytalna. Nie odwiedzam więc lekarzy, nie kupuję leków, nie uczestniczę w terapiach. Na batofobię i tak nie wynaleziono jeszcze w pełni skutecznego środka. Nie ma terapii, która chociaż połowie pacjentów mogłaby zagwarantować przełom. To najtrudniejsza do wyleczenia odmiana fobii.

Mieszkam więc z moim ojcem w małym, dwupokojowym, czterdziestometrowym domu wariatów. Teraz ojciec zniknął. Zostałam sama.



– Ojczy?

Niepotrzebnie pytałam. Widziałam przecież na własne oczy, że w pokoju jest pusto. Łóżko pościelone, okno zamknięte. Nikt nie patrzył na mnie mętym, jakby rozregulowanym wzrokiem.

Mimo że był dzień, musiałam zapalić światło. Ojciec zamalował szybę czarną farbą – zrobił to zresztą już dawno, kiedy jeszcze byłam pełną entuzjazmu studentką, zdającą logikę bezbłędnie już przy pierwszym podejściu. Potem z zapalem tłumaczył mi, że „tam przecież nic nie ma”. Mówiąc „tam”, miał na myśli „na zewnątrz”. Mówiąc „tam”, miał na myśli świat i wszystkich jego lokatorów. Trudno było mi to pojąć, choć wtedy większość zagadnień łapałam w lot.

Zrobiłam parę niepewnych kroków naprzód, skanując wzrokiem otoczenie. Jego klucze od mieszkania – razem z kluczem od tego pokoju – leżały na szafce przy wąskim łóżku.

To nie wyglądało na dowcip. Ojca nie było pod łóżkiem ani za biurkiem, a tylko w tych dwóch miejscach mógłby się ukryć. W pokoju panował taki porządek, jakby czekał na przyjazd długo wyczekiwanego gościa.

Okno, jak już mówiłam, było szczelnie zamknięte, więc ojciec nie wyskoczył – o tyle dobrze. Opuścił nasz mały dwuosobowy świat w jakiś inny, niewyobrażalny jeszcze dla mnie sposób. Dokąd i jaką metodą mógł się ewakuować?

Rozglądałam się uważnie. Najmniejszy szczegół mógł mieć teraz decydujące znaczenie. Musiałam przyjrzeć się każdemu z szesnastu metrów kwadratowych okiem detektywa: zniszczonym meblom z pierwszej dekady tego stulecia, staremu skrzypiącemu fotelowi (spod poprzecieranej czarnej skóry szczyrzyła się żółta gąbka), regałowi niemal zgarbionemu pod ciężarem kilkuset grubych ksiąg, wertowanych przez ojca z chorobliwą regularnością. Nieraz przed zaśnięciem słyszałam szelest kartek, dziwiąc się, że w tych czasach

ktokolwiek jeszcze bawi się papierem. Podłoga wydawała się czysta. Raz w tygodniu zmuszałam ojca, by pozwolił mi tu posprzątać, na co niechętnie się godził, obserwując każdy mój ruch, jakbym miała zamiar go okraść.

Co się tu zmieniło od wczoraj?

Stojący przy biurku archaiczny komputer stacjonarny był wyłączony. Monitor też. Na blacie leżał stos kartek. Wcześniej go nie było! Rzuciłam się na niego, potykając się o własne nogi. Zerknęłam na pierwszą z brzegu. W prawy górny róg tkwiła mała cyfra dziewięć. Wzięłam do ręki kolejną.

Kres komunikacji

To wyglądało jak tytuł, ale mogło być wszystkim.

Następna strona była pusta, ale na dalszej ujrzałam ułożony z liter kwadrat:

d z i e w i ą t a
z r a n a w o m t
i o z o n a e e ą
e b x w z m n ł i
w i t o i t o i w
i ł z y n w s b e
ą e e o n a z o i
t m o w a n a r z
a t ą i w e i z d

Poniżej zapisane kursywą inicjały ojca: *D.K.*

To mógł być fragment jego nowej powieści, pomyślałam w przypiływie najgłępszej, najpłytszej nadziei.

Nowy początek albo zwykły bełkot. Choć te dwie opcje tak naprawdę wcale nie muszą się wykluczać.

Wiedziałam teraz tylko jedno – ojciec zniknął. Ale jego szaleństwo zostało ze mną.

Fragment 1: Tracheotomia divina

– Jeszcze jedno pytanie: czy w twojej głowie jest w ogóle miejsce dla kogokolwiek poza tobą?

Uśmiechała się szeroko. Wiedziała, że nie odpowiem.

Natalia. Aktoreczka trzecich planów, we własnym mniemaniu boleśnie pierwszoplanowa. Zgrabne, kształtne i ładne – chociaż najczęściej nieme – tło w ekranizacjach lektur, które czytają tylko przedwcześnie zdziadziali reżyserzy bez pomysłu i talentu. Znana z tego, że jest znana i przez to znana coraz bardziej. Kiedyś pewnie osiągnie pełnię boskości, rozwinie anielskie skrzydła, odleci do Hollywood i będzie reklamowała tampony, puszczając do plebsu oko z okładek prasy brukowej.

Mierzyła mnie wzrokiem, myśląc pewnie o tym, o ileż lepsza jest ode mnie, jakież to szczęście urodzić się nią, oddychać jej piersią, dźwigać na karku jej czerep i mieć jej problemy. Szczęrzyła się coraz szerzej i w jednej chwili z kobiety, którą kocham... kochałem, przeistoczyła się w żywą reklamę produktów niezbędnych do osiągnięcia takiego stanu uzębienia: elektrycznej szczoteczki za jakieś dziewięć stów (czterdzieści tysięcy obrotów na minutę, dźwięki pieszczące ultradźwiękiem), pasty z drobinami diamentów i pereł, a do przepłukiwania tylko oryginalnej wody deszczowej z Tasmanii, wyłącznie w szklanej butelce.

– Tak też myślałam – sama sobie odpowiedziała i wstała, krokiem ćwiczonym od dziecka schodząc ze sceny, którą dziś była akurat ta nietania kawiarnia w centrum, gdzie nasz związek rozbił się na dwie latte z cynamonem i parę gorzkich podsumowań, choć podobno wcześniej bywało nie najgorzej.

Wychodziła powoli, jakby każdym stuknięciem obcasa w posadzkę chciała postawić kropkę, po której nie będę w stanie już nic dodać.

Natalia. Obiekt mojego uwielbienia od tyłu długich miesięcy. Drobną, śliczną i pełną uroku – chociaż potrafiącą też ujmująco posługiwać się ironią – szybko stała się centralnym punktem mojego dotąd pustego i smutnego świata. Niemal w każdej chwili moje myśli orbitowały właśnie wokół Natalii, mimo że kiedy już mnie czymś zdenerwowała – a potrafiła wyprowadzać z równowagi jak żadna inna – dostrzegałem w niej ledwie parodię tego, kim pragnęła zostać.

Czasami odnosiłem nawet wrażenie, że robi to celowo, że bawi się mną, raz grając wyrachowaną jędzę, raz skrzywdzone przez los niewiniątko, ale prędko dochodziłem do wniosku, że taka po prostu jest. Marzy, by z impetem wdzierać się w umysły i serca (jak przystało na charyzmatyczną gwiazdę), a z drugiej strony pozostać tym wrażliwym, trochę bojącym się świata stworzeniem, mającym mnóstwo wątpliwości i niską samoocenę. Nie była wszak jedyną znaną mi osobą, która w napięciu godnym spraw ostatecznych odświeżała w telefonie strony przeglądarek, licząc otrzymane plusy oraz lajki, i jednocześnie z drżeniem czekając na kolejne, bo akceptacji i samopotwierzeń zawsze musi być więcej. Tak to już jest. Choćby i cały przeklęty świat z naszego powodu wiwatował i otwierał szampana, myśl, że jesteśmy gównem warci, wciąż nie będzie nam chciała wyparować z głowy. Przecież i mnie nieraz trudno było się nie skrzywić na widok własnej gęby w lustrze.

Naprawdę kochałem Natalię, więc próbowałem jej pomóc. Sam też starałem się nauczyć przebojowości, nie zostawać już na wieki tym skończonym pierdołą, któremu wszystko zawsze wypadło z rąk, w szczególności własny los. Przy niej poczułem się wreszcie kimś wartościowym. Szkoda tylko, że w tej właśnie chwili to poczucie zmierzało w stronę drzwi, zostawiając mnie w tyle.

Natalia wychodziła, a ja nie wiedziałem, co robić. Nie byłem pewien, czy to się teraz dzieje, czy za moment ktoś nie krzyknie „cięcie!”, czy nie rozstąpią się ściany lokalu, a spomiędzy nich w blasku reflektorów nie wyłoni się reżyser z uniesionym w górę kciukiem i słowami: „Adam, było naprawdę super”.

Zerwałem się z miejsca, chcąc powiedzieć cokolwiek. Zwyczywać ją bez litości albo chociaż przekonać, że na tym świecie nigdy lepszego ode mnie nie spotka. Nie byłem jednak w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Nie mogłem też oddychać.

Karmelowy cukierek. Oto winowajca. Karmelowy cukierek, który nagle przyjął w moim gardle pozycję horyzontalną. Nie mogłem go przełknąć ani wypluć i w chwili, kiedy powinienem błysnąć frazą, która porazi wszystkich wokół, stałem w niemym osłupieniu. Świat wokół zafalował wściekle. Raz po raz robiło mi się ciemno przed oczami jak po oślepiającym błysku flesza.

Stawiając krok w niewiadomym kierunku, zahaczyłem nogą o stół. Chciałem powiedzieć: „Kocham cię, maleńka! Lećmy do Peru i róbmy dzieci w tamtejszych kniejach, skropieni równikowym deszczem!”. Chciałem wrzasnąć: „Wracaj, do kurwy nędzy, dziś każdy miał płacić za siebie!”. Chciałem załkać: „Jesteśmy zgubieni. Jak pierdolnie kometa, nie będzie co zbierać”. Choć wiedziałem przecież, że od najbliższej komety dzielą nas lata świetlne.

Wokół robiło się coraz ciemniej, jakby nawet czern miała odcienie. Brnąłem przed siebie, wyrzucając ramiona naprzód w jakimś opętańczym kraulu, usta rozdziawione, oczy wytrzeszczone, żyły na szyi nabrzmiące, świat przeobrażony w ciemną, niepojętą topiel. Wszystko gęstniało, nabierając głębi.

To już sam skraj, niczego więcej nie będzie.

Nadszedł właśnie absurdalny epilog moich perypetii. Tak to się skończy, nie hukami i nawet nie skomleniami, tylko pocałowaniem na pożegnanie kawiarnianej podłogi.

A potem wyfrunę z ciała prosto w objęcia aniołów i świętych. Wreszcie zajrzę Pannie Rzeczywistości pod sukienkę i dowiem się, o co mogło w tym wszystkim chodzić. Tak to się potoczy, a jutro parę osób będzie miało nieczęstą bekę, czytając w sieci o kolesiu zamordowanym przez cukierka...

Kiedyś dużo rozmyślałem o śmierci, ale własnej nigdy nie wyobrażałem sobie w aż tak idiotyczny sposób. To miał być raczej strzał lasera podczas międzygwiazdnej wojny, w której bohaterstwo stanąłem po właściwej stronie. Albo oddanie serca na przeszczep dla Najpiękniejszej Kobiety W Dziejach, zarazem matki moich dzieci. Coś wielkiego i budzącego zasłużony respekt. Nie żadne karmelowe gówno.

Teraz to już nieistotne, tak czy inaczej mój czas się kończy.

Leciałem bezwładnie do przodu, aż rozległo się mięsiste plaśnięcie i poczułem, że właśnie wypluwam duszę. Lecz w ostatnim przebłysku świadomości wszystko nagle stało się jasne, banalne i niskobudżetowe – otworzyłem oczy: ośliniony cukierek leżał przede mną na białej podłodze, co było jak negatyw światełka w tunelu.

Ciało wygięło mi się w łuk, ból przemknął od czaszki po najniższe kręgi niczym pęk błyskawic, a ja wyskoczyłem z siebie, mały jak bakteria.

I wtedy ta moja mikroskopijna, grosza ani eurocenta nie warta duszeńka...

...nie wiedzieć czemu, podryfowała w kierunku cukierka.



– Słyszysz mnie pan?

Znów ból. Otworzyłem oczy. Gdzie byłem? Tkwiałem gdzieś w czerni, w jakimś państwie podziemnym, gdzie światło sprzedaje się jedynie ciężko

chorym i wyłącznie na receptę.

– Widzi mnie pan?

Słowa dobiegały z zewnątrz, przebijając się do mnie jak pojedyncze promienie przez grubą, lepłą powłokę. Miejscami ta powłoka zaczynała pękać i wyłaniały się spod niej znajome kształty: stoliki i krzesła, i jakieś twarze.

– Ile pokazuję palców?

Kształt bladego pajaka okazał się czyjąś dłonią.

– Pięść? – odpowiedziałem niewyraźnie, gdyż mój język w tym momencie był jeszcze ciałem obcym.

Resztki ciemności w szybkim tempie wyparowały z pola widzenia, ich widmo opuściło ludzi i rzeczy, odpływając w jakąś drugą przestrzeń i pozostawiając w zamian całą trywialność tej kawiarni, zdziwione gęby, nieustępliwie wgapione we mnie oczy, słowa tętniące uzasadnionym niepokojem.

– A teraz?

Starłem się skupić wzrok na dłoni nieznajomego, co nie było łatwe, bo widziałem podwójnie lub potrójnie, jego palce wydłużały się i plątały.

– Trzy – odpowiedziałem.

Nie usłyszałem potwierdzenia ani zaprzeczenia, co wzięłem za niegorszy omen. Mężczyzna nagle odsunął się ode mnie.

– Witamy z powrotem wśród żywych – rzekł, ale głos dotarł do mnie z opóźnieniem; najpierw widziałem tylko poruszające się wargi, a dopiero później rozbrzmiał dźwięk.

– Co się stało? – spytałem.

Pamięć ograniczała się do kilku obrazów. Jakaś kobieta siedziała tu ze mną. Standardowa sceneria: pełna klientów kawiarnia – tło dramatu, który spadł na mnie z nienacką. To pytanie: „Czy w twojej głowie jest w ogóle miejsce dla kogokolwiek poza tobą?”. Nie mogłem tego pojąć. W mojej głowie jest przecież mnóstwo miejsca, pełno wolnej przestrzeni na ludzi i rzeczy, na sprawy drobne i ważne. Gdyż moja głowa jest doszczętnie pusta. Może raz na jakiś czas zagości mi po czaszką jakaś niespecjalnie odkrywczą myśl, brodzący w mroku robaczek świętojański, ale nie stawiałbym na to wypłaty. Miejsce zawsze się znajdzie. Szczególnie dla ciebie, Natalio. Szkoda tylko, że ta odpowiedź już do ciebie nie dotrze. Jestem debilem i ciężkim frajerem. Nie mam już nikogo i niczego, nawet nadziei. Mogę się co najwyżej iść gdzieś najebać.

– Pan się potknął i upadł. Nie wyglądało to zbyt dobrze.

Mężczyzna pomógł mi wstać, co musiało wyglądać wręcz kabaretowo, jak

próba rozprostowania akordeonu. Nogi miałem miękkie i nadal niestrudzenie skłaniałem się ku opcji leżenia ryjem na podłodze.

Wodziłem wzrokiem naokoło, mrużąc obolałe oczy. Nikt się nie śmiał? Myślałem, że wszyscy będą.

Ała. Kurwa. Dotknąłem palcami głowy. Bolało. Ale nie wyczułem krwi, więc mogło być znacznie gorzej, mógł być ostateczny nokaut i ręcznik rzucony na ring przez samego staruszka Boga.

Dopiero teraz ktoś wybuchnął nerwowym śmiechem. Jakaś kobieta. Znałem ją? Raczej nie. Pod białą sukienką w czarne kropki kołysały się pełne piersi. Zasłoniła usta dłonią. Ktoś inny ją uciszał, ale brzmiało to kuriozalnie, jak spowiedź transmitowana w stereo, uszlachetniona szumami.

– Mam wezwać pogotowie?

Zaraz. Co? O co mu chodziło? Najpierw kazał mi liczyć palce, jakby sam nie był pewien, ile mu ich wyrosło, a teraz sugerował czołowe zderzenie z polską służbą zdrowia?

– Nie, nie. Jest już całkiem... świetnie – odpowiedziałem, machając zbywająco ręką.

Kłamstwo. Świetnie nie było. Nie było nawet w normie. Rzeczywistość cała w rysach i pęknięciach, moje ciało sklecone naprędce z tysiąca niedopasowanych elementów. Określenia „znowu singiel” i „zerwała ze mną” niczym salwy śliny w twarz, raz po raz. I jeszcze chciało mi się rzygać.

Wzrokiem szukałem drogi ucieczki. Ludzie rozmawiali. Jedli ciastka. Pili kawę. Biała mleczna pianka na wargach, nadgryzione muffinki, ukruszone herbatniki. Biały szum absolutnej normalności. Tak, było zwyczajnie. Dla nich. Ich świat nie wypadł z formy. Ale mój tak. Czegóż w nim brakowało, któregoś z najistotniejszych pierwiastków.

Gdzie moja Natalia? Jak ja sobie bez niej poradzę?

Tu było tak cholernie jasno. Wszystkie te... wszystkie te światła.

Chwiejnym krokiem ruszyłem do wyjścia, nie chcąc być tutaj ani chwili dłużej. Otworzyłem drzwi, przekroczyłem próg, ale i tam wszystko było nie tak. Ulica inna niż ta, którą przyszedłem. W kawiarni zbyt jasno, tutaj nawet gorzej. Szedłem chwiejnie. Kończyny dolne do wymiany, nie ma opcji, na tym gównie nie da się chodzić. Oczy i uszy pewnie też. Jakieś szumy, szmery, potem grzmienie i drżenie, rozszarpywanie świata na strzępy. Żołądek podchodził do gardła z prędkością windy, wiozącej catering na ostatnie piętro wieżowca. Wszystko trzęsło się i raziło, wpadłem w sam środek balu gwiazd i błyskawic.

Gdzie byłem? Chodnik pod nogami przestał być ciałem stałym. Coś

wrzeszczało przesywajaco, zgrzytając i plując iskrami, wielkie, niebieskie...
tramwaj?

Ludzie pędzili, tratowali, nie zauważali.

Chuje! Czy nie widzicie, jak się tu wiję zrozpaczony i półprzytomny?! Tak
im chciałem powiedzieć, ale na złych chęciach jak zwykle się skończyło i nikt
nawet słowa ode mnie nie usłyszał.

Wszystko wirowało, tańczyło, błyszczało i raziło. I bolało.

Wszystkie te światła naraz.

Dziewiąta jeszcze mnie nie przeraża

Kto by pomyślał! Bez większego strachu przeczytałam początek nowej powieści ojca! Wprawdzie w momencie, gdy bohaterowi wydawało się, że kawiarnia jest planem filmowym, musiałam zamknąć oczy i przez jakąś minutę oddychać głęboko, starając się nie myśleć o niczym konkretnym; wprawdzie po słowach „jakby nawet czerń miała odcienie” przez kilka akapitów nie czułam własnego ciała i miałam wrażenie, że stoję gdzieś obok siebie samej, ale mimo to lektura była dla mnie całkiem znośna, miejscami niemal neutralna, i jeśli już nadziałam się na jakieś słowo zwiastujące głębię, ogarniającą mnie panikę momentalnie tłumiała lektura zabawnych fragmentów.

Dziwiło mnie też, że ojciec po raz pierwszy od tak dawna napisał coś, co nie było zupełnie bezsensowne. Poprzednio udało mu się to – choć tylko częściowo – przy powieści *Pudełko pełne niczego*, którą, we własnym mniemaniu, zamierzał spoliczkować na otrzeźwienie Matkę Polskę i ostro nią potrząsnąć. Tamten tekst, niestety, po kilku pierwszych, całkiem interesujących stronach osunął się w naszpikowany neologizmami bełkot, a wszystkie inne literackie próby z ostatnich miesięcy kończyły się równie katastrofalnie. Ojca po każdym artystycznym rozczarowaniu ogarniała wściekłość, z którą ledwie sobie radziłam. Walił pięściami w blat biurka, zrzucał książki z regałów, wędrował po mieszkaniu w tę i we w tę. Czasem z dzikością w oczach stawał przy oknie i wtedy bałam się, że rozbije szybę własnym ciałem i wyskoczy. Był jak nastolatek przechodzący ciężkie załamanie nerwowe, albo taki, z którym właśnie zerwała jego największa licealna miłość, a ja wchodziłam w rolę jego przerażonej matki, błagającej w myślach, żeby tylko nie zrobił sobie krzywdy. Chciałam, żeby udało mu się stworzyć coś, co go zadowoli, i żeby wreszcie przestał się tym tak zadręczać. To były tylko książki, chociaż nie on jeden uważał je za najważniejszą rzecz we wszechświecie. Tylko czy warto dla nich skakać w ogień? Wszystkie gatunki oprócz *homo sapiens* jakoś żyją bez czytania i pisania, więc jest to nie tylko możliwe, ale wręcz normalne. Po co zaraz płakać i wrzeszczeć nad rozlanym tuszem albo atramentem? Nie rozumiałam. Byłam jednak w stanie poświęcić dla ojca wszystko, byle tylko rozpacz ostatecznie go nie pokonała. Bo tylko jego miałam.

Strach po jego zaginięciu mieszał się we mnie z radością, że zostawił po sobie literackie ślady. Może wreszcie mu się powiodło? Może po latach psychicznego rozchwiania zdołał dojść do zgody z sobą samym?

Ta książka wydawała się też zupełnie inna niż wcześniejsze, przeważnie pisane krótkimi zdaniami i pełne zwrotów akcji. Tamte zaczynały się od szokujących wydarzeń, takich jak wybuch bomby, porwanie dziecka czy brutalne zabójstwo. Bohaterowie byli wyjątkowo nieskomplikowani, prawie każdego dało się opisać w kilku zdaniach. Damian, urzędnik walczący na śmierć i życie z administracyjną machiną. Karolina, modelka, która podczas pokazów w Mediolanie odkryła międzynarodowy spisek. Krystian, awangardowy artysta i zarazem groźny psychopata, prowadzący wyrafinowaną grę z organami ścisłania. Tak to zazwyczaj wyglądało i dzięki tej prostocie, dzięki ścisłemu trzymaniu się ram gatunkowych żadna z książek ojca nie była trudna w promocji. Tekst składał się z mnóstwa dialogów przerywanych pobieżnymi opisami i nie przekraczał możliwości intelektualnych przeciętnego gimnazjalisty. Właściwie nie zawierał głębszych przemyśleń, a jeśli już, to wyłącznie błahe, żeby czytelnik nie musiał się o nic potykać na drodze do zaskakującego i mroźnego krew w żyłach finału. Zdaniem ojca współczesność to dyktatura dzieciaków, domagających się ciągłej rozrywki, obdarzonych zerową tolerancją na nudę, dlatego w tamtym okresie sądził, że prawdziwa, pozagatunkowa literatura dla dorosłych straciła sens. Akapit dłuższy od kciuka odrzuci dziewięćdziesiąt procent potencjalnych odbiorców. Zdanie mające więcej niż siedem słów należy podzielić na dwa. Bohater na początku musi doznać dotkliwej porażki, ale pod koniec w najgorszym razie wyjdzie z tarczą, w najlepszym zaś wygra z całym złem tego świata. Ojciec śmiał się, wspominając o tych „złoty zasadach pisania”, tyle że z czasem coraz bardziej widać było, że przemawia przez niego gorycz i rozczarowanie ludźmi. Zarabiał na swoich tekstach, ale jakby się tego wstydził. Nie pamiętałam już nawet, czy w ogóle było w tych powieściach cokolwiek szczególnie głębokiego, bo czytałam je jeszcze w liceum, a wtedy tak bardzo nie chorowałam. Nie bałam się filozofii, religii, psychologii ani prawa. Mogłam przeczytać dowolną – nawet ambitną – książkę i nie musiałam się później znieczulać godzinną sesją oglądania teledysków albo otępiających filmików. Ojciec też był wtedy inny, lepszy dla siebie i dla mnie... Choć może nie powinnam tak mówić. To nie jego wina, tylko efekt długotrwałej choroby, niszczącej ciało i umysł, podobnie jak w moim przypadku.

Zastanawiając się nad tym, niechcący pomyślałam o zmianach

zachodzących w ludzkim życiu. O dewastujących psychikę nieodwracalnych procesach, które powoli, lecz nieuchronnie drążą dziury w naszym obrazie samych siebie, podkopują światopogląd i wywracają na lewą stronę każdą z wartości. O pojedynczych zdarzeniach, całkowicie przeobrażających naszą rzeczywistość. O tym, jak czas i choroba potrafią odrzeć nas ze wszystkiego, co kiedyś było bezcenne.

Zaczęły mi drżeć powieki. Potem też kąciki ust. I policzki.

Rozglądałam się nerwowo, szukając ratunku. Było już jednak za późno.

Coś dudniło, coraz szybciej, coraz boleśniej. Moje serce...

Głowa momentalnie stała się ciężka, jakby wypchana pokruszonym szkłem.

Moje serce, moje serce, moje serce.

Jedno dotkliwe uderzenie za drugim. Prawie rozsadzały mi żebra.

Chwiejnym krokiem podeszłam do biurka, usiadłam w wysłużonym fotelu i włączyłam komputer. Wydawało mi się, że jeszcze czuję tu ciepło ojca, w końcu każdego dnia spędzał w tym czarnym skórzanym fotelu po kilkanaście godzin, pisząc albo wściekając się i krzycząc, że już nigdy niczego nie napisze. Tak było nawet w czasach, gdy jeszcze wydawał się normalny, więc jego balansowanie między smutkiem a furią zdecydowanie można uznać za normę.

Starając się oddychać głęboko i niczego już sobie nie wyobrażać, położyłam palce na wytartej klawiaturze – chyba pierwszy raz od czasów studenckich – i, przypomniawszy sobie, jak używa się tego antyku, szybko odpaliłam na tubie teledysk jednej z największych gwiazd amerykańskiego popu – Kitty Litter.

Mam f-f-fajny ty-ty-tyłek

Fajny tyłek

Ja nim ruszam

A ty się gapisz

Ga-ga-gapisz...

Ubrana w półprzezroczyste bikini wokalistka kręciła biodrami nad pełnym diamentów basenem, a przystojni mężczyźni w drogich garniturach ciskali w nią banknotami, nerwowo pocierając krocza.

Od razu się uspokoiliłam, zapomniałam nawet, co mnie wyprowadziło z równowagi. Patrzyłam bezmyślnie w ekran, podśpiewując razem z Kitty.

A ty się gapisz

Ga-ga-gapisz...

Obejrzałam teledysk trzy razy z rzędu, aż w końcu wymazał ze mnie każdą straszną myśl. Na deser odpaliłam też wywiad z Kitty na czerwonym dywanie przed wręczeniem nagród Grammy. Ubrana tylko w folię bąbelkową gwiazda

tłumaczyła dziennikarce, że ostatnio uprawiała seks, skacząc na *bungee*.

– To chyba nie był specjalnie bezpieczny seks? – zaśmiała się dziennikarka, piegowata blondynka w sznurkowym bikini.

– Nie. Totalnie nie – odparła Kitty, okręcając wokół palca pukiel jaskraworóżowych włosów. – To znaczy, no wiesz, niby mieliśmy tę całą gumkę, hi hi, tę wielką gumkę, no wiesz, i ona w sumie nie pękła, nie spadliśmy i się nie zabiliśmy, hi hi, ale, rozumiesz, facet nie miał zabezpieczenia, no a wisieliśmy głową w dół, i hi hi, skończyłam ze zniszczonym mejkapem i posklejnymi włosami, a na dole stali paparazzi i potem takie nefajne zdjęcia trafiły na główną stronę Wpadki, za co ktoś będzie niedługo kosmicznie pozwany, hi hi hi.

Kitty była megalubiana, szczególnie przez najmłodszych fanów celebrytizmu. Jej seria zdjęć intymnych fryzur zebrała kiedyś ponad pięćdziesiąt milionów uśmiechów, co do dnia dzisiejszego pozostawało ewenementem. Każda dziewczynka między dziesiątym a czternastym rokiem życia chciała być taka jak panna Litter...

Zrelaksowana intensywną klipoterapią, postanowiłam sprawdzić, czy w komputerze ojca nie było przypadkiem pliku z *Kresem komunikacji*. Znacznie ułatwiłoby mi poszukiwania. Niestety ojciec najwyraźniej usunął powieść po jej wydrukowaniu, raczej nieprzypadkowo.

Klnąc pod nosem, wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju, szukając miejsca, w którym mogłyby być schowane kolejne rozdziały powieści. Zakładałam, że jakieś były, że nie skończył na pierwszym rozdziale, zostawiając mnie tylko z taką zajawką. Liczyłam nawet, że gdzieś tekście ojciec ukrył wskazówkę, która pozwoliłaby mi wydedukować, co mogło się z nim stać. Na przykład wyjaśnienie, dlaczego zniknął. I w jaki sposób wyszedł z pokoju, nie wychodząc z pokoju. Cytując Kitty: no totalny kosmos.

Przebiegłam wzrokiem po półkach, między grzbietami książek nie dostrzegłam jednak żadnych kartek z wydrukiem. Schyliłam się i raz jeszcze spojrzałam pod łóżko, chcąc sprawdzić, czy w nerwach nie przegapiłam czegoś istotnego. Podłoga wydawała się czysta, ale tuż za nocnym stolikiem zobaczyłam niewielki, kulisty kształt. Natychmiast wczołgałam się pod łóżko i sięgnęłam ręką do tajemniczej kuleczki. Była lepka i twarda. Cukierek! Leżał na podłodze, zupełnie jak ten, który wypluł bohater *Kresu komunikacji*. To nie mógł być przypadek, bo ojciec, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie przepadał za cukierkami. Kiedy mama mi je kupowała, nieraz panikował, że się udławię. Uważał je za najbardziej niebezpieczne słodyczne. Tak właśnie mówił:

„Niebezpieczne słodycze”. A czasem dodawał cicho: cała współczesność jest nimi wybrukowana.

Ściskając między palcami lepką kulkę, podniosłam wzrok i od razu zobaczyłam jasny prostokąt, wciśnięty między spód łóżka a materac. Sięgnęłam po cienki plik kartek, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy przeczytam kolejne napisane przez ojca zdania.

Fragment 2: Pierwszy dzień w nowym świecie

Śniło mi się, że wewnątrz mojej czaszki coś zaczęło rosnąć. Jak syjamski brat, jakiś drugi ja, lustrzane odbicie, sklejone ze mną w jedno. Potworniak z moim obliczem. To coś nagle obudziło się we mnie, rozwarło niewidzące ślepią, wyszczerzyło kły w widmowym uśmiechu. Było przerażone i wściekłe. Namawiało mnie do potwornych rzeczy. Szeptalo o karze. „Koniec nadchodzi – powtarzało ochryple – nadchodzi ostateczny kres komunikacji”.

Zanim jednak oszalałem na dobre, zdołałem oprzytomnieć. Chory sen jeszcze płasał we mnie jak niknący płomień. Przez kilka minut wszystko wokół wydawało się obce. Nie wiedziałem, gdzie jestem i czy to jeszcze moja planeta, czy może już któryś ze światów równoległych, nieoswojonych dotąd przez ludzki język.

Zszarzały tynk, na ścianach odblaskowe plamy udające obrazy, reflektory zamiast lamp zwisające z sufitu, beżowe cielsko wersalki tkwiącej przed telewizorem, gigantyczne biurko, czarny skórzany fotel... Czyje to?

Moje.

To po prostu mój pokój.

Próbowałem przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń ostatniej doby, jednak okazało się to ponad moje siły. Miałem tylko skrawki: rozmowa z Natalią w anonimowej kawiarni, tłum i czyjeś krzywdzące słowa. Później gdzieś poszedłem, upadłem. O co mogło chodzić? Jak dotarłem do domu? Ktoś mnie podwiózł? Wszystko wydawało się nielogiczne. Zupełnie jakbym widział to na kiepskiej jakości filmie, nagrywanym w kinie komórką spod rozpiętej kurtki. Czy to możliwe, że naprawdę wczoraj się rozstaliśmy?

Mózg wyprany, cóż począć. Wspomnienie wyblakłe, poszarpane, nienadające się do niczego. Ale to nie znaczy, że mam resztę życia spędzić w łóżku, czekając na zbawienie. Mimo że nie czułem się jeszcze pewnie we własnym ciele, mimo że całe otoczenie wydawało się nie na miejscu, jakby ktoś po kryjomu poprzestawiał sprzęty i meble, przetrącając oś rzeczywistości, powinienem jak najszybciej wziąć się do czegoś, co odwróci moją uwagę od jałowych rozmyślań. Tak zawsze postępowałem na kacu, więc spróbuję i teraz.

Opuściłem kokon przepoczonej kołdry, uruchomiłem ekspres – nie wyobrażam sobie rozpoczęcia dnia bez podwójnego espresso – i usiadłem przed komputerem, leniwie się przeciągając. W skrzynce czekało trzydzieści nowych maili, niestety żaden nie był od Natalii. Kilka przekonywało mnie do podjęcia czynności takich jak powiększenie członka, kupienie nowych tabletek na potencję, poznanie zawsze chętnych dziewczynek z serwisu YoungTube, czy wreszcie zdobycie „całkowitego odpuszczenia grzechów” za 19,90 – bo „koniec jest bliżej niż kiedykolwiek”.

Po przeczytaniu tego ostatniego zdania od razu przypomniał mi się dzisiejszy koszmar i aż się wzdrygnąłem. A najgorsze, że ochrypli głos potworniaka teraz jednoznacznie skojarzył mi się z głosem mojego dawnego przyjaciela Dawida. On deklamował podobne monologi, kiedy wpadał w trans godny wieszczka. Tematyka też była identyczna. Koniec wszystkiego, najwyższy wymiar kary, kres komunikacji... Nie chcę do tego wracać nawet w myślach.

Pozostałe wiadomości związane były z moją aktualną robotą. Od kilku miesięcy w tygodniku „Zero Ściemy” pisałem teksty do autorskiego działu *Nasi w wielkim świecie*. Na pomysł jego stworzenia wpadłem, gdy, ot tak, gapiłem się w telewizor. Zauważyłem, że Polacy bardzo skrajnie reagują na sukcesy bądź ekscesy innych Polaków za granicą. Odzew jest zawsze nieproporcjonalnie wielki i niekiedy przypomina zbiorową psychozę. Wystarczy, że ktoś z rodaków w jakikolwiek sposób zostanie gdzieś tam w świecie doceniony czy chociaż dostrzeżony, a u nas robi się z tego wydarzenie roku, jeśli nie dekady. Ktoś zagra gościnnie w jednym odcinku mało popularnego serialu, ktoś zostanie uznany „Najlepszym dentystą w Chicago”, ktoś będzie ogrodnikiem na posesji Johnny’ego Deppa – jeśli tylko ma chociaż cień polskich korzeni, to w naszym kraju stanie się niemal żywą legendą.

Kilka tygodni temu pisałem na przykład o mężczyźnie, którego portal aol.com określił mianem „największego idioty dziesięciolecia”. Tekst zamieściłem na portalu Krytyka Czystej Głupoty, gdzie mniej więcej raz w miesiącu puszczam swoje kawałki jako „ad rem” (zawsze właśnie tak, nigdy „Adam Remiecki”). Otóż człowiek ten, bezrobotny alkoholik, napadł na bank, dla zachowania anonimowości wkładając na głowę nie kominiarkę, lecz prezerwatywę (według źródeł: o smaku malinowym). Zapomniał jednak o wycięciu otworów. Z bronią w ręku podbiegł do jednego z okienek, coś wycharczał, po czym padł trupem. Było oczywiste, że ktoś umierający w równie kretyński sposób musi zwrócić uwagę mediów, może nawet zasłuży na wyróżnienie w rodzaju Nagrody Darwina. Delikwent, mimo mocno nie naszego

nazwiska – Henry Skipp – wkrótce został u nas pierwszoplanową gwiazdą, bo jego matka podobno urodziła się w Szczytnie (o czym wspomniałem w żartach, ten szczegół nie miał żadnego znaczenia dla sprawy). Niedługo po mojej publikacji o Skippie niespodziewanie wspomniano w telewizyjnych *Faktach*, a portale takie jak Onet czy Interia poświęciły mu kilkunastuściowe artykuły, pod którymi niezawodnie pojawiły się tysiące kipiących jadem komentarzy, atakujących Żydów, Ruskich, Szwabów, Polaczków, katolików, ateistów, patriotów, lewaków oraz samego Boga Wszechmogącego. W TVN24 zorganizowano godzinną debatę zatytułowaną *Czy głupota leży w naszej naturze?*, w której zgodnie z tradycją uczestniczyli dwaj szczerze się nienawidzący posłowie przeciwstawnych opcji, socjolog, psycholog oraz ksiądz. Parę dni później „Najwyższy Czas” opublikował odpowiednio bezkompromisowy tekst, demaskujący mnie jako utajonego członka loży masońskiej, a Skippa jako łze-Polaka, którego matka wcale nie urodziła się w żadnym Szczytnie, a w Dortmundzie. „Gazeta Polska” przebiła to już nazajutrz, pisząc, że Skipp wprowadzie mógł być Polakiem, ale ważniejsze, że największym na świecie producentem prezerwatyw o smaku malinowym jest Federacja Rosyjska, zaś „mężczyzna poległy w jednym z żydowskich banków” był tylko niewinną ofiarą. Zenitem akcji stał się przeprowadzony przez CBOS sondaż, w którym tysiąc pełnoletnich osób odpowiedziało na pytanie: „Czy uważasz, że nasz naród jest bardziej czy mniej inteligentny niż inne europejskie nacje?”. Siedemdziesiąt siedem procent uznało, że bardziej.

Gdyby nie fakt, że mój artykuł poszedł na portalu satyrycznym, gdzie nigdy nie ujawniałem swoich prawdziwych danych, pewnie zacząłbym się obawiać o własne życie. Wybuchła autentyczna wojna wszystkich ze wszystkimi pod flagą biało-czerwoną. Sprawa ucichła dopiero wtedy, gdy obywatele zaczęli skakać sobie do gardeł w związku z zupełnie innym tematem.

Popijając drugie espresso, przeglądałem kolejne maile. Jeden przyszedł od jakiejś dziewczyny, która twierdziła, że zaginął jej ojciec. Rzuciłem tylko okiem, bo było więcej niż prawdopodobne, że to jakaś nowa wersja wiadomości zapewniającej mnie o odziedziczeniu ciężkich milionów po kimś, kto nigdy nie istniał. Niezmiernie ucieszyła mnie za to odpowiedź agenta Klary Sosnowski, który napisał, że już jutro w południe przylatują do Krakowa i chętnie umówią się na wywiad. „Zero Ściemny” starało się o tę rozmowę od kwartału, a dokładniej od chwili, kiedy tylko naczelny dostał cynk, że aktorka ma na kilka dni zawitać do Polski.

Klara Sosnowski jeszcze do niedawna była trzecioliigową postacią

amerykańskiego kina grozy. Do Stanów wyjechała jako dwunastolatka, by dekadę później grać drugie plany i epizody w produkcjach takich jak *Może pan poćwiartować pannę młodą*, *Jezus – pierwszy zombie* czy *Chory, chorszy, trup*. Wszystkie te dzieła ukazywały się od razu na DVD bądź Blu-rayu i każde – z wyjątkiem *Chorego, chorszego, trupa* – zbierało miażdżące recenzje, trafiając koniec końców do koszy wyprzedażowych. Jednak w ubiegłym roku Sosnowski udało się dołączyć do ekipy kręcącej *Wściekłe małpy* – rzecz z budżetem w okolicach sześciu milionów dolarów, wyprodukowaną przez reaktywowaną niedawno brytyjską wytwórnię Hammer. Wprawdzie bohaterka grana przez Klarę ginie w dziesiątej minucie, więc trudno liczyć na pokaz kunsztu aktorskiego, ale obraz trafił już do kin w USA i w ciągu pierwszych dwóch miesięcy od premiery, mimo limitowanej dystrybucji, zarobił więcej niż przyzwoite dwadzieścia pięć milionów. Po takim wyniku zagraniczne rynki stanęły dla *Małp* otworem. Wczoraj miała miejsce krajowa premiera, więc Klara postanowiła wpaść do nas z kilkudniową wizytą.

Stwierdziłem, że skoro wszystko w tej sprawie poszło po naszej myśli, to powinienem te *Wściekłe małpy* obejrzeć. Sprawdziłem repertuar, zdecydowałem się na najbliższy seans i poszedłem się przebrać. Zerknąłem w lustro na drzwiach szafy. Chorobliwie blada twarz, posiniałe wargi... Od dawna nie wyglądałem równie fatalnie. Nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę ja, jednak odbicie naśladowało każdy mój ruch, każdą głupawą minę. Ty wredny skurwielu, pomyślałem, zazdroszcząc wampirom tego, że w lustrze nie widzą nic.

Włożyłem dzinsy i czarną bluzę z kapturem. Jak mrok to mrok.

Przyszło mi do głowy, że przecież powinienem ją zaprosić. Ona uwielbia filmową grozę, zawsze wtula się we mnie i bardzo przeżywa wszystko, co dzieje się na ekranie, niekiedy nerwowym szeptem próbując wpłynąć na zachowanie bohaterów. Reaguje przesadnie, jak zawsze, ale taki już jej urok, że każdy niepokój zmienia w czyste przerażenie, każdy smutek w najgłębszą rozpacz, a każdą drobną radość w zapierającą dech ekstazę. Między innymi za to ją kocham.

Wykręciłem numer. A potem czekałem tak długo, jakby abonent bezterminowo się zawiesił.

– Czego? – spytała zdenerwowana.

– Słuchaj, kochana, przed jutrzejszym wywiadem z Klarą Sosnowski muszę zaliczyć seans *Wściekłych małp*, może chciałabyś się wybrać? – Starłem się, by mój głos brzmiał nonszalancko i obojętnie. Nie miałem jednak złudzeń: brzmiał

rozpaczliwie.

– Serio? Zapraszasz mnie do kina? Nie pamiętasz, co ci wczoraj mówiłam? Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dobiegł mnie nieznamy męski głos.

– Wracaj, kotku. On nie będzie tak stał cały dzień.

Natalia parsknęła śmiechem i poczułem się, jakby ktoś cisnął mi w twarz pełnym moczu balonem.

– Nie zgadniesz, kto dzwoni – powiedziała szeptem i zachichotała, a później, już normalnym głosem, odezwała się do mnie: – Tłumaczyłam ci przecież, że muszę pobyć trochę sama, wszystko sobie poukładać i tak dalej. To naprawdę nie jest łatwe, więc czemu utrudniasz na każdym kroku? Związki mnie wyniszczają, szczególnie z takimi egoistami jak ty. Nie dość jasno się wyraziłam? Nie wszystko do ciebie dotarło?

W tle znów usłyszałem chichot.

A więc to była prawda. Wczorajszy dzień rzeczywiście potoczył się w najgorszy możliwy sposób.

– Dotarło, ale... – zacząłem, czując, że ból w skroniach zaraz rozerwie mi łeb.

– Muszę już kończyć, jestem zajęta. Nie dzwoń do mnie więcej – odparła i rozłączyła się.

Każde wypowiedane przez Natalię zdanie było jak cios w przeponę, a to ostatnie okazało się prawdziwym nokautem.

Klatka schodowa zatraciła kształty i przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że wepchnięto mnie do jakiejś ciasnej, lodowatej jaskini.

Jasna paszcza windy rozwarła się szeroko i zapraszająco, a parszywe, klaustrofobiczne uczucie i ból głowy stały się ledwie wspomnieniem. Mimo to na ulicę wytoczyłem się zamroczony i wyczerpany. Każdy oddech wiązał się z wysiłkiem, któremu ledwie mogłem sprostać.

A więc to wcale nie był sen, to się kurwa działo, z tą miłością koniec, przekreślone i przejebane. Zostałeś z niczym, kretynie, i zaczynasz jak zwykle od zera, czyli od siebie, bo właśnie zerem jesteś. Było, zniknęło, nigdy tego nie odzyskam i nigdy nie zapomnę. Trzeba się było nie angażować. Teraz mogę sobie co najwyżej przeglądać stare fotki w telefonie i czytać esemesy z minionych miesięcy: misiaczki, koteczki, skarbeczki, tyle ci zostało, naiwny skurwysyneczku, idealisto od siedmiu boleści.

Niebywałe!

Ale, kurwa, czemu? Co zrobiłem nie tak?

W mojej głowie nie ma miejsca dla nikogo poza mną samym, serio? I niby

dlatego w jej sercu nie będzie już miejsca dla mnie?

 Nie dzwoń, nie wspominaj, nie rozdrapuj, bo zaboli tak, że aż cię zemdli.

 Wszystko skończone, spieprzone, skreślone na amen.

Czy ta dziewczyna jest mną?

Opis pobudki Adama Remieckiego nie wywołał u mnie większego lęku. Przypominał zresztą stan, którego doświadczałam po szczególnie ciężkim ataku fobii. Czasami – choć na szczęście rzadko – zdarzało się nawet, że ze strachu mdlałam, a po odzyskaniu przytomności przez parę minut niczego nie pamiętałam. Otwierałam oczy, nie wiedząc, gdzie ani kim jestem. Opowiedziałam o tym ojcu tylko raz – jakieś pół roku temu – żeby widząc mnie leżącą na podłodze, nie spanikował. Nie słuchał, był zbyt rozkojarzony. Patrzył to na sufit, to na ściany i wciąż szeptał te same absurdalne słowa:

– Pod nieświadomością jest czarne nic, ale ono jest tylko pozorną warstwą, kolejną powierzchnią, pod którą kipią sensory. Jestem bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Mam ostateczność na wyciągnięcie ręki.

Teraz wiem, że jednak mnie wtedy wysłuchał. Być może w innych sytuacjach było podobnie, choć nic na to nie wskazywało. Zawsze zdawał się albo przesadnie nerwowy, albo zrozpaczony, gdy ze spuszczonym wzrokiem błąkał się po mieszkaniu, nie wiedząc, co ze sobą począć. Zdawał się w pewien sposób uwięziony, osaczony. Mogłabym dojść do wniosku, że ani ja, ani mama nie zawsze byłyśmy dla ojca częścią planu. Może od samego początku wolał być sam, trwać w dumnej izolacji bez niczyjego towarzystwa ani pomocy? Gdzie byłby teraz, gdyby nigdy nie miał żony ani córki? Czy byłby zadowolony z tego, co robi, cokolwiek by robił? Nie wydaje mi się. Pewnie, tak jak wszyscy, sam nie był nigdy pewien, czego chce, a inne opcje, to prawda, wydawały się kuszące, ale zawsze to, co mają inni, w naszych oczach jest lepsze od tego, co mamy my. Ja też wolałabym być kimś, kto jest zdrowy, nie ma żadnych fobii, nie ma ojca wariata i nie stracił matki w momencie, gdy było to najboleśniej. Jego aktualne rozchwianie stawało się dla mnie szczególnie trudne do zniesienia właśnie dlatego, że doskonale pamiętałam, jaki cudowny potrafił być wcześniej, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, a on starał się opowiedzieć mi o świecie, choć sam pewnie wielu rzeczy nie rozumiał i z wieloma nie mógł się pogodzić. Mówił: jestem tu dłużej od ciebie, ale nie na tyle długo, by cokolwiek pojąć. Wtedy powtarzał te słowa z uśmiechem, potem udawał, że rozumiał wszystko, ale jego mowa zmieniała się w bełkot.

Im szybciej gnały moje myśli, tym większe przerażenie mnie ogarniało. Jakby w środku uchylały się drzwi, zza których buchał dławiący dym, parzący żar. Twarz drętwiała, a oczy chciały uciec przed światłem.

Nie, nie wolno mi teraz się nad tym zastanawiać, nie wolno mi wpaść w kolejną spiralę strachu. Zostaw wspomnienia, Magda, skup się tylko na tym, co dzieje się w tym momencie, trzymaj się na powierzchni, zapomnij, że pod spodem jest wszystkiego więcej, niż ktokolwiek zniesie...



Na razie nie znalazłam w tekście jasnej odpowiedzi na pytanie, czemu ojca już ze mną nie ma. Odczucia Remieckiego bardziej przypominają moje własne doznania spowodowane fobią, niż to, co działo się w ostatnich latach z ojcem. Może więc taka odpowiedź pojawi się później, a może wcale. Ze zdania o mailu „od jakiejś dziewczyny, która twierdziła, że zaginął jej ojciec” można wywnioskować, że mogę się takiej odpowiedzi spodziewać.

Czy to ja jestem tą dziewczyną, która posłała maila Adamowi Remieckiemu? Czy w którymś z kolejnych rozdziałów bohater tej książki będzie mi pomagał odszukać ojca? Czy...

Zanim się opamiętałam, po moim ciele przemknął rój niewidzialnych owadów. Dłonie i twarz znów zdrętwiały, w skroniach zaczęło pulsować. Ciemność naparła na mnie ze wszystkich stron naraz.

Nie, nie w tym momencie.

Zerwałam się i zaczęłam kompulsywnie chodzić po pokoju. Skupiłam się na ruchu nóg, na kolejnych krokach, niczym więcej.

Myślenie o jakiejś abstrakcji nie jest wcale takie ważne. Wszystko jest ze mną w jak najlepszym porządku. Mam ładne, zgrabne ciało. Moje włosy są lśniące, a skóra gładka i jasna. Nie muszę się niczym niepokoić. Fobia to tylko fobia. Każdy przecież ma jakąś uciążliwą przypadłość. Świat od dawna nie jest zdrowy, rzeczywistość to od stuleci galopująca w przepaść patologia. Co mają powiedzieć technofobicy, skoro w dwudziestym pierwszym wieku najnowsze technologie otaczają nas dosłownie z każdej strony? Albo epileptycy, gdy rzeczywistość zmieniała się w jeden niekończący się ciąg stroboskopowo

migających reklam? Naprawdę nie mam powodów do paniki. Nie bój się, Magda, bądź sobą, każdego dnia łykaj Jędrnię Plus, a twoje pośladki i piersi będą wniebowzięte. O właśnie! Trzeba coś zjeść.

Zasiadłam więc do śniadania, prosząc lodówkę o podanie klasycznego zestawu numer jeden. Z otworu w drzwiczkach wyjechała styropianowa paczuszka, w której znalazłam jajko na twardo, pochodzące od zmodyfikowanej genetycznie Kury Supernioski™, tani placek węglowodanowy na bazie CHL3BA®, a także słodką i przepyszną kawę Czekofinkę. Ledwie zaczęłam jeść, lodówka krzyknęła metalicznie: NIE ZAPOMNIJ O JĘDRNISI PLUS! TWOJE CIAŁKO CI TEGO NIE WYBACZY!

– Jakże mogłabym zapomnieć, droga lodówko – odpowiedziałam, wyjmując z otworu leżącą już na plastikowym spodeczku pigułkę.

Czasami żałuję, że zamówiłam właśnie tę lodówkę. Niecałe dwa lata temu promocja: lodówka za pół ceny, jeśli wykupisz abonament „Żyj zdrowo i jędrnie z Jędrnią Plus!”, wydawała się megaokazją. Teraz myślę, że jednak była to pomyłka. Nie mogę jednak mówić o tym głośno, bo lodówka albo mnie ofuknie, albo nawet prześle skargę do producenta, że nie dotrzymuję warunków umowy, zawartej na równe dwadzieścia cztery miesiące. Najlepszym rozwiązaniem będzie zamówić dziś obiad i kolację w necie, żeby nie słuchać w kółko upomnień dotyczących tej cholernej Jędrni. W końcu drony z restauracji i fast foodów są w stanie dostarczyć ci pojemnik z dowolnym daniem dowolnej kuchni świata w ciągu maksymalnie trzydziestu minut, zawsze gorący, prosto na twój parapet, i nie zmuszają cię do wysłuchiwania uwag na temat zalet zdrowego trybu życia. Gdyby aż tak mi na tym zależało, zamieszkałabym z fit-świrami na osiedlu Nike World i każdy poranek zaczynała od radosnego wskoczenia na mierzającą poziom tłuszczu wagę.

Skubiąc węglowodanowy placek zdecydowałam, że muszę wreszcie zacząć działać. Im więcej myślę o sprawie ojca, tym bardziej moja fobia się nasila. Muszę go jak najszybciej odnaleźć. Jego zniknięcie tylko pogarsza mój i tak kiepski stan.

Jeszcze za wcześnie, żeby zgłaszać zaginięcie na policję. Za wcześnie i zbyt niebezpiecznie. To będzie ostateczność. Bo wtedy będę musiała się przyznać, czemu nie mogę sama poszukać ojca – choćby w najbliższej w okolicy – i czemu od pół roku w ogóle nie wychodzę z mieszkania. Będę musiała powiedzieć, że jestem ciężko chora. I że w ogóle nie powinnam się ojcem opiekować, tylko sama być pod czyjąś stałą opieką.

Włączyłam holotab i zalogowałam się na swój St®umień. Może jeśli

opowiem innym, co się stało, ktoś zdoła mi pomóc.

Mój St@umieniowy profil nazywa się Bezpieczne Powierzchnie i mniej więcej raz w tygodniu zamieszczam tam wiadomości na temat rozmaitych rzeczy, które u ludzi cierpiących na batofobię nie wywołują lęku. Można by go nazwać wideo-tekstowym streamem o popkulturze, ale przecież nie cała popkultura jest dla nas, chorych, niegroźna i neutralna. Chociaż z roku na rok coraz więcej młodych ludzi zapada na batofobię, statystyki pokazują, że Bezpieczne Powierzchnie mają ledwie między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt wyświetleń dziennie. To bardzo niewiele, mimo że mój profil jest częścią większej sieci – dziesięciu najciekawszych polskojęzycznych St@umieni prowadzonych przez batofobików. Cóż, nie zyskałam sławy, ale przynajmniej zdobyłam nowych znajomych, ludzi, którzy doskonale mnie rozumieją. Najgorszym, co może zrobić osoba nękana przez lęki, jest izolowanie się od tych, którzy mają podobnie traumatyczne doświadczenia.

Stuknęłam palcem w prostokątny przycisk panelu administratora i weszłam do menu postów/klipów. Mój poprzedni, pięciominutowy stream dotyczył nowego i już uznawanego gdzieś za kultowy *streaming show* o nazwie *Gupole*, w którym grupa zabawnych kretynów robi idiotyczne – chociaż nie zawsze zabawne – rzeczy. Jaka szkoda, że nie mogłam teraz napisać niczego, co byłoby głupie albo śmieszne.

Dzisiejszy wpis może was zaniepokoić. Od razu ostrzegam i przepraszam.

Dziś w nocy zaginął mój ojciec.

Nie mam pojęcia, gdzie mógł pójść.

Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje.

Jak sami wiecie, już od paru miesięcy nie mogę wychodzić z domu, więc nie jestem w stanie szukać ojca na własną rękę.

Niektórzy z was też nie wychodzą na zewnątrz, ale na pewno znacie kogoś, kto nie ma z tym problemów. Poproście o pomoc w moim imieniu.

Poniżej wklejam holografie ojca. Mieszkamy razem w Krakowie, w kompleksie mieszkalnym KM23_krk, więc jeśli ktoś jest z okolicy, może ojca widział.

Ojciec jest chory, bardzo trudno się z nim porozumieć.

Martwię się o niego, chociaż to tylko pogarsza mój stan. Zależy mi, żeby jak najszybciej się odnalazł.

Z góry dziękuję za wszelką pomoc!

Pod postem wstawiłam w miarę aktualną holografie, a później podobny tekst z identyczną holką wkleiłam anonimowo na forum mojego kompleksu

mieszkalnego i forum miasta Krakowa, dodając jeszcze adres kontaktowy. Nie mogłam oczywiście podać nazwiska ojca, bo wiele osób nadal pamiętało go jako popularnego pisarza. Na szczęście miałam jego holo sprzed ponad roku i nie był na nim ani trochę podobny do siebie z czasów aktywności literackiej. Bardzo szczupły, nieogolony i okropnie blade. Wyglądał na ciężko chorego mężczyznę po pięćdziesiątce.

I taki właśnie jest teraz mój ociec, Dawid Kordowa: ciężko chory mężczyzna po pięćdziesiątce, który zupełnie stracił kontakt ze światem zewnętrznym.

Przynajmniej do wczoraj byłam tego pewna. Zanim zniknął, zanim odkryłam jego nowy tekst, który zdaje się przeczyć temu, że ojciec przestał się komunikować nie tylko ze wszystkimi wokół, ale także z samym sobą.

Czyżbym przez cały ten czas tkwiła w błędzie?



Czytając poprzedni fragment, nie mogłam nie zwrócić uwagi na scenę, w której Adam Remiecki przegląda się w lustrze. Bo tak się składa, że i w naszym mieszkaniu stoi podobna szafa, wypełniająca wnękę korytarza. Gdy jeszcze miałam odwagę wychodzić na zewnątrz, zawsze odruchowo przeglądałam się w wiszącym na jej drzwiach lustrze. Teraz zatrzymałam się przed nim na dłużej. Byłam w piżamie, nieuczesa i nieumalowana. Wyglądałam jak pacjentka szpitala psychiatrycznego. Ale było w tej myśli coś pocieszającego, nie walczyłam z nią, nie próbowałam zaprzeczać. Wyglądałam dokładnie tak, jak powinna wyglądać przerażona, uciekająca przed strasznym światem dziewczyna, która na dodatek musi opiekować się kimś, kto na wewnętrzną emigrację udał się całe lata temu.

Odetchnęłam głęboko, otworzyłam szafę, a potem spomiędzy sterty złożonych w kostkę koszulek wyciągnęłam kolejny fragment powieści.

Fragment 3: Ekran wszystkich krajów, łączcie się

Największy żal miałem do samego siebie. Bo musiałem być kompletnie ślepy, że wcześniej niczego nie podejrzewałem. Natalia nie zgarnęła tego kołosa z ulicy, musieli się spotykać od dłuższego czasu, a ja byłem skończonym frajerem i przegapiłem wszystkie sygnały ostrzegawcze. Od jak dawna to mogło trwać? I czemu w ogóle do tego doszło? Przecież wydawała się taka szczęśliwa... Jej wzruszenia, wszystkie te drobne gesty i czułości wyglądały na szczere. Nie mogła udawać przez tyle miesięcy, aż tak dobrą aktorką nie jest.

Co zrobiłem źle? Może i czasami byłem egoistą, ale ona też bywała egoistką, bo teraz wszyscy są właśnie tacy. Siebie stawiamy na pierwszym miejscu, resztę traktując z góry, a przecież starałem się, naprawdę się starałem dawać jej więcej niż komukolwiek wcześniej. I to było coś rzadkiego, coś autentycznego w świecie, gdzie wszyscy zwracamy uwagę głównie na wygląd i powierzchowne zalety, chłodno oceniamy przydatność danego modelu człowieka, przeliczając szacowane koszty finansowe i emocjonalne, które będzie trzeba ponieść i zastanawiając się, jak długo taki związek może przetrwać i jakie maksymalnie możemy wyciągnąć z tego korzyści. Z Natalią było inaczej, niczego nie musieliśmy przed sobą udawać, naprawdę podobały jej się moje głupie żarty, a ja uważałem ją za najwspanialszą istotę na świecie, nawet kiedy robiła coś, co każdy inny facet uznałby za pretensjonalne. Kiedy z nią rozmawiałem, nie musiałem wcale wybierać tylko tych kwestii, które podwyższałyby moją ocenę w jej oczach, to nie był portal społecznościowy ani nadęta impreza, gdzie mówisz, myślisz i zachowujesz się tak, by jak najliczniejsze grono podniosło dwa kciuki w górę i stwierdziło: lubię to, masz u mnie, kolego, plusa. Czy nie jest to coś niespotykanego w tym pierdolonym totalitaryzmie fajności i zajebistości? Jest. A raczej było. Bo teraz szczerzy mogą być wyłącznie wobec siebie, a to niestety oznacza rozpoznanie smutnych faktów: gównu ci zostało, człowieku, teraz w twojej głowie będą tylko szarości i czernie, aż do śmierci. Tylko mdłości i cienie, i kruki na gałęzi każdego drzewa, ale wcześniej było na tyle kolorowo i emocjonująco, że pewnie nie mogło to trwać ani dnia dłużej. Natalia pod wieloma względami była moim odbiciem i

teraz sam nie jestem przekonany, czy taka sytuacja jest zdrowa. Może nie tyle podobieństwa zawsze muszą się odpychać, co raczej: po pewnym czasie stają się odpychające u tej drugiej osoby. Mieliśmy podobne poczucie humoru i te same rzeczy nas przerażały, a wśród nich prym wiodły ludzka głupota i skłonność do podejmowania decyzji, których potem żałuje się do końca życia. Czy odchodząc ode mnie, nie postąpiła właśnie w ten sposób? Skąd ma pewność, jaki naprawdę jest ten ktoś? Skąd wie, czy za dwa tygodnie nie ujawni swojego prawdziwego oblicza i wtedy dopiero się okaże, że jednak lepiej być z kimś, kto niczego nie chował przed nią po rękawach, nie zakładał żadnych masek. Wiem, że się rozczaruje i szczerze jej tego życzę. Niech straci wszystko i poczuje się tak, jak ja czuję się teraz. Niech jej kariera całkowicie się załamie. Niech...

Kurwa, co ja mówię, przecież wcale tak nie uważam. Jebać to. Niech będzie tak sławna jak tylko chce, niech dostanie wszystko, czego sobie zażyczy, niech ma milion fanów i miliard komentarzy. Chyba tylko to diametralnie nas różniło: ona koniecznie chciała widzieć zdjęcia swojej twarzy w Internecie, telewizji i gazetach, każdą publikację na własny temat traktowała jak pieczętkę potwierdzającą słuszność swoich wysokich aspiracji. Ja z kolei miałem mgliste przeświadczenie, że łatwiej działać we współczesnym świecie, zachowując choć częściową anonimowość, prawdę o sobie pozostawiając dla bliskich. Stając wobec obcych, lepiej ukrywać się za ciemnymi okularami, zaciągniętymi żaluzjami i gęstymi firewallami. Tworzyć fałszywe tropy, kreować wciąż nowe pseudonimy i odpowiadające im tożsamości. Oczywiście to była tylko pewna wizja, której nigdy nie spełnię nawet w dziesięciu procentach, na dodatek wizja nie moja, lecz wyrojona w głowie mojego starego druha, Dawida. Twierdził on, że w realiach całkowitego zaniku prywatności, w czasach gdy każdy jest lub chce być w jakimś stopniu sławny, prawdziwe gwiazdy pozostają niewidzialne. To właśnie nas dzieliło, mnie i Natalię, ale przecież nie robiłem jej wyrzutów, gdy lansowała się na portalach społecznościowych i branżowych imprezach czy godzinami stroiła przed wyjściem do pieprzonej restauracji, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nie patrzyłem krzywo, gdy co minutę zerkała na ekran telefonu, wierząc, że zaraz rozbłyśnie wiadomością, która na zawsze odmieni jej życie zawodowe. Nie turlałem się po podłodze ze śmiechu, gdy na własne zdjęcia bez obróbki w photoshopie gapiała się z takim niesmakiem, jak na galerię najpaskudniejszych wenerycznych schorzeń. I dopiero teraz, gdy odeszła, w pełni dotarło do mnie, o ile piękniejsza była, gdy razem wieczorami oglądaliśmy jakiś serial albo jedliśmy w domu kolację, choć wyglądała wtedy zupełnie

inaczej niż na tych swoich profilach, bankietach i kolejnych *afterparty*. I co z tego, że gdyby tak wyszła do ludzi, bez makijażu, w luźnym swetrze i z potarganymi włosami, trafiłaby pewnie na blog *Modowa Wtopa Tygodnia*? To była po prostu ona, wcale nie była wtopą. Siadała mi na kolanach i drobnymi dłońmi, w których na niezliczonych imprezach trzymała kieliszek szampana, gładziła mnie po policzkach. A teraz robi tak innemu. Wyrzygałbym chyba tęczę i ze dwa jednorożce, gdyby zmieniła zdanie i znów stanęła w moich drzwiach... Ja pierdolę.



Z rozmyślań wyrwał mnie ogłuszający huk. Podniosłem wzrok, odruchowo się kuląc. Niebo rozorała smuga białego dymu, która zniknęła teraz na moich oczach, jakby ktoś pośpiesznie ją wymazywał.

Rozejrzałem się, nie zauważyłem jednak niczego niepokojącego. W ogóle nikt inny nie zwrócił uwagi ani na ten dziwny odgłos, ani na biały pióropusz, który na krótko zawisł nad naszymi głowami. Piękne, odnowione kamienice stały w towarzystwie spękanych, poszarzałych makabrył, choć wydawało się, że te ostatnie dawno już powinny obrócić się w gruz. Z dała gapiło się na mnie zdumione niebieskie oko szyldu *Cafe Szafe*, przed knajpą siedziało dwóch nie takich znów starych bywalców. Wszystko teoretycznie wyglądało jak zawsze, a mimo to czułem wyraźną zmianę. Ktoś zdetonował bombę, okolicą wstrząsnęła potężna eksplozja, lecz nie dostrzegałem żadnych zniszczeń, nie było też świadków – poza mną. Właśnie zaczęła się niewidzialna wojna, najwidoczniej mająca tylko jednego, oszołomionego obserwatora. A może tam nikt o tym nie wie, może to wojna wewnętrzna, która rozgorzała gdzieś głęboko we mnie?

Zdrętwiały mi dłonie i stopy.

Błądziłem wzrokiem po otoczeniu, starając się odszukać choć jednego przechodnia, który widział to zdarzenie albo je słyszał, chociaż jednego, który miałby na twarzy sadzę niesioną widmowym podmuchem po równie widmowej eksplozji. Na próżno.

Tylko ta cisza, niepokojąca, nienaturalna, złowroga. Jakby moje miasto pokryła niewidzialna tafla.

A potem gdzieś za moimi plecami ryknęło miazdżoną stałą i kruszonym szkłem. Ulicą wstrząsnął taki grzmot, jakby gigantyczny pocisk trafił prosto w któryś z zaparkowanych tu samochodów, wprasowując go w asfalt. Rzuciłem się na ziemię i spojrzałem przez ramię, zasłaniając głowę rękami.

Okolica nadal wyglądała zwyczajnie, nie zauważyłem niczego niepokojącego, żadnych dymiących pozostałości po wybuchu. Jednak coś się zmieniło, teraz już byłem pewien. Poczulem się nagle, jakby ktoś ścisnął mi skronie imadłem, próbując zmiażdżyć czaszkę. Nie mogłem oddychać. Powietrze zmieniło się w galaretę, utrudniając ruchy i niweczając pracę płuc. Naraz wszystko, co widziałem, zatoneło w czerwonej mgłę, w której tańczyły cieniste kształty. Przechodnie zamarli w kuriozalnych pozach, niektórzy zgięci w pół, inni w rozkroku albo stojąc na jednej nodze – kolaż szaleńca, który własną krwią spryskał czas oraz przestrzeń i pozwolił im skrzepnąć. Ludzkie ciała niczym groteskowe rzeźby, na tle gęstych oparów, wyziewów rozerwanej eksplozją ziemi.

To tak jak na tym filmie, który dostałem od Pawła – jakaś pięciolatka ze Stanów jednego dnia nagle przestała mówić, a następnego zupełnie zeszytniała, jakby jej mięśnie, ścięgna i kości przeobraziły się w beton. Dziecko żyło wprawdzie, a przynajmniej tak orzekli lekarze, ale wyglądało jak ofiara psychopatycznego taksydermisty. Część komentujących uznała to za „bekę stulecia”, jednak niektórzy – w tym ja – naprawdę się przejęli. To było zdarzenie niemieszczące się w trójkacie: lajk, szer, komentarz; zostawało pod powiekami, choćbyś odwracał wzrok i zasłaniał oczy. Bo czy jest coś gorszego niż przeobrażanie się własnego ciała w celę, w dożywotnie więzienie?

Wszystko wokół stało się dla mnie czymś takim – potwornym odlewem siebie samego, nieruchomą karykaturą dobrze mi znanej ulicy.

– Wszystko martwe, kres komunikacji – wyszeptalem. I wtedy nacisk na skronie zelżał, mgła ustąpiła, a przechodnie ruszyli dalej. Jakby nic się nie stało.

Ja zaś stałem dalej, w pełni świadomy, że przyciągam wzrok mijających mnie osób. Na pewno mieli mnie za jakiegoś pojeba. Słyszałem ich myśli, czułem głęboko w piersi wycelowaną we mnie wściekłość, słowo „psychol” powtarzane półgębkiem jak patologiczny refren, całą tę pogardę – wprawdzie niemą, ale w mojej czaszce rozbrzmiewającą donośnym echem.

Ruszyłem dalej, dołączący *soundtrack* moich myśli nie dawał się wyciszyć.



Na salę wszedłem już po zgaszeniu świateł. W migotliwym blasku zwiastunów dostrzegłem ledwie kilkunastu widzów. Siedzieli zupełnie nieruchomo i odniosłem wrażenie, że to chyba nie żaden seans, tylko jakiś *performance*. „Pieprzone manekiny”, pomyślałem, ale słowa zabrzmiały głośno w przerwie między zwiastunami, więc musiałem je także wypowiedzieć na głos. Gdy mijiałem środkowe rzędy, jeden z siedzących tam manekinów przechylił głowę pod nienaturalnym kątem. W tym momencie skojarzył mi się z wisielcem, ale potem spojrzał na mnie i poruszył niemo ustami. Jego twarz na chwilę przybrała gniewny wyraz, potem jednak znów przestała ujawniać emocje.

Usiadłem w przedostatnim rzędzie, popcorn zachrupał pod podszewką. Fotel sprawiał wrażenie zrobionego z galarety, był miękki, lepki i wyjątkowo głęboki. Drżał przy każdym moim oddechu, więc postanowiłem oddychać jak najrzadziej, żeby nie oszaleć do reszty.

Czekałem w ciemnościach, rozmyślając, jak będzie wyglądać moje życie bez Natalii. Była jedyną osobą, której pozwoliłem się do siebie zbliżyć i która – tak przynajmniej myślałem jeszcze do niedawna – wpuściła mnie do swojego świata. Od lat nie miałem żadnych przyjaciół ani nawet zwyczajnych kumpi, których widywałem twarzą w twarz, a nie profilem w profil. Większość dnia spędzałem przed ekranem, pracując albo ciupiąc na konsoli. Moim jedynym doświadczeniem rodzicielskim była gonitwa za zaginionym synem w *Heavy Rain*. Przyływ adrenaliny następował tylko podczas partyjek w GTA albo sesji z odcinkami *Breaking Bad*. Gry nie nauczyły mnie życia, ale nauczyły grania i to mi wystarczało. Nieźle posługiwałem się bronią, chociaż nigdy nie miałem w ręce nawet najprostszego gnatu. Wyżynałem hordy najeźdźców, wykonywałem samobójcze misje w miejscach gorszych niż piekło. Oszalałymi kobietami – o piersiach i pośladkach tak kształnych, że sztab grafików musiał pracować nad nimi całymi miesiącami – wskakiwały mi pod realistycznie zanimowane kołdry i koce. Zbawiałem światy sklezione z miliardów polygonów. Trzecioplanowi bohaterowie szeptali moje imię swoim trójwymiarowym pociechom, kiedy już pogasły światła na wszystkich levelach. Nie byłem byle kim, lista moich osiągnięć potrafiła wprawić w osłupienie nawet wytrawnych graczy. Nawet nie

wiem, ile godzin dziennie pożerało mi klikanie głupich obrazków, łykanie newsów o niczym, wgapienie się w śmieszne klipy z niesfornymi kotami albo niemowlakami. Widziałem, jak kicha niemowlę pandy, czy jest coś lepszego pod słońcem? Nie sądzę. O dorosłej egzystencji wiedziałem zastraszająco niewiele. Wolałem jednak nie przyjmować tego do wiadomości, skoro i tak nie zamierzałem zmieniać swojej sytuacji. Popkultura zapewniała przyjemne znieczulenie, uciszała ten niepokojący szum, który słyszałem od lat – szmer niewyobrażalnej nudy, natrętne brzęczenie od rana do nocy. Bałem się, że może wrócić, że pewnego dnia stanę się głuchy na całą radosną kakofonię współczesności i zostanie tylko ten jednostajny, wywołujący mdłości dźwięk.



Dwa zwiastuny polskich produkcji to o dwa za dużo. Kolejne wysokobudżetowe gównno o dzielnych, mężnych i bystrych żołnierzach, walczących ze złym, brzydkim i głupim światem. A później kolejne pseudoniezależne szambo o zapijaczonych wieśniakach, galopujących na białych rumakach w cieniu jabłonek, plus złote myśli wygłaszane z patosem na tle pól pełnych parującego nawozu, nad którymi kołują kruki i wrony.

– Na to nie idę na stowę!– powiedział ktoś do kogoś, parę rzędów przede mną, a potem histerycznie się roześmiał.

Wreszcie na ekranie pojawił się neonowy napis *Wściekłe małpy*. Z głośników wałnęła punkrockowy podkład, aż przeszły mnie ciarki.

Scena otwarcia: bohaterka wraz z koleżanką niespiesznie wędruje mroczną aleją i rozprawia o niedawnym nieudanym seksie i zawiedzionych nadziejach. Później przyszła pora na kilka nerwowych ujęć z ręki, jak w *Blair Witch Project*, ale lepiej. I wtedy nagle włączył się tryb stroboskopowy. Wśród oślepiającego blasku na miejsce akcji wpadło kilku sterydzarzy z małpimi maskami na twarzach. W rękach trzymali siekiery, łańcuchy oraz tasaki – widok znajomy dla każdego, kto wyszedł ze schronienia tuż po krakowskich derbach.

Obydwie apetycznie wyglądające ofiary uciekały przez jakąś minutę, zanim banda agresorów sprowadziła je do parteru. Jedna skończyła z odrąbanymi dłońmi i stopami, drugą – tę graną przez Klarę – najpierw zgwałcono, a następnie wybito jej oczy, wciskając w nie zardzewiałe gwoździe. Na wrzeszczącą dziewczynę opuszczono wirującą kamerę, wjeżdżając jej nią przez

usta aż do gardła, gdzie pieniała się nienaturalnie odblaskowa posoka.

I na tym właśnie skończyła się rola Klary Sosnowski.

– Co z oczu, to z serca, ale taką toby się puknęło, oj, puknęło – zawyrokował ktoś siedzący obok, jednak kiedy odwróciłem głowę, okazało się, że nie ma tam nikogo, bo w swoim rządzie byłem całkiem sam.



Wściekłe małpy w ostatecznym rozrachunku okazały się jednym z tych filmów, które niezamierzenie definiują samą esencję życia – to znaczy są wizualnie ciekawe, ale fabularnie nie do zaakceptowania. Jednak mimo że przez większość seansu ten horror nie robił na mnie większego wrażenia i miejscami wydawał się bardziej komiczny niż mrozący krew w żyłach, po powrocie do domu czułem się dość nieswojo.

Zrzuciłem ubranie, mimowolnie wypatrując oprawców. Kątem oka wszędzie dostrzegałem pozbawione wyrazu twarze manekinów, sztywne peruki przyklejone do gładkich, łysych czaszek, oczy jak kauczukowe kulki wciśnięte w nieforemnie odlane otwory oczodołów.

I co, żałosny palancie, filmu się przestraszyłeś? Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Co by powiedziała Natalia, gdyby mnie teraz zobaczyła?

Położyłem się do łóżka i nakryłem kołdrą.

Musiałem jednak uczciwie przyznać: od dzieciństwa nie byłem tak przerażony jak teraz. Może to *Wściekłe małpy*, może liczony od dzisiaj czas-bez-Natalii, może nieznośna niepewność, czy to chwilowe spotwornienie świata jest zapowiedzią końca wszystkiego, czy raczej dowodem mojego postępującego szaleństwa. Widać paranoja była mi pisana. Zaraz przypomniały mi się lata, gdy byłem dzieckiem. Nienawidziłem ciemności. Bałem się jak cholera. Każdy zmierzch przynosił nowe koszmary. Mieszkaliśmy na czwartym piętrze, a klatka schodowa przez całe lata wywoływała u mnie paraliżujący lęk. Nie chodziło nawet o ten pożółkły, łuszczący się tynk ani o metaliczny zapach, jakby schody wyszorowano krwią. Najgorsze było to, że światło zawsze gasło, zanim zdążyłem dotrzeć pod swoje drzwi. Jakby blok wiedział, że ciemność mnie wykończy, i robił mi na złość. Nawet jeśli biegłem po dwa stopnie, światła starczało góra na trzy piętra. Nagłe wpadnięcie w mrok było najgorsze, w każdej chwili coś mogło przecież złapać mnie za kostki.

Nawet w snach raz po raz powtarzałem mój wyścig z ciemnością. Teraz, schowany pod kołdrą, drżąc niczym w wysokiej gorączce, czułem się zupełnie jak w dziecięcych koszmarach. Kroki w korytarzu. Śmiech dziecka. Nucenie piosenki, którą kiedyś ktoś mi już śpiewał. Drapanie w drzwi. Jakby próbowało się tu dostać jakieś zwierzę.

Tupanie nasilało się.

Ktoś był w mieszkaniu!

Zatykając usta, żeby nie oddychać zbyt głośno, powoli uniosłem kołdrę. Nikogo. Wstałem. Za oknem, w chłodnym półmroku, coś skrzypiało rytmicznie. Gdy przyjrzałem się uważniej, dostrzegłem kształt huśtawki. Kołysała się powoli, mimo że nikt na niej nie siedział. Z gęstej mgły wyłaniały się potężne sylwetki bloków.

Adamie Remiecki, witamy wśród czubków. Jaki rozmiar kaftana szanowny pan sobie życzy?



Na miejsce spotkania Sosnowski wybrała kawiarenkę niedaleko Ronda Ofiar Katynia. Woląla porozmawiać gdzieś, gdzie nie rzucą się na nią paparazzi. Trochę przesadzała, bo tak naprawdę głośno zrobi się o niej dopiero jutro, po występie w *Dzień Dobry TVN*. Czymże jest rola kinowa wobec pięciu minut w telewizji śniadaniowej?

Kawiarenka nazywała się Kofeina, ale jej wystrój przeczył nazwie – uspokajał zamiast pobudzać. Delikatne pastelowe barwy na ścianach, okrągłe stoliki w kolorze kawowym, kremowobiałe krzesła. Zapach w pewien tajemniczy sposób przypominał mi wydarzenia ostatniej soboty, wciąż kompletnie dla mnie niezrozumiałe, zupełnie jakby wtedy ktoś inny siedział w moim ciele, pochłaniając wspomnienia. Twarz Natalii. Jej szeroko otwarte oczy. Błada cera. Zamruganiem i świat momentalnie zmienił się w swoje ohydne przeciwieństwo. Skóra Natalii kruszyła się, a spod niej wyzierała...

– Zamów mi cappuccino – powiedziała do swojego towarzysza Klara, nie zauważając chyba, że podszedłem do ich stolika.

– Adam Remiecki. – Ścisnąłem jej dłoń; w dotyku była trochę jak wilgotna

gąbka.

– Sosnowski, miło mi. To mój agent, Mike Katzenberg.

Ciemnowłosa mężczyzna, którego określiła mianem agenta, na portalach plotkarskich był przedstawiany jako nowy kochanek Klary, ponoć niespełniony aktor i jak najbardziej spełniony narkoman. Nie wyglądał jednak na ćpuna – miał szerokie ramiona pływaka, trzeźwe spojrzenie i przyjemny uśmiech.

Położyłem dyktafon na blacie.

– Mogę?

– Śmiało – odpowiedziała Klara. Nie od dziś wiedziałem, że świetnie mówi po polsku.

Mike zapytał, czy chcę coś do picia, a gdy stwierdziłem, że na razie nie, wstał i poszedł zamówić kawę dla siebie i swojej podopiecznej.

– M-możemy zaczynać? – zapytałem. Mój głos, o dziwo, brzmiał niepewnie, jakbym robił taki wywiad po raz pierwszy.

– Nie ma problemu – odpowiedziała, zerkając na stojącego w kolejce do kasy Mike’a.

– Wyjechałaś z Polski ponad dziesięć lat temu. Pamiętasz jeszcze nasz kraj z tamtych czasów? Jak oceniasz zmiany?

– *Dear God*, przecież tutaj zmieniło się prawie wszystko! Zupełnie jakbym była teraz w innym państwie niż wtedy. Tylko ludzie wydają się podobni, tyle że inaczej się ubierają.

– Nic dziwnego. Ostatnio byłaś tu jako mała dziewczynka.

– Muszę ci powiedzieć, że moje dzieciństwo w Polsce to był taki trochę... ponury okres. I dlatego bałam się tej wizyty po latach. Nie chodzi o to, że spotkały mnie jakieś wielkie tragedie, bo to nieprawda. Wszystko było *great* – z mamą, przyjaciółkami i w ogóle. Ale byłam lękliwa i bardzo często miałam wrażenie, że coś po prostu „nie gra”. Może byłam też przewrażliwiona, *who knows?*

– Co masz na myśli?

– Na przykład często grałyśmy z koleżankami w klasy, w jakimś parku. I ten park, jak próbuję go sobie przypomnieć, wydaje mi się taki groźny i tajemniczy: te wszystkie wielkie drzewa, ciemne alejki, jacyś wysocy i smutni panowie, złoścący się na nas bez powodu. Nie wiem, czy tak było naprawdę, czy tylko to sobie wymyśliłam, a park wyglądał zupełnie normalnie. Zresztą pewnie postawili tam teraz supermarket albo galerię handlową.

– To by mnie nie zdziwiło, na miejscu mojego dawnego osiedla też chyba stoi teraz coś innego – zauważyłem, myśląc o tym, co właśnie powiedziała. Z

bojaźliwej dziewczynki wyrosła kobieta świetnie radząca sobie na planach najbrutalniejszych horrorów. Ciekawe. Może właśnie tak należało walczyć ze strachem: podejmując wyzwanie i jeszcze podbijając stawkę.

– Myślę, że mimo tych wszystkich zmian, transformacji i tak dalej, coś z tamtych czasów nadal w ludziach siedzi. I nie mówię tego tylko dlatego, że wiesz, mam tę premierę, no i to jest akurat horror. Odnoszę takie wrażenie, znów będąc tu, na miejscu. Niektórzy przecież dalej żyją komuną, jakby nigdy się nie skończyła. Parę godzin temu, na lotnisku, widzieliśmy z Mikiem kogoś takiego. Facet, słuchaj, zaczął się potwornie awanturować w hali przylotów. Był wściekły dosłownie na wszystkich. Kogoś tam nawet popchnął, zupełnie bez powodu. No i jak przyszła ochrona, żeby go stamtąd wyprowadzić, on zaczął krzyczeć: „Zomo! Sprzedawczyki! Ścierwojady!”, a na koniec z taką niesamowitą rezygnacją zawołał: „Niech żyje wolna Polska!”. Nie wydawał się pijany. Miał w sobie jakiś taki... żal do całego świata.

Chciałbym ją zapewnić, że to był odosobniony przypadek i że na co dzień takich ludzi spotyka się bardzo rzadko. Ale przecież nie dalej jak przed tygodniem mężczyzna, którego niechcący potrąciłem w tramwaju, powiedział półgębkiem: „Izraelita się, kurwa, znalazł”.

– Mówisz, że dzieciństwo tutaj wydaje ci się wyjątkowo ponurym okresem, ale w Stanach też nie miałaś lekko. Minęło wiele lat, zanim zdołałaś się przebić.

– Fakt, łatwo nie było. Nigdy nie jest. Ludzie patrzą na gwiazdy Hollywood jak na wybrańców losu, a nie pomyślą, że te osoby na swoją pozycję pracowały dekadami. Pamiętam, jak musiałam walczyć, żeby dostać się do obsady *You May Now Kill The Bride*... jak to się nazywało w Polsce?

– *Może pan poćwiartować pannę młodą.*

– Właśnie. Naprawdę fajnie to przetłumaczyli. – Zaśmiała się. – Ale wracając do tematu. Moja postać była na ekranie przez minutę i wypowiedziała dwa zdania, ale żeby to zagrać, musiałam podczas castingu pokonać czterdzieści innych kandydatek. W ogóle jak tylko zaczęłam trochę wsiąkać w ten filmowy świat, dotarło do mnie, że w L.A. na każdą aktorkę przypada kilka tysięcy kelnerek, sprzątaczek czy striptizerek, co też marzyły o graniu, ale im nie wyszło. Nadal chodzą po castingach. Mają nadzieję, że kiedyś im się uda. Tam wszyscy mocno wierzą w ten cały *american dream*, wszyscy liczą na cud i może dzięki temu są w pewien sposób szczęśliwi. Nie ma specjalnie wielkiej frustracji. Coś nie wyszło? *No big deal*, może uda się później! Tutaj jest pod tym względem okropnie. W hotelu włączyłam laptop i znalazłam jakiś artykuł o mojej roli we *Wściekłych małpach*. Pod nim było ze dwieście komentarzy...

same najgorsze obelgi. Nie pojmuję. Czy ci ludzie nie mają własnego życia? Gdybym mogła im coś odpisać, to by było: „Hej, a może ruszcie tyłki i jak wam się ten film nie podoba, to nakręćcie własny, zamiast tracić czas!”.

Zanim udało mi się zadać kolejne pytanie, poczułem, że nie mogę złapać tchu i na dodatek zaczęły mi drętwieć dłonie. Odniosłem wrażenie, jakby rosły w ekspresowym tempie, każdy z palców miał już co najmniej pół metra długości. Popatrzyłem na nie zaniepokojony, wyglądały jednak zupełnie normalnie. Zacisnąłem je w pięści, sprawdzając, czy mam jeszcze nad nimi kontrolę.

– *Wściekłe małpy* zostały wyprodukowane przez legendarną wytwórnię Hammer. Co sądzisz o reaktywacji Hammera? Widziałeś ich ubiegłoroczne produkcje? – zapytałem, starając się zachować profesjonalny ton.

– Może ty najpierw powiedz: czy w twojej głowie jest w ogóle miejsce dla kogokolwiek poza tobą?

Zdezorientowany, wbiłem wzrok w Klarę. Ale to nie ona siedziała przede mną. Wyglądała teraz zupełnie jak Natalia. Nie, to przecież była Natalia...

– Czemu pytasz mnie o coś takiego? – odparłem, czując że rumienię się ze wstydu. – Przecież wiesz, jak bardzo cię...

– Proszę?!

Wystarczyło zamrunąć i Natalia znów stała się Klarą Sosnowski.

Zakaszlałem nerwowo, próbując udawać, że tak naprawdę nie wydarzyło się nic niespotykanego.

– Chodzi o to, że... że... *Wściekłe małpy*... to oryginalna fabuła, nato... natomiast wśród nowych produkcji wytwórni... największym sukcesem był *remake Pozwól mi wejść* i...

Nim byłem w stanie dokończyć, usłyszałem serię wystrzałów, każdy kolejny głośniejszy od poprzedniego. Ciśnienie wewnątrz mojej czaszki momentalnie wzrosło. Coś w środku mocno naciskało na kości twarzy, przeszył mnie ból tak dotkliwy, że prawie spadłem z krzesła.

– Wszystko OK? – spytała Klara, unosząc brwi.

Nie odpowiedziałem. Przerażony zerkałem za okno, gdzie rozgrywał się dramat. Jedna grupa przechodniów rozstrzeliwała drugą. Nie widziałem tego dokładnie – przedziwna, pulsująca czerwonym blaskiem mgła ograniczała widoczność... Strzały w tył głowy. Ofiary bezwładnie padały na chodnik. Marionetki, porzucone przez rozgniewanego lalkarza. Mgła zgęstniała, przenikając przez szybę i wdzierając się do kawiarni, wsączała mi się do płuc. Była zimna, wypełniła nozdrza ohydną, metaliczną wonią, zupełnie jak tamta na

klatce schodowej, gdzie rozgrywały się moje najgorsze dziecięce koszmary.

– Ta... zbrodnia – mówiłem, nie słysząc własnych słów. W głowie miałem szum, nic więcej.

– Chodzi ci o scenę z początku *Małp*? Mocna, prawda? Podobno na pokazie przedpremierowym kilka osób straciło przytomność...

Nie wiedziałem nawet, czy mówi dalej, czy zamilkła. Szum w uszach stał się nie do zniesienia i w końcu musiał rozerwać wentyle bezpieczeństwa, bo zmienił się w ogłuszający pisk. To brzmiało jak zepsuta syrena alarmowa. Wydarzyło się coś złego, ale nikt oprócz mnie jeszcze nie miał o tym pojęcia. Wszystkie niewidzialne wojny zaczynają się wewnątrz.

Dusiłem się, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Mgła doszczętnie zakleiła mi usta i gardło, oczy popękały...

– Tak też myślałam – zawyrokowała Natalia, wstając od stolika.

Czemu znowu zachowywała się w ten sposób? Jak aktorka. Jakby nasze wspólne życie było kolejną głównianą rolą, przystankiem przed czymś naprawdę istotnym.

Znów to samo. Gdy rozmawialiśmy, niekiedy miałem wrażenie, że jesteśmy otoczeni kamerami, osaczeni przez niewidzialną ekipę filmową. Każde zdanie Natalii zaczynało wtedy brzmieć, jakby czytała je z trzymanego na kolanach scenariusza. Kiedy płakała, było to przesadne, histeryczne, nieraz połączone z trudną do opanowania wściekłością, rozbijaniem talerzy i trzaskaniem drzwiami. Nawet w seksie brakowało jej autentyzmu – jakby odgrywała kolejną scenę łożkową. Teatralne westchnienia i słowa wypowiedane z nienaturalną dbałością o dykcję. Kiedyś w złości stwierdziła, że jestem tak zapatrzonej w siebie, jakby świat nie istniał. Że nie zauważam różnicy między tym, co wymyślam, a tym, co się dzieje naprawdę. Ona – kobieta, która stopniowo zmieniała życie w odgrywaną dwadzieścia cztery godziny na dobę rolę, powiedziała mi coś takiego. Ale jeśli był w tym choć cień prawdy, to tym bardziej do siebie pasowaliśmy. Chciałem jej wtedy powiedzieć: ja cię nie tylko kocham, ale także bardzo lubię. Nie musisz starać się wzbudzać mojej sympatii, wzbudziłaś ją od razu i to się nie zmieniło. Moje oczy nie są obiektami, widzowie nie będą przez nie na ciebie patrzeć, w mojej głowie nie ma jury z Cannes, jestem tylko ja. Wywołujesz we mnie zachwyt, ale nie mogę ci wręczyć za to żadnej statuetki, przykro mi.

Możliwe, że obydwójce stanowimy tylko produkt wewnętrznego spierdolenia naszych rodziców. Tak by to pewnie określił mój zaginiony przyjaciel, Dawid. Czasem łapię się na tym, że gadam jego słowami. Ale to prawda: jesteśmy

ofiarami programu wychowawczego wdrożonego w miliony dziecięcych głów, polegającego na tym, by samego siebie zawsze stawiać w centrum wszechświata – po to właśnie te najlepsze szkoły, najdrożsi korepetytorzy, zajęcia dodatkowe za horrendalne kwoty, niedzielne szkółki i kosztowne szkolenia, uczące bezpardonowego zrównywania oponentów z ziemią. W gruncie rzeczy od małego trenowano nas do ucieczki z tego kraju rozpaczy i nędzy, połączonej z walką na wszystkich frontach jednocześnie. Bo skoro nasi niemający żadnej skazy starzy już zdecydowali się na dziecko, musiało to być arcydziecko, perfekcyjny pod każdym względem reprezentant nowego pokolenia, przed którym klękać będą miernoty spłodzone pokątnie i wychowywane w mieszkaniach kupionych za rozpaczliwie bagatelne kwoty. Musieliśmy pamiętać, jakiego wymagaliśmy poświęcenia, ilu wyrzeczeń, bo przecież bez nas mogli mieć wszystko: karierę, czas dla siebie i masę możliwości, którymi nie potrzebowali się dzielić z kimś trzecim. Lata dziewięćdziesiąte były najlepszym czasem, żeby się nachapać, uganianie się za jakimś rozwydrzonym, niewdzięcznym gnojem zakrawało na absurd. Chodziło więc o to, byśmy już zawczasu opanowali niezbędne manewry, zdobyli pieczątki na dyplomach, stali się ekspertami jak największej liczby dziedzin, a potem porzucili bagaż doświadczeń, który przykuł do Polski wcześniejsze pokolenia i uciekali, ile sił. Ratowali się z tego szalonego okrętu, tonącego przez wieki, który raz po raz znikał pod powierzchnią, a potem z niewiadomych przyczyn się wynurzał. Kochane dzieci, tutaj nigdy nie będziecie bezpieczne. Wrogie mocarstwa raz po raz zrównują nasz kraj z ziemią, a my te zgliszcza wciąż na nowo odbudowujemy, chociaż nie wiemy dlaczego, sami też przecież gardzimy tym miejscem, gardzimy sobą za to, że tu jesteśmy. To obszar przeklęty, tutaj wszystko jest pokrzywione od chwili poczęcia, historia bezustannie miesza się z histerią, korzenie drzew wciąż chłoną krew dawnych ofiar, powietrze nadal przesiąknięte jest dymem z krematoriów, pyłem po bombardowaniach, toksycznym oddechem sprzedajnych polityków i ich równie skurwionych przodków. Naszym jedynym bogactwem naturalnym są gigantyczne złoża nienawiści, spiętrzone pokłady kompleksów i frustracji, eksploatujemy je więc bez opamiętania. Jesteśmy narodem przegranym. Nie da się odciąć tej pępowiny, która pompuje w nas naszą poronioną przeszłość, pasma porażek, zdrad i zbrodni. Uciekajcie więc, dzieci, zostawcie te groby, te szkielety, ten skowyt rozbrzmiewający echem przez kolejne stulecia. Wyjmijcie łapy spomiędzy trybów historii. Tu nie spotka was nic dobrego. Idźcie więc precz, bądźcie lepsi.

Mogłem uciec, pewnie, miałem swoją szansę. Robiłem wiele, by zapomnieć, gdzie przyszło mi żyć, udając, że wszystko, co się tutaj wyprawia, to tylko taki niegroźny lokalny koloryt, wariactwo nieodzowne, lecz przejściowe. Wierzyłem, że te ekshumacje się skończą, mentalne muzea w końcu opustoszeją i może za jakiś czas zamkniemy wszystkie otwarte rozdziały, ruszymy do przodu, choćby i na ślepo.

Natalia ukryła się za murem tysięcy fingowanych gestów, powtarzanych jak z taśmy frazesów, wystudiovanych uśmiechów, a ja na dobre wsiąknąłem w wojażę po światach nierzeczywistych: słuchanie szalonych opowieści Dawida, który był jak pochodząca z innego świata maszyna, to był przecież czysty eskapizm. Ucieczkę od siebie ułatwiały już wcześniej coraz doskonalsze gry, filmy, seriale, w końcu kuriozalne śledztwa dotyczące wątpliwych karier Polaków zagranicą. Ale przecież znałem prawdę: nie było prawie żadnych międzynarodowych sukcesów i choćbyśmy przez kolejne tysiąclecia wyli i darli szaty, choćbyśmy dalej podrzynali sobie nawzajem gardła z okrzykiem: „Zdrada, zdrada!”, i tak nikt tam, w tak zwanym wielkim świecie, nie będzie w stanie wskazać jebanej Polski na mapie. Czasami przypuszczałem, że nic się nie kryło za odgrywaną przez Natalię rolę, pod spodem nie było żadnej prawdziwej kobiety, i tak samo nie było żadnego niepojętego sensu stojącego za naszą tragikomiczną historią. Jeśli coś pokochałem z całego serca, to pokochałem czystą fikcję, scenariusze niemające punktów stykowych z faktami. A przecież kiedyś najbliższy przyjaciel ostrzegał mnie przed tym, co może się stać, jeśli zbyt mocno uwierzymy w to, co sami wymyślamy. W jego przypadku chodziło wprawdzie o literaturę, która podobno kompletnie go zniszczyła, skaziła czymś niepojętym, ale to samo odnosiło się do moich marzeń na jawie. Fikcja zaraża i może zabić. Czemu się w porę nie zorientowałem?

Udawałem tak długo, aż sam zatraciłem realne kształty.

– Nie myślałaś o tym, że powinnaś wrócić i po prostu... – wyszeptalem z trudem, kaszląc czerwoną mgiełką.

– Do Polski? – spytała z niedowierzaniem Klara. Patrzyła na mnie jak na skończonego idiotę, robiąc wielkie oczy i zerkając nerwowo na Katzenberga. – Nie, nie brałam tego pod uwagę. W Stanach mam przecież wszystko. A tu? Tu nic nie zostało.

Próba kontaktu

Tym razem opamiętałam się zdecydowanie za późno. Czytałam fragmenty budzące coraz większy strach, jednak nie potrafiłam oderwać wzroku od tekstu. Ciemność napierała, a ja patrzyłam tylko w biel kartki, jakby miało mnie to ocalić przed nieuniknionym.

W końcu przedawkowałam głębokie treści.

Przekroczyłam dopuszczalną dawkę lęku.

I chwilę później leżałam już na podłodze, nie mogąc się nawet podnieść.

Ściany i sufit falowały, sprawiając wrażenie nierzeczywistych.

Wszystko wokół wydało się nowe, dziwne i niezrozumiałe, chociaż byłam u siebie, w miejscu, które teoretycznie znałam najlepiej.

Starłam się oddychać, ale czułam się tak, jakby ktoś bardzo ciężki siedział mi na piersiach.

– Ojczy – wyszeptałam.

Chyba liczyłam, że nadal gdzieś tu był, że schował się tylko na chwilę, ale zaraz do mnie wróci, zdrowy i wreszcie w pełni sił, by się mną zaopiekować. Przecież jestem jego córeczką, jego jedynym dzieckiem, i to ja wymagam szczególnej troski, nie odwrotnie.

Otoczenie rozpląwało mi się przed oczami, ściekając z pola widzenia, a pod nim czaiła się ciemność i pleśń.

Spadałam w głąb podłogi. Wyciągnęłam ręce przed siebie, starając się czegoś złapać, ale nie dałam rady. Świat stał się całkiem czarny i zupełnie cichy.



W końcu wyłoniłam się z tych potwornych, niepojętych głębin. Nadal był dzień, za kuchennym oknem wszystko aż jaśniało.

Dziś już nie będę czytać, postanowiłam. To zbyt niebezpieczne. Wcześniej

też zdarzało mi się tracić przytomność, ale to nie jest coś, do czego można się przyzwyczaić. Batofobia, oprócz tego, że powoduje ataki paniki, związane z całym mnóstwem rzeczy, sprawia też, że na niczym nie mogę się skupić na dłużej niż przez chwilę. Najlepiej, gdyby wszystko było maksymalnie krótkie, krańcowo głupie i nie wymagało koncentracji. Dwudziestosekundowy klip z kotem zsuwającym się po zjeżdżalni. Dwuakapitowy artykuł o otwarciu parku wodnego w Kalifornii, w którym serialowa aktorka, Veronica Venus, siedząc w jacuzzi pełnym bulgoczącego kisielu, pokazuje cycuszki, a potem mówi: „Ups!”. Dwuminutowa piosenka o tym, że czasem jest źle, a czasem dobrze, ale nie ma się czym przejmować, bo przecież jest seks na plaży, są cienie i blaski, no i przede wszystkim, gdy masz takie ciało jak ta piosenkarka, to wszyscy cię – je je je! – pragną, pragną, pragną.

– Ale wpadka! – jęknęłam zażenowana, patrząc, jak na filmiku wysiadająca z limuzyny dyktatorka mody błyska do kamer krzywo przystrzyżonym krzaczkiem ognistych włosów łonowych. Choć z drugiej strony już jutro może się okazać, że właśnie ta fryzura intymna jest najnowszym krzykiem mody i wszyscy będą chcieli mieć podobną.

Westchnęłam i wbrew rozsądkowi zaczęłam myśleć o najbliższej przyszłości.

Nie chcę siedzieć zupełnie beczynnie, gdy mój ojciec gdzieś się błąka albo wpada w kłopoty. Przecież może włączyć się pod samochód, sturlać z ruchomych schodów, wejść do pustego szybu windy... A ja tu czekam jak głupia, na przemian czytając jego powieść i kojąc lęki internetową sieczką.

Spróbowałam więc posunąć się choć o krok w tych poszukiwaniach i znaleźć namiary na Adama Remieckiego, jeśli on w ogóle istnieje. To prawda, stary, dobry Internet dla sporej części użytkowników sieci jest już pełnym archaizmem, ale na razie nie mogłam korzystać z Immersjonetu, bo nie stać mnie na nową nakładkę filtrującą treści zagrażające batofobikom, a poprzednia wygasła. Gdybym zanurkowała w sieć bez zaktualizowanej nakładki, już po minucie byłabym dosłownie sparaliżowana strachem. Przestrzenne treści z wielu niekontrolowanych źródeł właśnie tak na nas, chorych, działają. Na szczęście filtry internetowe mają swoje darmowe odpowiedniki, dlatego w „płaskiej sieci” mogę czuć się bezpieczna.

Żadna z wyszukiwarek nie znajdowała adekwatnych treści połączonych z nazwiskiem Remieckiego. Postanowiłam zatem zrobić coś zupełnie randomowego i wysyłałam maila na wymyślone na poczekaniu adresy: adam.remiecki@zerosciemy.pl, adam_remiecki@zerosciemy.pl i

ad.rem@krytyka.pl.

Właściwie mogłam wcześniej sprawdzić, czy wspomniane w książce mojego ojca portal i tygodnik w ogóle istnieją. Co za głupota, słać tak w ciemno. Poszukałam ich więc teraz. Wydawało mi się mało prawdopodobne, że będą naprawdę istniały, skoro w sieci nie widać nawet samego Remieckiego. Albo więc nikogo takiego nie ma, albo się ukrywa, albo używa wyłącznie Immersjonetu, z którego ja będę mogła korzystać dopiero wtedy, gdy uzbieram pięćset kredytów na nową licencję dla Oficjalnego Filtru Treści. Zerosciemy.pl okazała się wygasłą domeną, można ją wykupić za czterdzieści kredytów miesięcznie. Z krytyka.pl było inaczej, ale to też nie był żaden popularny portal satyryczny, tylko prymitywna strona z animacją, na której ukazywały się ukryte w cieniu kształty ludzkich głów i górujący nad nimi kinowy ekran. Nie znalazłam żadnych odnośników, informacji o przeniesieniu do immersji czy choćby stopki redakcyjnej. Ostukałam palcami miejsca, w których mogłyby się znajdować ukryte buttony reagujące na gest czy dotyk, a wtedy animacja wreszcie odpaliła, ujawniając całą swoją amatorszczyznę. Kinowy ekran zamrugał kilkakrotnie, pokrywając się wyblakłą czerwienią, a potem monotonnie szumiąc znikł pod śniegiem zakłóceń, by w końcu zgasnąć na dobre. Innych atrakcji najwyraźniej nie przewidziano. Aż miałam ochotę rzucić holotabem o ścianę.

Nie licząc, że dostanę odpowiedź na wysłane maile, zajrzałam zrezygnowana na portal Teraz.eu, zawsze działający na mnie wyjątkowo uspokajająco. Strona zawiera idące na żywo streamy gwiazd i celebrytów. Najbardziej lubiłam te, których bohaterowie nie krępują się pokazywać naprawdę wszystkiego. Przez chwilę przyglądałam się, jak zyskująca coraz większą popularność aktorka, Natka Pistacja, która kiedyś zagrała w dwóch odcinkach jakiegoś sieciowego serialu, robi test ciążowy. Pamiętałam, że przed miesiącem była na alkoholowo-narkotykowej imprezie, zakończonej prawdziwą orgią. Nic dziwnego, że teraz sprawdzała, czy przypadkiem nie zaszła. Na swoim vlogu przyznała, że seks z antykoncepcją przestał ją kręcić jeszcze w liceum, więc całkowicie z niej zrezygnowała.

Zwykła kamera streamowała jej twarz, a drugi przekaz szedł z mikrokamery przyczepionej do samego testu. Po chwili w górnym oknie zobaczyłam, jak Natka zrobiła taką dziwną, trochę rozmarzoną minę, a w dolnym oknie na ekran trysnęła struga jasnego moczu.

Moment niepewności.

I ja, i Natka przygryzłyśmy zaniepokojone dolną wargę.

Napięcie sięgało zenitu...

Tak!

To prawda!

Natka Pistacja rzeczywiście jest w ciąży! Nie wiadomo, z kim, ale przecież to nieistotne. Po minucie na ekranie ukazała się wiadomość, że aktorka zdecydowała się na aborcję, która na pewno będzie streamowana w przyszłym miesiącu, tyle że w trybie *pay per view*.

Przez kolejne pół godziny oglądałam inne streamy, ustawiając podział ekranu holotabu na osiem okien, żeby się nie zanudzić. Niestety, dziś większość bohaterów nie robiła nic interesującego. Jedynie były piłkarz i aktualny narkoman Antoni Walczak silił się na oryginalność, nagrywając, jak nagi jedzie skuterem do supermarketu. Niektórzy przechodnie zauważyli, że właśnie nagrywa, więc machali do kamery albo starali się szybko jak najbardziej obnażyć, licząc, że otrzymają wystarczającą liczbę punktów, by dostać własny dział w kategorii Herosi Drugiego Planu.

Potem zminimalizowałam okna i zamówiłam obiadokolację we Flying_Asia_Express. Dron miał przylecieć do mnie w przeciągu dwudziestu pięciu minut, co byłoby niezłym wynikiem. Na koniec sprawdziłam pocztę. Nie było ani słowa od Remieckiego, pojawiły dwa mailer-deamony informujące, że moje wiadomości nie dotarły do adresata. Co z trzecią, czyżby gdzieś się przebiła?

Zaczęłam od maila, który przysłała mi E-milka, moja netowa przyjaciółka.

Hejka maleńka!

Pszykro że z twoim tatusiem taki kłopot. Może ci jakoś dopomogę bo już napisałam do jednego gościa. Taki Marek co często mi klika propsy za klipy i holki. Zna się na monitoringach i różnych podobnych. Zalączyłam mu holo twojego taty to może oblooka nagrania z twojego kąpleksu i okolic i gdzieś go zauwarzy, czy coś.

Nie smutaj się smutnym smutkiem! Bendzie dobrze! :-D

Całusek!

XOXO

E-milka

Że też sama na to nie wpadłam – monitoring! Przecież w naszym kompleksie jest sporo kamer. Podziękowałam E-milce za pomoc, stuknęłam propsa pod zamieszczoną niedawno na jej profilu holcią i przez chwilę byłam nawet dobrej myśli.

Ale kogo chciałam oszukać? Wiedziałam przecież, że ojciec wcale nie

wychodził z mieszkania. Nie będzie go na żadnym nagraniu. On nawet nie wyszedł z pokoju! Klucze leżą na swoim miejscu, nietknięte. Nie miał zapasowych, bo to ja je mam. Zostały po nim tylko fragmenty tej dziwnej książki, nic więcej.

Przygnębiona, przeglądałam kolejne wiadomości, odpowiadałam na kolejne troskliwe propozycje i czułam coraz większe przerażenie.

Potem, jedząc pałeczkami nieco przesoloną obiadokolację, poświęciłam pół godziny na oglądanie śmiesznych filmików z leniwcami i chomikami. Zamieszczone pod nimi komentarze były tak głupie, że filtr nie wyłapywał nawet takich pośrednio głębokich, które mógłby oznaczyć na żółto. Czytałam je z czystą radością.

Owocna zwierzosesja zrelaksowała mnie na tyle, że byłam w stanie wypełnić formularz spożywczy i zrobić zakupy na stronie Ładuj-to-w-lodówkę.

I wtedy coś sobie uświadomiłam. Ojciec nie zniknął tak po prostu. Najwyraźniej chciał, żebym zaczęła walczyć ze swoją fobią. Dlatego to zrobił. I dlatego postąpił właśnie w ten, a nie inny sposób. Zostawił mi łamigłówkę – fragmenty tekstu i pusty, zamknięty od środka pokój. Na razie nic z tego nie rozumiałam i wydawało się mało prawdopodobne, że w najbliższym czasie poczynię jakiegokolwiek postępy. Chociaż tak bardzo się bałam, nie mogłam przestać o tym myśleć...

Co będzie, jeśli mimo wszystkich starań nie zgadnę, o co chodzi w tej zagadce? Czy już nigdy nie zobaczę ojca?

Fragment 4: Utrata orientacji

– To jakiś żart? – zapytał głos w słuchawce, a ja zamarłem na środku pokoju. Wszystko zaczęło kołysać się do niesłyszalnego rytmu, ściany raz po raz oddychały głęboko, a sufit i podłoga niebezpiecznie zbliżyły się do siebie, jakby zmiążdżenie mnie było tylko drobną przeszkodą na drodze do ich zjednoczenia.

– Sprawy się... bardzo pokomplikowały – odpowiedziałem w zwolnionym tempie. Miałem wrażenie, że mój język jest zbyt długi i nie mieści się w ustach.

– Pokomplikowały?! Serio?! – krzyk był tak głośny, że aż ścierpło mi ucho. Odsunąłem więc ostrożnie słuchawkę od głowy, ale szło mi ciężko, jakby była do mnie przyklejona jakąś niewidzialną, ciągnącą się substancją.

Momentalnie zapomniałem, czego dotyczyła rozmowa. Nie wiem, co dokładnie chciałem przed chwilą powiedzieć i czemu starałem się wyjaśnić Krystianowi, co się ze mną działo. Przecież nawet ja nie miałem pojęcia, co to wszystko może znaczyć.

– Wywiad z Sosnowski był dla nas superważną sprawą – cedził naczelnny „Zero Ściemy”. Zupełnie, jakbym nie wiedział. – Mogłem tam posłać kogokolwiek, naprawdę, ale postawiłem na ciebie, Adam, bo, kurwa, miałem do ciebie zaufanie. I co? I właśnie ty mi wyciąłeś taki numer? Jej agent, ten cały Mike, chyba z pięć minut nie dawał mi nawet dojść do słowa. Mówił, że twoje zachowanie naprawdę Klarę przerażyło. Nie „przestraszyło”, nie „zaniepokoiło”, tylko właśnie „przerażyło”! Dociera to do ciebie? Chciał wiedzieć, czy się leczysz, czy jesteś schizofrenikiem, czy po prostu jedziesz na kwasie od samego rana. Coś ty tam zaczął odpierdalać? O co ci chodziło z tą strzelaniną za oknami? Od kiedy bierzesz tak w ogóle? I czemu mi nie powiedziałaś? Taki wywiad zawalić...

– Niczego nie biorę, daj spokój. Pochorowałem się po prostu – stwierdziłem, czując, że podłoga robi się miękka jak błoto i że zacząłem w nią wsiąkać. Momentalnie zniknęły stopy, łydki i kolana, a ja myślałem tylko: zapadam się, zapadam, zapadam...

– Próbowałem mu wytłumaczyć, że jesteś jednym z najzdolniejszych ludzi w redakcji i nigdy wcześniej nie dałeś ciała. Trochę się uspokoił, ale lepiej

będzie, jak sam zadzwonisz do Sosnowski i ładnie przeprosisz. A najlepiej kup jej kwiaty i błagaj na klęczkach, żeby nas nie skreślała. Nie mamy na tyle mocnej pozycji na rynku, żeby bezkarnie robić takie rzeczy... – mówił dalej, ale już nie słyszałem jego słów, tylko jednostajny szum, docierający zewsząd, niczym padający na mnie gęsto śnieg zakłóceń, odpryski rzeczywistości obróconej w lodowaty popiół.

– Krystian. Pomóż mi. Tonę – wyszeptałem ostatkiem sił, już po pas zanurzony w podłodze.

Wyrzuciłem ramiona przed siebie i próbowałem się czegoś złapać, ale wszystkie meble dryfowały w nieznane. Pokój się rozszerzał, był teraz wielki jak boisko. A może to ja się skurczyłem? Może za moment zniknę zupełnie? Otoczenie stało się płynne, rozmazane. W głowie skwierczało i szumiało, nagła gorączka objęła mózg dzikim pożarem, którego nikt nie będzie w stanie ugasić.

Rozłączyłem się, walcząc o każdy oddech. Potem drżącymi palcami wystukałem numer pogotowia. Choć co pogotowie mogło tutaj pomóc? Jak miałyby mnie wyłowić z tych betonowych gardzieli, z tej paszczy szaleństwa?



Dokąd mnie zabierasz? – zapytałem w myślach sam siebie, nie będąc w stanie unieść powiek. A gdzieś tam, na zewnątrz, miało teraz miejsce hałaśliwe przedstawienie – krzyki, szarpanina, tupot, sapanie, jęki... i krzyki ponownie.

Ktoś wniósł mnie do miejsca przesiąkniętego chemicznym zapachem. I ruszyliśmy. Zatrzęsła się podłoga, wstrząsy przenikały wszystko, więc zaraz ja też się trząsałem, a ostry wibrujący sygnał zaczął mnie siekać na plasterki.

Nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Nie umiałem już tego robić. Zapomniałem, jak się oddycha.

Zapomniałem wszystko.

Popatrz, Natalia, popatrz tylko, do jakiej zapaści mnie doprowadziłaś. Ty jesteś teraz w siódmym niebie, ja w niebezpieczeństwie. A było nam tak dobrze. Przekreśliłaś wszystko jednym gestem. A taką historię moglibyśmy opowiadać wnukom, ubarwiając ją do tego stopnia, że stałaby się wręcz porywająca. Obydwoje udawaliśmy na medal: ty perfekcyjnie odgrywałaś uczucia, ja

wirtuozersko dawałem się na nie nabierać. Po latach usypiającej stagnacji, którą błędnie nazywałem szczęściem, nagle zaczęło dziać się tyle rzeczy niepotrzebnych i niepojętych. Jeden wykolejony związek, jedno złamane serce i już tracę kontakt z otoczeniem.

Chciało mi się rzygać. Gdzieś daleko, jakby w sąsiednim mieście, rozbrzmiewała syrena; w pustym wnętrzu mojej głowy krążyło jej stłumione echo.

Co się działo? Może właśnie miałem udar i odtąd będę jak mój ojciec na stare lata: pół twarzy nieruchome, jedna powieka dożywotnio zamknięta, druga wprawdzie uniesiona, ale w przekrwionym oku widać tylko czysty strach. Nerwowe wodzenie cyklopiem wzrokiem po ludziach i przedmiotach, spowolniona mowa, ruchy jak poszatowane jakimś wewnętrznym stroboskopem...

Może powinienem coś zrobić, żeby zminimalizować straty, jakie przyjdzie mi ponieść. Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Zapomniałem, jak trzeba się zachowywać w sytuacjach kryzysowych.

Wszystko się trzęsło, robiło się coraz ciemniej.

Nagle dotarło do mnie, że znowu mogę wciągać powietrze w płuca. Chociaż coś skrzypiało we mnie, gdy to robiłem. Coś groźnie chrobotowało.

Gdzie ja jestem? Pomocy.

Rwany oddech i ciemność.

Nie wiedziałem nawet, gdzie się kończy moje ciało, a zaczyna świat. Zlałem się z otoczeniem w jedno, stliłem z tłem na wieki. To miejsce wniknęło we mnie i nie pozostało już żadne „tam”, teraz wszystko było „tu”, zassałem w siebie całą przestrzeń.

Dokąd jechaliśmy?

Już wiedziałem: jak najdalej od siebie.



Na początku była mgła – gęsta, czerwona, spowijająca wszystko. I jeśli w ogóle istniałem, to byłem obficie skąpany w jej oparach. Wokół rozciągały się setki kilometrów raz rzadnącej, raz gęstniejącej substancji. To kokon, który

zamknął mnie w sobie i poza nim nie było już żadnego świata.

Niczego nie czułem i było mi wspaniale. To miejsce to mój nowy dom. Nie było tu nikogo, kto mógłby mnie skrzywdzić, nie było tu niczego, co mogłoby budzić wątpliwości.

Śnię? – pytałem sam siebie, lecz odpowiedź zupełnie mnie nie obchodziła.

Czerwień bladła, stawała się kojąca. Szybko zapomniałem o wszystkim, co mnie martwiło; teraz stało się to już odległe i pozbawione znaczenia. Wcale nie musiałem się zastanawiać nad tym, co mnie spotkało. Żaden namysł nie był już konieczny. Ogarnęła mnie błogość i słabość, jakbym był chory, chociaż kochałem tę chorobę, bo to dzięki niej było mi tak dobrze; mogłaby trwać w nieskończoność, mógłbym się już nigdy nie wykurować.



Ze wszystkich stron naraz rozbrzmiał czyjś głos i odbił się echem, jakby moja czaszka była wielkim pudełkiem pełnym niczego:

– Przyjrzyjmy się zdjęciom.

Mrugnąłem i momentalnie trafiłem w zupełnie inne miejsce.

Głowa lekarza wyglądała niczym blady balon z doklejoną niezdarnie koroną siwych kłaków. Dryfowała nad białą płaszczyzną biurka, na którym leżały wyniki mojej tomografii. Zmarszczki na jego twarzy nie wydawały się realne, zupełnie jakby przed momentem ozdobiono nimi zupełnie gładką skórę – brakowało im głębi i wiarygodności, intuicja podpowiadała mi, że wcale nie wyźłobiła ich historia, raczej wprawna dłoń charakteryzatora.

– Niektóre dolegliwości, na które się pan skarżył, jak bóle głowy, poczucie dezorientacji czy narastające mdłości, wynikają ze wzrostu ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Z kolei pozostałe, te najbardziej uciążliwe, takie jak omamy słuchowe i halucynacje, związane są już bezpośrednio z wykrytym przez nas w lewej półkuli nowotworem... – Mimo że ostatnie słowa wypowiedział półszepem, dla mnie brzmiały dwa razy głośniej niż wszystkie poprzednie.

Mówił dalej i po chwili padły też określenia takie jak „złośliwy” i „nieoperowalny”, a każde były jak kolejny cios w przeponeę.

Zapomniałem o oddychaniu, o myśleniu. Zapadłem się w siebie, zgarbiony, stłamszony, zniszczony. Pole widzenia momentalnie skurczyło się do rozmiarów znaczka pocztowego, otoczonego ciężką, czarną ramą. Dźwięki odpływały na drugi plan, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, słyszałem tylko odgłos własnej przełykanej śliny, cichy zgrzyt paznokci kompulsywnie drapiących nadgarstek, szuranie podeszwy o podłogę. Miałem wrażenie, że już jestem w trumnie, obserwując i podsłuchując rzeczywistość przez malutki wziernik na wysokości oczu.

Jak to możliwe? A więc świat się wcale nie kończył, bogowie nie zstępowali na ziemię w pelerynach z dymu, w aureolach z ognia? Po prostu urosło mi w głowie trochę nadprogramowych komórek, nic więcej? I ja niedługo zniknę, a rzeczywistość nie dozna żadnego uszczerbku?

Moje pole widzenia znów zaczęło się rozszerzać, wyłaniałem się z ciemnego miejsca, w którym tkwiłem jeszcze przed momentem. Na trzymanym w dłoni zdjęciu lekarz palcem wskazującym zakreślił nieduży obszar kształtem przypominający Polskę. A zatem to ta maleńka Polska rosła w mojej głowie? Czy to właśnie z nią mam przegrać? Nie byłem w stanie skupić się na słowach doktora, ale z napięcia malującego się na jego twarzy łatwo mogłem wyczytać, że nie jest ze mną dobrze. Atakowały mnie słowa: „...nie więcej niż kilka tygodni”, jednak nie potrafiłem w pełni odnieść ich do siebie. Przecież byłem młody i zdrowy, powinienem żyć wiecznie, zasłużyłem sobie na to. Powinienem...

– ...co jest z całą pewnością efektem ubocznym nasilonego lęku – usłyszałem nagle.

Podniosłem wzrok, zdezorientowany.

Rozglądając się nerwowo, ze zdumieniem odkryłem, że znalazłem się w zupełnie innym gabinecie. Przede mną siedział inny lekarz. A na blacie biurka tak naprawdę wcale nie było koszmarnych wyników mojej tomografii, wyroku w kształcie ludzkiej czaszki oszpeconej plamą ciemną niczym splunięcie śmierci.

– Jakiego lęku? – zapytałem, nagle otrzeźwiony, jakby mnie spoliczkowano.

– Tak jak mówię: fizycznie absolutnie nic panu nie dolega. Wspomniane przez pana objawy wskazują raczej na ciężką odmianę fobii.

Dobrze go zrozumiałem?

Czy on starał się mi wmówić, że moim jedynym problemem był zwykły strach?

Pudełko pełne niczego

Nie chcę nawet myśleć, że ta książka jest o mnie.

Można od tego zwariować.

Oszaleć bardziej niż ojciec.

Czemu on mi to zrobił? Czemu zamiast stworzyć swoje od dawna zapowiadane arcydzieło, napisał tę udziwnioną, pretensjonalną historię o facecie, któremu ze strachu kompletnie odbiło? I którego ojciec miał udar, zupełnie jak moja matka? I który podczas ataku paniki tak jak ja zapomina, jak się powinno oddychać i widzi świat z oddali? No czemu?

Już od godziny chodziłam w tę i w tę po jego pokoju, szukając czegoś, co naprowadziłoby mnie na trop. Ale nic tutaj nie było, nic poza tym tekstem. Ojciec wiedział, jak bardzo będę się bała, a mimo to wyciął mi taki numer. Z premedytacją chciał wywołać we mnie najgorsze lęki. Jakby celowo się nade mną znęcał. I jakby wszystkie te lata, które mu poświęciłam, wszystkie te wyrzeczenia, na które musiałam się godzić, nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Poprzedni rozdział (wraz z kolejnym, bo tym razem odkryłam aż dwa) schował za nieużywanym od lat panelem OLED, który kiedyś służył mu jako telewizor. Zwyczajnie przykleił kartki z tyłu, ale minęło trochę czasu, zanim je znalazłam. W tekście pojawił się wprawdzie ekran (kinowy), który widziałam też na stronie krytyka.pl, problem w tym, że nie od razu pomyślałam o naszym starym telewizorze. Obecnie prawie wszystko jest przecież ekranem: drzwi lodówki i indukcyjna powierzchnia kuchenki, łazienkowe lustro, komentujące wygląd i sugerujące podjęcie określonych działań („Sięgnij koniecznie po innowacyjny krem do cery suchej NANODERMA500!”) albo odpowiednie dobranie makijażu. Nie wspomnę już o wszystkich oculusach, glassach czy holotabach. W końcu jednak coś mnie tknęło i przypomniałam sobie, co kiedyś pełniło funkcję głównego ekranu każdego domu i mieszkania...

Teraz ogarnęła mnie bliska panice desperacja. Zaczęłam sprawdzać nawet ten jego archaiczny komputer, wszystkie ostatnio tworzone dokumenty i pamięć przeglądarki, ale ojciec właściwie nic na nim nie robił poza pisaniem, a przeczytanie serii wywołujących paranoję miniatur lub urwanych w połowie

opowiadań bez fabuły czy sensu nie da mi żadnych odpowiedzi. Na dysku były ich całe setki i na dodatek większość powstała dwa – trzy lata temu, a nie podejrzewam, żeby ojciec już wtedy planował swoje zniknięcie. To absurdalne. Prościej byłoby chyba przeszukać całe miasto, osobiście sprawdzić wszystkie zakamarki, ślepe zaułki i pustostany, niż wypatrywać śladów ojca w gąszczu jego niezliczonych tekstów. Nie poradzę sobie z tym wyzwaniem. Nie uda mi się. Nie w moim stanie...

Siadam na łóżku i zaczynam płakać, upokorzona i wściekła. Choroba sprawiła, że stałam się zupełnie bezsilna. Mówię zarówno o chorobie ojca, jak i o własnej. Nasze cierpienie pogłębiło się, odkąd zamieszkaliśmy razem, ale przecież wiedziałam, że nie wolno mi go zostawić. W zakładzie straciłby swoją królewską izolację, na którą zdecydował się lata temu. To była sytuacja bez wyjścia. Dla nas obojga.

Płaczę i nie mogę przestać, ledwie jestem w stanie złapać oddech. Drżą mi ręce.

Czuję, jakby to wszystko się ze mnie wylewało. Cały ten smutek, którym wypełniałam się już od tak dawna.

Co się ze mną stało? Czemu aż tak się pochorowałam? Przecież w szkole średniej było jeszcze do zniesienia. Może częściej niż inni bywałam przygnębiona, skłonna do osuwania się depresyjne stany bez powodu, ale wynikało to bardziej z mojego charakteru, który zdaniem szkolnego psychologa odziedziczyłam właśnie po ojcu. Utrata matki, gdy miałam dziewięć lat, też mogła odegrać znaczną rolę. Od tamtej pory zajmował się mną wyłącznie tato, często miewający swoje wahania nastroju. Niestety, niespodziewana śmierć żony w nim także coś zabiła. Zniszczyła tę jego część, którą kochałam najmocniej, jakąś czułość, dobro czy może zwyczajną empatię. Wtedy cały czas płakałam, a ojciec nie płakał wcale. Stał się wycofany. I zimny, tak potwornie zimny. Jego puste ciało błąkało się po mieszkaniu, jego puste spojrzenie ślizgało się po powierzchniach. Myślę, że już w tamtym czasie zaczął stopniowo oddalać się od świata, z każdym rokiem poświęcając mi coraz mniej uwagi. Pewnie nie mógł wymazać z głowy tego obrazu, jak mama pada nagle w przedpokoju, w jednej ręce trzymając mój różowy plecak Hello Kitty, który przed ledwie kilkoma sekundami pomagała mi zdjąć, a w drugiej papierową torebkę pełną moich ulubionych cukierków. To był tylko jeden niezapowiedziany, nokautujący cios. Rykoszetem musiał też dostać ojciec. Nigdy się nie pozbierał. Nie zaakceptował dysonansu między dwiema skrajnie różnymi wersjami rzeczywistości: w jednej po lekcjach idziemy razem kupić cukierki, bo dyktando

napisałam najlepiej z całej klasy, w drugiej mama leży na podłodze, a ja krzyczę, tak nieznośnie krzyczę... To było dla niego zbyt wiele.

Zawsze starałam się nie sprawiać większych kłopotów, pozostawać nieco na uboczu. W szkole trzymałam się z paczką dzieciaków, które słuchały muzyki alternatywnej, lubiły niszowe, ambitne kino, czytały głównie tak zwaną literaturę z wyższej półki. Było nas kilkoro, ale z nikim nie byłam związana bliżej. Myśląc o tym teraz, zauważam z całą wyrazistością, jak powierzchowna była ta nasza odrębność. Adrian, Krzysiek, Luiza, Amelia i ja. Założę się, że w każdym liceum na świecie można spotkać grupkę stanowiącą nasze lustrzane odbicie. Oczywiście uważaliśmy się za „niezależnych”, „myślących”, „kumatych”, „ogarniętych”, czuliśmy, że jesteśmy jedyną alternatywą dla tępowej młodzieży „popowej” czy „głównonurtowej” oraz zafascynowanych wyłącznie grami bądź sportem przygłupów. Dopiero po dłuższym czasie dotarło do mnie, że nie jesteśmy ani trochę oryginalni, a branding wielkich korporacji także na nas dotkliwie odcisnął swoje piętno. Już wtedy nie miało znaczenia, jakiej jesteś narodowości, jaki masz kolor skóry i z jakiego kontynentu pochodzisz. Niemal wszędzie życie wyglądało identycznie, wszyscy jedli w tych samych fastfoodach i robili zakupy w tych samych sieciówkach, ścigali te same gry, filmy i seriale, żyli tymi samymi pseudowydarzeniami z życia celebrytów, polityków, sportowców i bogaczy. Media i socjologowie informowali, że społeczeństwa niemal całej planety – niezależnie od narodowości czy wyznania – coraz wyraźniej dzieliły się na specyficzne grupy: hipsterów, nerdów/geeków, mainstreamowców/normalsów, fitów i marginesów. Każda była uzależniona od czegoś innego: hipsterzy od własnej domniemanej niezależności, nerdzi od najnowszych osiągnięć technologii i popkultury w wersji hardcore, normalsi w sumie też od popkultury, tyle że w wydaniu casualowym, weekendowym, oraz rzecz jasna od nadmiaru informacji, których dostarczały czołowe media, fici od szeroko pojętego zdrowego trybu życia – czyli aktywności fizycznej, ekologicznego żarcia, pomocy zwierzętom i tak dalej – marginesy z kolei od dragów bądź alko.

Wiadomo było, że wolny rynek w końcu musi nas wszystkich zniewolić.

Wkrótce agresywny branding przybrał jeszcze na sile, starając się szczelnie ometkować całą dostępną zmysłom rzeczywistość. Nerdzi, rozbici na apple’owców, microsoftowców i androidowców, coraz mocniej przypominali członków sekt, wsłuchanych wyłącznie w „Słowo Boże” głoszone przez prezesów ich ulubionych korporacji. Fici z zapałem przenosili się na strzeżone osiedla Nike World bądź Adidas Planet, gdzie każdy chodnik był bieżnią albo

trasą rowerową, a każda knajpa czy restauracja sprzedawała napoje izotoniczne i odżywki. Hipsterzy pomieszkiwali w położonych zazwyczaj na przedmieściach komunach typu Pitchfork House, będących skrzyżowaniem akademika, sklepu muzycznego i Starbucksa. Marginesy w sporej części zostali zakontraktowani przez firmy produkujące alkohole bądź przez tworzące substytuty narkotyków korporacje w rodzaju Dope Company, które w zamian za bycie żywą reklamą ich produktów i uczestniczenie w marketingu szeptanym gwarantowały darmowe lokum w ciasnym mieszkadle plus bezpłatne próbki towaru. Najbardziej rozwarstwieni byli oczywiście normalisi – wśród nich dawało się wyróżnić aż kilkanaście podgrup, więc socjologom i dziennikarzom zdecydowanie łatwiej było ich dzielić ze względu na preferencje polityczne niż konsumenckie.

Istniała jeszcze jedna, pomijana w badaniach statystycznych grupa. Ta, którą nie interesował się właściwie nikt, nie mogąc jej niczego sprzedać, wcisnąć jej w żadną formę, namówić do zagłosowania na jakąkolwiek partię. Niektórzy nazywali ich wykluczonymi, inni po prostu szaleńcami bądź odklejeńcami. Do tej grupy bez wątpienia należał mój ojciec. A kiedy przeprowadziłam się do jego mieszkania po przymusowej rezygnacji ze studiów, ja, nieświadoma własnej banalności hipsterka, również mimowolnie stałam się odklejoną. I cały świat nagle o mnie zapomniał.

Wróciłam do miejsca, w którym się wychowywałam i które opuściłam niecałe dwa lata wcześniej, przenosząc się do jednego z lokalnych Pitchfork House'ów o średnim standardzie. Dawne mieszkanie na jednym z krakowskich osiedli, które po roku 2017 zaczęto nazywać KM23_krk, zgodnie z nową standaryzacją dzielnic w europejskich miastach, znów stało się moim gniazdem – miałam już nigdy z niego nie wylecieć. To był klasyczny kompleks mieszkalny społeczności mainstreamowej – dosyć rozbitej i zróżnicowanej. Składał się czterdziestu bloków, połączonych podziemnymi i nadziemnymi przejściówkami o ruchomych chodnikach. Wszystko było na wyciągnięcie ręki, więc jeśli ktoś tylko chciał, mógł przez całe życie nie opuszczać kompleksu. Mieliśmy sklepy i restauracje. Komisariat i szpital. Przedszkola, szkoły i streamy nauczycielskie dla tych, którzy nie chcieli nawet wychylać nosów z mieszkań. Mieliśmy siłownie i baseny, ścianki wspinaczkowe i tunele aerodynamiczne. Było tu nawet krematorium i owalna sala ze skrytkami na urny, przez mieszkańców starej daty nazywana cmentarzem.

Podczas pierwszych tygodni opieki nad ojcem musiałam co najmniej raz dziennie wyrwać się z mieszkania, żeby do reszty nie oszaleć. Chodziłam na

zakupy i rozglądałam się za jakąś dorywczą pracą. Wpadałam na siłownię i całym godzinami nie schodziłam z maszyn aerobowych. Ćwiczyłam uda, aż płonęły żywym ogniem, a od ścianki nie mógł mnie oderwać nawet najmocniejszy sztuczny podmuch. Wraz z litrami potu z mojego ciała wysączała się też rozpacz i frustracja. Później mój stan zaczął się pogarszać. A im gorzej się czułam, tym rzadziej opuszczałam mieszkanie. Dorywczą pracą znalazłam, to prawda, ale już niestety nie w realu, tylko w Immersjonecie. Zaoszczędziwszy wcześniej nieco kredytów na kupno odpowiednich szkieł, zajmowałam się domami bogatych awatarów, wyprowadzałam i karmiłam ich wirtualne zwierzęta, czasami odbierałam z e-przedszkoli niesforne awatary ich dzieci. Byłam dobra, pod pewnymi względami najlepsza. Statystyki mojego profilu wystrzeliły w kosmos, stawiając mnie na jednym z trzech topowych miejsc całego mojego kompleksu. Każdy obowiązek w sztucznym świecie wykonywałam z autentyczną pasją, wyrzucając polygonalne śmieci czy ścierając pikselowe kurze z zapalem godnym prac najistotniejszych. Oczywiście zazwyczaj wszystkimi sprawami są w stanie zająć się tanie albo wręcz darmowe boty, ale niektórzy ludzie mają tyle kasy, że mogą ją wydawać na przeróżne fanaberie. Dzięki temu do renty ojca byłam w stanie dorzucić miesięcznie kilkaset kredytów. Kwota wprawdzie niepowalająca, ale przydatna. Do utrzymania naszego małego, dwuosobowego domu wariatów wcale nie trzeba było dużo więcej.

Choroba ojca szybko się nasilała. Jak już mówiłam, objawiała się głównie tym, że coraz bardziej odcinał się od rzeczywistości. Tylko że nie robił tego, by jak inni nurkować w głębiny Immersjonetu – ani nawet całe dni i noce przesiadywać w starym dobrym Internecie – ale żeby czytać i pisać. Stopniowo traciłam z nim kontakt. Był, ale jakby go nie było. Skorupa po kiedyś znanym mi człowieku. O bieżących sprawach nie chciał słuchać, uciekał. Twierdził, że to są kwestie nieistotne, zmieniające ludzką pamięć w wysypisko śmieci. A gdy wspominałam, że powinien zacząć wychodzić do ludzi, zatrząskiwał się w swoim pokoju i nie opuszczał go całym godzinami. Raz na kwartał przychodził do niego psychiatra, przepisywał jakieś neuroleptyki i po piętnastu minutach zniknął, zapewniając mnie, że sytuacja jest stabilna i należy kontynuować leczenie, cierpliwie czekając na poprawę. Później lekarza zastąpił specjalistyczny dron, robiący raz na pół roku szybki test i od razu dostarczający piguły, po które wcześniej musiałam wychodzić do którejś z kompleksowych aptek. Niektóre leki pogarszały stan ojca, inne odrobinę go poprawiały, żaden jednak nie był na tyle skuteczny, by ojciec znów stał się taki, jak w czasach

mojego dzieciństwa. Straciłam więc wiarę, że kiedykolwiek dojdzie do siebie. Może od początku źle podchodziłam do całej sytuacji. Może to właśnie był on, a ta osoba, którą pamiętałam z czasów, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, została wykreowana na potrzeby tak zwanego życia rodzinnego. Może zawsze był taki gburowaty i nieogarnięty, ale jako mała dziewczynka miałam na nosie różowe okulary, dzięki którym wszystko stawało się magiczne, cudowne i dobre. Nawet ojciec.

Dużo pracował, codziennie, a czasem nawet całymi nocami. Siedział przed stacjonarką kupioną w czasach, gdy jeszcze chodziłam do liceum, i bezustannie stukał w klawisze. Śniłam, że zrósł się z nimi, że litery i słowa stawały się jego fantomową kończyną, którą poszturchiwał nieznośną rzeczywistość. Nie dawał się namówić na żadne dotykowe interfejsy, przestrzenne uprawianie literatury w Immersjonecie także nie wchodziło w grę. Chciał stworzyć awangardowe arcydzieło, chociaż pod każdym innym względem wydawał się konserwatywny.

Niewieloma tekstami zamierzał ze mną dzielić, niekiedy jednak sobie na to pozwalał. Jedną z prób napisania czegoś nowatorskiego zatytułował *Pudełko pełne niczego*. Właśnie z tym skojarzył mi się przeczytany przed chwilą fragment tej najnowszej powieści: „Ze wszystkich stron naraz rozbrzmiał czyjś głos i odbił się echem, jakby moja czaszka była wielkim pudełkiem pełnym niczego”. Ojciec powtarzał, że to będzie jego „prawdziwie bezpardonowy przejazd po Matce Polsce”. Pamiętam, że już patrząc na tytuł, poczułam przedziwne mrowienie. Pierwsze strony mocno mnie zaniepokoiły i gdyby nie to, że później zaczął się rozciągnięty na niemal dwieście stron bełkot, atak lęku pewnie wgniótłby mnie wtedy w podłogę. Po przeczytaniu czegoś wywołującego u mnie objawy fobii lektura choćby paru akapitów pełnych bezsensownych, pozbawionych sensownej treści zdań jest mnie w stanie uspokoić równie skutecznie jak perypetie Natki Pistacji.

Sprawdzając teraz komputer ojca, odnalazłam ten początkowy fragment, który w porównaniu z resztą nie był aż tak zupełnie absurdalny. W przygnębieniu ojciec niekiedy uznawał to, co napisał, za nieudane i zbędne. Kasował to potem i od razu opróżniał kosz. Taki sam los spotkał oczywiście i tę książkę, o dziwo z wyjątkiem kilku pierwszych stron. Od początku uważałam, że w tym akurat dziele tkwi sporo osobliwego uroku, więc po cichu liczyłam, że może kiedyś, gdy jakiś lek wreszcie zadziała i ojciec poczuje się w miarę dobrze, wróci do pisania tej powieści, naprawi to, co zepsuł i znów będzie łamał sobie głowę nad czymś, o czym postanowił zapomnieć. Powiedziałam mu chyba nawet, że wstęp bardzo mi się podoba, że jestem ciekawa zakończenia tej

historii.

Piwnica, w której mieszkam, czasami jest jak wielkie pudełko pełne niczego. Matka zamknęła mnie tutaj przed laty, żeby ocalić przed grasującymi na zewnątrz bestiami.

Bo ja jestem aniołem. Kłębuszkiem światłości, co spadł z Nieba na Ziemię. Jestem jedynym aniołem w Polsce, krainie smutnej i czarnej jak nieczynna kopalnia. Zamknięta niczym bezcenny skarb, tkwię w tym betonowym pudełku – ono jest moim przymusowym domem, z którego nigdy nie wychodzę. Mam więc do dyspozycji tylko to, co między sufitem a podłogą, między mną a Panem Bogiem. Trwam tu w swoim odświętnym istnieniu, jak niepotrzebny prezent, całkiem bez okazji, zawsze czekający na nikogo.

Wszystkie dni są takie same: zimne i szare. Ale monotonia to niewielka cena za opiekę i bezpieczeństwo. Wiem, że dożywotnie uwięzienie w tej podziemnej celi chroni mnie od nagłej śmierci. Bo moje życie ma ogromną wartość. Może nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, może i ja sama nieraz w to powątpiewam, lecz tak właśnie jest i tak być musi. Nawet jeśli jestem prezentem, którego nikt nigdy nie dostanie i którym nikt nigdy nie będzie się cieszył, moja obecność na świecie nie jest wcale pozbawiona znaczenia. Echo mojego głosu potwierdza to za każdym razem...

Zazwyczaj zachowuję spokój, dryfuję sennie po oceanie wyobraźni, z sumieniem czystym jak żagiel. Nie ma fal, powierzchnia wód jest gładka, płynę po niej, kiedy chcę i gdzie chcę, ukojona obecnością czegoś niepojętego i bezbrzeżnego, żywiona przez żywioł, który mnie nie skrzywdzi, bo jest mój, własny, prywatny.

Czasami miewam ataki paniki. Skulona, obejmuję pulsujące bólem skronie. Moje ciało staje się przeszkodą, wielką kłodą na drodze wiodącej nie wiadomo dokąd. Nie mogę się wtedy w nic wmyśleć, nie mogę schować się w słowach, nie potrafię zatonąć w samej sobie. Wyobraźnia staje się nagle pusta i jałowa jak dno wyschniętego morza.

Ból i strach nie chcą odejść, twarz drętwieje, dłonie zaciśnięte w pięści nie dają się rozprostować. Chodzę nerwowo po moim ciasnym piwnicznym pokoju, tak pełnym niepokoju. Od ściany do ściany. Coraz bardziej roztrzęsiona. Po zimnej posadzce. Coraz bliżej skrajów załamania. A tuż za krawędzią mruga do mnie Czarne, Przepastne, Nienazwane, Straszne.

I właśnie tak jest teraz.

Mimo że w piwnicy bywa raczej chłodno, czuję się, jakbym cała wrzała w

środku. Klękam na podłodze i zaczynam łkać. Blizny po skrzydłach palą, chowam twarz w dłoniach. Po co mi to wszystko? Tyle cierpień i grozy i jeszcze żadnej nagrody...

Nigdy nie chciałam być aniołem. Dlaczego nie mogłam urodzić się taka jak inni? Czemu właśnie ja, z tą bolesną skazą ze światła, piętnem w kształcie duszy? Spośród tylu bożych stworzeń, widzialnych i niewidzialnych, czemu musiało paść właśnie na mnie?

Gdybym urodziła się normalna, jak pozostałe kobiety na tym niewidzianym nigdy przeze mnie padole, wszystko potoczyłoby się inaczej. Mogłabym wychodzić z piwnicy, wychodzić z domu i po prostu iść przed siebie. Byłabym bezpieczna, nawet w miejscach, które teraz stanowią dla mnie śmiertelną pułapkę.

Matka zawsze powtarza, że na zewnątrz prawdziwy anioł nie przeżyje nawet godziny. Ludzie są w potwornej większości całkowicie opętani przez Szatana. Mój widok byłby dla nich szokiem i obrazą, zabiliby mnie od razu. Bo za progiem domu każde światelko zostaje natychmiast zduszone przez smoliste mroki.

Kiedyś podobno Polska była znacznie jaśniejszym miejscem, żyło tu więcej aniołów, wszystkie jednak – jak nieraz tłumaczyła Matka – zostały pomordowane przez żądnych krwi ubeków, esbeków, esesmanów, żydłaków, komuchów, masonów i liberałów. Nie jestem pewna, co dokładnie znaczą te słowa, jednak boję się ich już od małości.

– Kto to są ubeki, esbeki i ci pozostali? – pytałam Matki.

– To są nieludzie w ludzkich przebraniach, córciu kochana.

– Nie rozumiem – mówiłam, bo jej odpowiedzi niczego nie wyjaśniały, mąciły mi tylko wyobraźnię, zaciemniały wewnętrzną jasność.

– Na świecie żyją ludzie i nieludzie, musisz zdać sobie z tego sprawę, córciu moja najcenniejsza. W większości krajów to właśnie ludzie rządzą, dlatego są to krainy mlekiem, miodem i złotem płynące. Ale w naszym państwie od całych dekad władzę dzierżą nieludzie. Są to bestie przebrane w ludzkie skóry. Sensem ich istnienia jest niszczenie nas, Prawdziwych Polaków. Gwałcą, mordują i kradną, pozostając bezkarni. Tak naprawdę jest to ta sama rasa, ta sama zaraza i plaga. Różnie się nazywają, ale w rzeczywistości wszyscy są jednym. To potwory, nasłane przez samego Szatana, splodzone przez czyste zło w jego najbardziej parszywej, zionącej siarką i ogniem postaci, zrodzone z łona wiecznej nocy. Już od dawna jesteśmy zgubieni, bo właśnie w Polsce te kreatury uwiły sobie cierniste gniazdo. Tyle lat zaboru, rozbioru, kradzieży, zabijania i

gwałcenia! Piją naszą krew i grabią nasze pieniądze, ciężko zarobione. Gdy byłam dzieckiem, na własne oczy widziałam, jak jeden z nich, gigantyczny esesman, pożarł anioła, na środku ulicy, w biały dzień, a na chodnik sypały się okruchy światła. O tak, córeńko, ty tego nie pamiętasz, lecz kiedyś w naszym kraju żyły tysiące aniołów, stróżów niebiańskiego blasku, zesłanych tu przez samą Matkę Boską, miłościwie w naszych sercach królującą. Ale wszystkie unicestwiono. Esbeki z esesmanami rozstrzelali, żydłaki i komuchy zgwałcili, a masoni z liberałami pochłonęli ich stygnące ciała. Zostałaś tylko ty, córciu kochana. Dlatego jesteś tak ważna, tak cenna. Dlatego właśnie muszę ukrywać cię przed całym światem. Dla dobra Ojczyzny.

Matka z moich wspomnień milknie nagle i rozplywa się w wyobraźni w błądliwy obłok, szybko tracący ludzkie kształty.

Słyszę donośne tupanie i myślę, że to pewnie jeden z ubeków albo liberałów. Jest blisko, tuż za drzwiami. Dyszy głośno, chrapliwie, strasznie, straszniej, najstraszniej.

Nie, to raczej komuch. Pewnie zabił Matkę, przegryzł jej gardło, wychłptał krew. A teraz przyszedł po mnie. Wbił szpony w futrynę i za moment rozerwie ją w drzazgi, a potem całą moją piwnicę rozniesie w diabły.

Kładę się płasko na schodach, chcąc sprawdzić, czy w szparze pod drzwiami nie wypatrzę włochatych stóp, czarnych czarcich pazurów albo chociaż ogona. Tak właśnie wyobrażam sobie te czyhające na mnie stwory. Nie wszystkie są jednakowe. Ubeki to takie jakby karły, dzieci z twarzami starców. Esbeki odwrotnie – starcy z pucatymi buziami noworodków. Esesmany to ogromne roboty, rozdeptujące ludzi i miasta; zamiast serc mają tryby, zamiast krwi olej napędowy. Żydłaki to z kolei takie trochę wilkołaki; w dzień okradają nas, ile wlezie, a w nocy porywają niemowlęta, patroszą je i robią z nich koszerne przysmaki. Komuchy to włochate, bardzo małe stwory, z giętkimi ogonami zakończonymi trującym ostrzem. Masoni są tak tajemniczy, że nikt nawet nie wie, jak wyglądają. Podejrzewam, że to tak jakby złe duchy, które wnikają w ludzi biznesu i władzy, przejmując nad nimi kontrolę i doprowadzając do tworzenia rozmaitych Układów. Podróżują w widmowych latających łodziach, zwanych lożami. Liberałowie na pierwszy rzut oka wyglądają zwyczajnie, jednak gdy się rozbiorą, widać, że mają jednocześnie narządy kobiet i mężczyzn, więc mogą się rozmnażać sami z siebie, przez pączkowanie. I dlatego aż tylu ich jest. Z opowieści Matki wynika, że żywią się głównie krwawymi płodami z klinik aborcyjnych, nic więc dziwnego, że zabiegi przerywania ciąży są dla nich chlebem powszednim i zarazem koniecznością. Piją wyłącznie alkohol i czysty

kwas. Całkiem możliwe, że zieją też ogniem, ale nie jestem pewna, bo Matka nigdy o tym nie wspominała.

– No, pokaż się, parszywy komuchu – szepczę.

Zabiję go, jeśli będę musiała. Zamorduję gołymi pięściami. Wiem przecież, co komuchy zrobiły kiedyś z Ojczyzną. Wiem ile polskich dzieci poumierało, bo tlen był na kartki i prawie całe pokolenie podusiło się na amen. Matka na własne oczy widziała w zsykach zsiniałe ciała, usteczka rozdziawione jak pyszczki wyjętych z wanny karpi, rączki wyciągnięte ku jasności, która nagle zbladła i zgasła. A potomkowie partyjnych wodzów w najlepiej natlenionych sanatoriach kąpali się w szampanie, wozili szczerozłotymi limuzynami po stepach akermańskich, bawarskich piwiarniach i tokańskich winnicach. Gdy tymczasem rodacy umierali tysiącami. Do tego właśnie komuchy doprowadziły. A teraz przychodzą ograbić mój dom, ten w którym mieszkam – piwnicę.

Drzwi otwierają się: powoli, skrzypiąco i przerażająco.

Nie widzę jednak żadnej bestii.

Zauważam znajomą twarz.

Zastanawiam się, czy dziś zeszła do mnie Mama czy Matka. Kocham obie, ale Mamę znacznie bardziej.

Mama jest miła i dobra. Ciągle mnie przytula. Razem się modlimy i jemy, i w ogóle wszystko razem robimy.

Matka ma zawsze skwaszoną minę, jest smutna i wściekła, dużo opowiada o złych rzeczach, które się przytrafiły Ojczyźnie, o zaborach i grabieży Narodowego Majątku, natrętym brukaniu niewiast i pomście siedmiokrotnej, która czeka wszystkich naszych wrogów.

– Istny koszmar! – krzyczy, schodząc chwiejnie po schodach. – Żydłaki wypełzły na światło dzienne i od razu zaczęły zmieniać naszych obywateli na swój bezbożny obraz i podobieństwo. Sodoma i Gomora! Po ulicach jeżdżą ogromne Pejsomaty, zmechanizowane monstra na gąsienicach, potrafiące w pięć minut przerobić każdego Polaka na rodowitego Izraelitę. Obrzezują, garbują nosy, dokleją pejsy, jarmułki przyszywają trwale do czaszek. I zaraz z drugiej strony Pejsomatu wyjeżdża chciwiec, chcący tylko rabować nasze majątki i oczerniać nas na Zachodzie. Jest ich więcej z każdą godziną! Żydłaków już nikt nie powstrzyma, ganiają od domu do domu, zabierają wszystkie kosztowności i chowają je w specjalnych garbach, z którymi się rodzą. Te garby, gdy są puste, wyglądają jak worki, ale przeważnie są pełne pieniędzy i innych bogactw, przez co najzachłanniejże żydłaki poruszają się wolniej niż żółwie. Ale niech nie czują się bezpieczni, bo o godzinie, której się nie

domyślają, Syn Człowieczy przyjdzie. Wtedy się skończy ich panowanie, będą czołgać się i proch jeść, po wszystkie dni ich istnienia...

– A kto to są żółwie? – pytam, bo nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa.

– Później ci wyjaśnię. Teraz musimy obmyć twoje rany – odpowiada i uśmiecha się, i nagle nie jest już Matką, tylko Mamą.

Delikatnie dotyka miejsc, gdzie kiedyś miałam skrzydła i, pojękując, gładzi rozoraną skórę. Łaskocze, ale staram się nie śmiać, bo jeszcze nie chcę zmienić Mamę w Matkę i dopiero się zacznę. Te moje rany tak naprawdę od dawna nie są w ogóle żadnymi ranami, tylko paskudnymi bliznami – widziałam raz w lusterku – ale Mama prawie zawsze nazywa je ranami; chyba blizny są niewiele warte i lepiej, jak się ma rany, bo to bardziej bohaterskie.

Wzdycha. To dla niej cięższe niż dla mnie, więc jest mi jej żal i chętnie bym ją przytuliła, ale siedzę tyłem i na razie nie będę się odwracać.

Potem sięga po gąbkę i z namaszczeniem moczy ją w wodzie święconej, modląc się pod nosem.

Zaciskam wargi i zamykam oczy.

Niełatwo jest być aniołem.

Niełatwo jest być aniołem chowającym się przed całą Polską.

*Ocieram łzy. Później wyłączam komputer i wycieńczona kładę się do łóżka. I wtedy dopiero, gdy już niemal zasypiam, dociera do mnie coś, na co dotąd nie zwróciłam uwagi. Przez ostatnie godziny rozmyślałam o swojej przeszłości, rozmyślałam o tym, jak trudno żyło mi się z ojcem w jednym mieszkaniu... I wcale nie sparaliżowało mnie przerażenie. Przeczytałam kawałek *Pudełka pełnego niczego* i nie miałam wrażenia, że stopniowo wsiąkam w podłogę, że ze strachu staję się niematerialna, a ciemność miażdży mnie niczym czarne imadło.*

Mogę mówić głośno o tym, co od dawna tkwiło mi cierniem w sercu i nie drętwieję, nie tonę w sobie po każdej wypowiedzianej kwestii. Mogę używać trudnych słów, długich zdań, mogę nawet wysilić się na wyjątkowo wyszukaną metaforę i nic złego się nie dzieje.

Nie czułam tego od tak dawna, że nie pamiętałam już nawet, jak to jest.

Jak to jest nie bać się nic a nic.

Część II

Słowa kluczowe

*Objął mnie anioł bez twarzy zaszeptał przez całe ciało:
„Nie wstydz się tego, że jesteś człowiekiem, bądź dumny!
W twoim wnętrzu otwiera się sklepienie za sklepieniem,
bez końca”.*

Tomas Transtroemer (tłum. Leonard Neuger)

Wiersze i proza 1954 – 2004,
Wydawnictwo A5, Kraków 2012

Fragment 5: Afobian

Psychiatra, brodaty mężczyzna, z którego emanował zaraźliwy spokój, stwierdził, że na początek możemy spróbować leczenia pozaszpitalnego. Dopiero gdyby ono nie przyniosło oczekiwanych skutków, rozważymy odesłanie mnie na oddział. Nie miałem nic przeciwko. Szczerze mówiąc, nawet mnie to ucieszyło, bo mimo całej psychodelii ostatnich wydarzeń nie uważałem wcale, że jestem obłąkany. A przynajmniej że oszalałem na tyle, by należało wsadzić mnie w kaftan. Byłem niezłym dziennikarzem, przechodzącym po prostu trudny okres. Dziecko we mnie smutniało, tupąło i zanosilo się płaczem, nie chcąc, by adoptowała je paskudna i nudna dorosłość. Moje myśli biegły dotąd określonym torem, teraz są może odrobinę wykołejone. Każdy prędzej czy później musi doświadczyć podobnego stanu. Czasy są ciężkie, rozum, wiara i gospodarka trawione kryzysem, rozpacz czai się wszędzie. Umowy o dzieło, brak stabilizacji w pracy i w związkach, śmieciowe żarcie, powierzchowne relacje, popkulturowe manowce, wszystkim nam może więc zabraknąć odpowiednich składników mineralnych, wartości czy wzorców. Co się stało, tego już nie cofnę: nieopatrznie wkroczyłem w obszar ciemności widomej, zawładnął mną strach tak wielki, że nagle każdy aspekt ludzkiego życia stał się nie tyle nieprzyjemny, co po prostu nie do zniesienia.

Wracając do domu, patrzyłem na przechodniów i na ludzi siedzących w samochodach, zastanawiając się, jak oni mogą być tacy niewzruszeni, dlaczego nie zamierają nagle i nie zaczynają wrzeszczeć aż do zdercia gardła na widok tej skłębionej potworności, którą zdrowi nazywają światem?

Lekarz doradził też znalezienie terapeuty – na co przystałem – a potem przepisał mi lek o nazwie Afobian. W razie wystąpienia skutków ubocznych miałem się z nim skontaktować. Nie zrobiłem tego jeszcze, bo choć biorę go już któryś dzień, poza suchością w ustach i lekkim ośpieniem nie odnotowałem żadnych dolegliwości. Sypiam po kilkanaście godzin na dobę, nie miewam jednak koszmarów. Moje sny są barwne, namacalne i pod każdym względem kojące. Halucynacje minęły zupełnie. Paraliżujący ból głowy jest tylko wspomnieniem. Nie boję się już czegoś, czego nawet nie mogę pojąć. Właściwie to niczego się nie boję.

W pracy wzięłem wolne, wyjaśniwszy wcześniej Krystianowi ponurą naturę moich perypetii. Zrozumiał od razu, próbując pocieszyć mnie stwierdzeniem, że pod koniec studiów sam przeszedł lekką nerwicę. Zapunktowałem też przy okazji, przepraszając Klarę Sosnowski, a ta zgodziła się dać naszemu „Zero Ściemny” jeszcze jedną, ostatnią szansę. Wywiad zrobił oczywiście ktoś inny, ale przesadnie się tym nie przejąłem. W ogóle ciężko mi było przejąć się czymkolwiek.

Wreszcie zacząłem mieć czas na swoje pasje. I niby wszystko byłoby w porządku, tylko że ja od dawna nie mam żadnych pasji.

Mój świat stał się zupełnie płaski, płytki i banalnie łatwy do zrozumienia. Lek wygładził wszystkie ostre krawędzie rzeczywistości, na których jeszcze parę dni temu tak łatwo było się pokaleczyć. Teraz cała planeta stała się czymś miękkim, obłym, nieinteresującym. Wielkim, miłym w dotyku pufem, dopasowującym się do kształtu mojego tyłka.

Żadnych przeszkód i żadnych wyzwań.

Żadnego sensu życia.



Siedziałem przed laptopem i czytałem artykuły o zapowiedzianym na ten rok końcu świata. Klikałem kolejne kolorowe obrazki, gapiłem się na śmieszne i straszne animacje, czasami nie wiedząc, które są które i jak właściwie powinienem zareagować. Czy kot wirujący w pralce jest zabawny, czy przerażający? A pijany rowerzysta, który w poimprezowym roztargnieniu wskoczył na krowę, biorąc ją za środek lokomocji? Czy to jeszcze ekstatyczny chichot, czy już czarna rozpacz? Tak trudno się zdecydować.

Potem otwierałem po kolei wszystkie skrzynki mailowe. Cofając się do wiadomości sprzed kilku dni, odnalazłem tę z prośbą o pomoc. Wtedy się w nią nie wczytywałem, teraz jednak czułem, że powinienem do niej wrócić.

Od: magdalena.kordowa@km23_krk.eu

Temat: *Proszę o pomoc, mój ojciec zaginął*

Mam na imię Magdalena i jestem córką powieściopisarza Dawida Kordowy. Chciałam Pana bardzo prosić o pomoc. Mój ojciec zaginął i nie wiem, jak się z nim skontaktować. Wspomina o Panu w swojej nowej powieści, Kres komunikacji, dlatego pomyślałam, że może Pan wiedzieć, gdzie aktualnie

przebywa. Okropnie się denerwuję. Opiekowałam się nim przez ostatnie sześć lat, a teraz... Błagam o odpowiedź.

Pozdrawiam
M.K.

Wprawdzie dzięki afobianowi nie odczuwałem już żadnego lęku, jednak po przeczytaniu tej wiadomości na dłuższą chwilę się zawiesiłem. Patrzyłem tępo w ekran, z szeroko otwartymi ustami, i do pełni mojego ogłupienia brakowało tylko, żeby po brodzie pociekła mi ślina.

Zacznijmy może od tego, że osobiście znam, a raczej znałem Dawida Kordowę. Wprawdzie od pewnego czasu nie mieliśmy kontaktu, ale jestem niemal pewien, że nie ma córki. Że w ogóle nie ma dzieci. Nigdy nie zająknął się o nich nawet słowem. I, owszem, Kordowa zaginął, tyle że nie ostatnio, a przed dwoma laty, niedługo po napisaniu powieści *Pudełko pełne niczego*, którą odrzucili mu chyba wszyscy bez wyjątku wydawcy, uznając ją, jak twierdził, za „kuriozalną fantazję i nieskładny bełkot”.

Ewidentnie coś się tutaj nie zgadzało. Czy to był dziwny żart któregoś z czytelników Kordowy, a może nawet samego Dawida, który po tylu miesiącach niezapowiedzianej absencji postanowił nagle odnowić ze mną kontakt? Zastanawiałem się, co odpowiedzieć tej biednej kobiecie (o ile naprawdę była kobietą) i czy w ogóle powinienem kontaktować się z kimś, kto albo jest ciężko zaburzony, albo zwyczajnie robi sobie jaja.

Zresztą w mojej obecnej sytuacji próba skontaktowania się z Dawidem Kordową czy nawet samo myślenie o nim na pewno w niczym by mi nie pomogło. Jeśli już, mogłoby tylko nasilić objawy fobii.

Nagle w kieszeni zawibrował mi telefon.

– On nie może być pani ojcem, bo nigdy nie miał córki. Chyba nawet nie lubił dzieci – wyszeptałem do słuchawki w przypiływie czarnego humoru. A potem wybuchnąłem śmiechem.

Afobian wyraźnie zaburzył moje poczucie tego, co mi wolno, a czego nie.

– Do mnie mówisz, Adasiu? – spytał Krystian, szef „Zero Ściemy”. Wydawało się, że jest w znacznie lepszym nastroju niż w czasie naszych poprzednich rozmów. Nic dziwnego: wywiad z Klarą okazał się niemałym sukcesem. Cholerna szkoda, że koniec końców nie miałem w nim żadnego udziału.

– A tak sobie gadam. O różnych kwestiach. Bieżących.

– Dobra. Udam, że tego nie usłyszałem. Jak się czujesz tak w ogóle?

- Całkiem znośnie. Wyraźnie idzie ku lepszemu. Dobrze reaguję na tabletki.
- No to znakomicie.
- Też tak sędzę.

Zamilkł na chwilę, namyślając się nad czymś. Przyszło mi do głowy, że może chce mnie wylać, może wstrzymywał się z tą decyzją do czasu, aż nie będę stanowił zagrożenia dla samego siebie. Powiniennem się zdenerwować, ale nie czułem nic. Było mi wręcz wszystko jedno, choć lubię swoją robotę.

– Słuchaj, ja doskonale rozumiem, że zostały ci jeszcze dwa dni wolnego i może nie jesteś póki co na siłach, żeby pomóc, ale wpadł nam w ręce naprawdę gorący temat. Próbuję zdzwonić i skliknąć jak największą ekipę, bo każde wsparcie będzie na wagę złota. Pewnie i tak wiesz, o czym mówię, więc może obejdziesz się bez wstępu.

– Nie, nie mam najbledszego pojęcia – przyznałem, bo w minionych dniach niespecjalnie śledziłem środki masowego przekazu.

– Telewizji nie włączałeś? Od sieci ci odcięli?

– Nie odcięli, ale ostatnio czytałem głównie o końcu świata, w przerwach oglądając filmiki o kotach włączających do pralek.

Krystian zaśmiał się bez złośliwości, jakby sam też poświęcał sporo czasu na wyszukiwanie głupich klipów.

– No to słuchaj. Jest to zresztą coś z branży apokaliptycznej, więc nie będziesz się musiał za bardzo przestawiać. Mamy ciepłutkiego newsa, a polskie tak zwane media jeszcze na dobrą sprawę nawet tego nie liznęły. Temat z zakresu epidemiologii oraz szeroko pojętego końca czasów, co – jak doskonale wiesz – odbiorcy łykają jak spaniel własne gównno. Pojawiła się nowa choroba, trochę jak grypa, ale nie kaszlesz i nie kichasz, tylko milczysz. Wiesz, o co mi chodzi?

– Coś tam było takiego, faktycznie – przyznałem – że najpierw nie można mówić, a potem nic już nie można, nawet się poruszyć. Jak ta dziewczynka na YouTube...

– Właśnie. Moim zdaniem to będzie dynamit medialny, niektórzy już o tym zresztą głośno bębnią, tyle że jeszcze mało wiedzą. Henio, Aga i Paweł od jakiegoś czasu ogarniają temat, uruchamiając swoje kontakty. Sprawa jest w każdym razie rozwojowa. Teraz pora na ciebie. Mamy tu niezły kocioł, dlatego dzwonię, chociaż miałeś jeszcze labować. Chyba sam rozumiesz, że jestem skłonny całkowicie puścić twojego fakapa z Klarą w niepamięć, jeśli ciekawie podziałasz w tym zakresie. Zresztą będzie ci łatwiej, bo jakąś wiedzę o tej chorobie może mieć twój znajomy.

– Kogo masz na myśli?

– Dawida Kordowę.

Poczułem się, jakby w moich wnętrznościach ktoś właśnie detonował ładunek wybuchowy. Telefon prawie wysunął mi się z dłoni i spadł na podłogę. Prawie, bo w ostatnim momencie przytrzymałem go drugą ręką.

– Co? – wymamrotałem. – Kordowa? Przecież on zaginał...

– Najwyraźniej już się znalazł. Wszystko na to wskazuje. Posprawdź sobie sam, ja nie mam teraz na to czasu. Musisz też chyba uaktualnić swój tekst o jego zniknięciu, który puściłeś do sieci dwa lata temu, ale to nie jest obecnie rzecz najpilniejsza. Kordowa wspominał wczoraj na blogu, że zbliżamy się do jakiegoś kresu komunikacji czy czegoś takiego. Pewnie nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie fakt, że powrzucał linki i opisy w komentarzach na kilku dużych portalach. No i niektórym internautom już siadło na psychikę –lajkują, szेरują i propsują na potęgę. Zerknij na ten jego post, a potem może mu się przypomnij. Tylko tym razem postaraj się nie dać ciała, błagam. To może być temat nawet większy niż Sosnowski, przynajmniej tak mi się wydaje po wstępnym rozpoznaniu.

Krystian rozłączył się tak szybko, że nie byłem nawet w stanie wyrazić pełni mojego zdziwienia.

Ważylem w dłoni telefon. Raz miałem wrażenie, że jest niesamowicie ciężki, raz, że między kciukiem a palcem wskazującym trzymam tylko pustą obudowę, elektroniczną wydmuszkę.

W głowie zupełna pustka, pustka, pustka.

Potem, wciąż otumaniony, wklepałem w przeglądarkę adres bloga, na którego nie zaglądałem od wielu miesięcy: dawidkordowa.blogspot.com

Na drugiej karcie cały czas czekał otwarty mail od domniemanej córki mojego niegdyś najlepszego kumpla. Nie wiedziałem jeszcze, co mam jej odpisać, ale byłem pewien, że od tego może teraz zależeć naprawdę wiele.

Ukryte zapiski

Nie wiem, jak to w ogóle możliwe. Mail przeczytany przez bohatera książki mojego ojca był prawie tym samym, który na chybił-trafił wysłałam wcześniej do Remieckiego. Niektóre sformułowania się nie zgadzały, ale reszta pozostała identyczna, jakby moja rozpaczliwa prośba przeniknęła między dwoma światami w tylko trochę zniekształconej postaci. A jeszcze dziwniejsze było to, że myśląc o czymś tak nieprawdopodobnym, kompletnie niewiarygodnym, nie odczuwałam żadnego lęku. Jakbym nigdy nie cierpiała na żadną batofobię. Jakby to wszystko mi się tylko przyśniło podczas tych piętnastu godzin, które spędziłam w łóżku po emocjonalnie drenującym dniu.

Skoro jednak Remiecki istniał naprawdę i moja wiadomość jakimś sposobem do niego dotarła, mogę założyć, że to, o czym mówił, też było – przynajmniej częściowo – prawdziwe. Ta powieść nie jest wyłącznie fikcją. Żeby się upewnić, od razu wpisałam w przeglądarkę wspomniany w powieści adres: dawidkordowa.blogspot.com. Na starej stacjonarce nie znalazłam wcześniej żadnych śladów po prowadzeniu jakiegokolwiek strony internetowej czy bloga, żadnych wskazówek pozwalających myśleć, że ojciec miał profil na którymkolwiek z popularnych społecznościowych portali. Ale przecież mógł je pousuwać. Mógł być bardziej przebiegły, niż podejrzewałam, i zatrzeć za sobą wszystkie tropy.

Nacisnęłam enter i po sekundzie opadłam ciężko na oparcie fotela. Ledwie mogłam pozbierać myśli...

To jednak była prawda.

Remiecki nie kłamał.

Blog ojca jak najbardziej istniał, mimo że nigdy nie miałam o nim nawet najbledszego pojęcia. Zawierał tylko cztery wpisy i żaden z nich nie dotyczył choroby, o której wspominał Remiecki. Wszystkie były głównie o mnie, moim ojcu i naszej kruchej relacji – na którą rzucały zupełnie nowe światło:

7 listopada

Już ponad dekadę temu doszedłem do wniosku, że musi gdzieś istnieć inny świat, nieco podobny do naszego, jednak różniący się kilkoma istotnymi

szczegółami. Żyje tam zapewne alternatywna wersja mnie samego – Dawid Kordowa, którego losy potoczyły się zupełnie inaczej niż moje. W przeszłości ów człowiek dokonał innych wyborów, a może do innego życia zmusiły go okoliczności bądź minimalnie odmienny genotyp, z łatwością transformujący poszczególne istnienia w ich negatywy. Domyślam się nawet, jak to mogło wyglądać. Powiedzmy, że tamtemu mnie wcale nie urodziła się córeczka. Powiedzmy, że w ogóle nie ma dzieci, nie zdecydował się na nie albo po prostu nie mógł ich mieć. Dało mu to może wolność, choć z pewnością jednocześnie amputowało całe szczęście, które stało się moim udziałem. Były też inne, dalej idące konsekwencje. Nigdy nie musiał pisać dla pieniędzy, więc już przy pierwszej powieści mógł nie liczyć się z oczekiwaniami czytelników. Tworzył tylko to, na co miał ochotę. Jeśli tak było w istocie, nie sądzę, żeby zdobył popularność nawet w ułamku dorównującą mojej. Nie powiedziałbym, że kiedykolwiek byłem gwiazdą pierwszej czy drugiej wielkości, miewałem jednak swoje literackie wzloty, które obecnie, w ponurych, pełnych goryczy latach niosą mi niekiedy pocieszenie, zapewniając nieco światła pośród tych szalejących mroków, czarnych, wściekłych żywiołów. Pewnie jego debiut, w przeciwieństwie do mojego, nie sprzedał się w dwudziestu tysiącach egzemplarzy, nie zdobył czytelniczego poklasku ani pochwał krytyki. Nie był to bowiem mój futurystyczny, nasycony akcją thriller Telenova, tylko coś kompletnie niecelnego marketingowo. Z drugiej strony tamten Dawid później mógł już być ode mnie szczęśliwszy, bo nie był po nocach, kiedy zmarła mu żona. Możliwe, że wcale nie miał żony. Nie widział, jak ugina się pod niewidzialnym ciosem, jak jej ciało pada na podłogę, gdy obok stoi twoje dziecko i blednie, zaczynając drżeć i spazmatycznie łapać powietrze. Kto nigdy nie widział cierpienia swoich dzieci, też nigdy tak naprawdę nie miał złamanego serca, możecie mi wierzyć. On nie był świadkiem takiej makabry, nie dręczy go więc potworna myśl o nieuchronności nieszczęścia, a tylko jakieś jego urojone, bezpieczne, gotowe do literackiej obróbki dramaty. A skoro nie miał córki, nie musi teraz żyć ze świadomością, że jego ukochana jedynaczka – wyłącznie z jego winy – zмага się z jedną najgorszych odmian panicznego lęku: batofobią. I tego mu zazdrozczę. Jak jeszcze nigdy nie zazdrościłem nikomu.

Może i straciłem w ostatnich latach kontakt z rzeczywistością, może stało się to na moje własne życzenie, nie spotkało mnie jednak w życiu nic bardziej przytłaczającego niż ta wiedza, że moja córka cierpi właśnie przeze mnie.

Dokładnie pamiętam, kiedy zaczęła się moja pogoń za głębią, za sensem. W pewien kwietniowy wieczór, nieco ponad pięć lat po śmierci Pauliny i dwa po

opublikowaniu ostatniej, dość przeciętnie przyjętej i mocno przygnębiającej książki Każda historia miłosna jest historią o duchach. Ogarnięty osobliwą nostalgią spojrziałem na półkę, gdzie stało osiem moich dotąd wydanych powieści wraz ze wznowieniami. Wiedziałem, że żyłem z nich przez ostatnich piętnaście lat, ale jednocześnie pomyślałem: „I co z tego?”. Tak nostalgia przekształciła się w rozpacz. Co z tego, że byłem w stanie wyprodukować „trzymający w napięciu, futurystyczny thriller”, „wywołującą ciarki powieść grozy”, „wielowątkową komedię obyczajową” czy nawet „cieplą i podnoszącą na duchu historię miłosną”? Każdy człowiek, posiadający minimum talentu i znający mocno ograniczoną paletę chwytów stosowanych w literaturze popularnej, byłby w stanie tego dokonać. Nie przeczę, nauczanie się kilku prymitywnych manewrów pomagało mi radzić sobie na rynku książki. Jednak nagle, w tym krótkim przeblysku samoświadomości, zrozumiałem, że jestem nikim, a moje powieści to nic więcej jak papier wypełniony drukiem. Wszystkie były doskonale pomijalne, ich brak nie wpłynąłby znacząco na niczyje losy poza moimi własnymi. Pisząc to, co zawsze pisałem, wykonywałem wciąż ten sam wybieg, ten sam unik, który pozwalał mi nie patrzeć w oczy przerażającej prawdzie. „Czemu zmyślasz, czemu kłamiesz?”, pytałem sam siebie, przypominając sobie te wszystkie wymyślone historie, porywające fabuły, ekstatyczne narracje, które w istocie były wyłącznie moją ucieczką przed sobą samym, tanim i tandetnym eskapizmem, pomnożonym przez tysiące sprzedanych egzemplarzy, bo przecież nie ja jeden przed czymś uciekałem.

Żeby zrobić krok naprzód, musiałem zapomnieć o wszystkim, czego się nauczyłem, odkąd zacząłem stukać w klawisze. Dotąd podążałem drogą, którą pokonało już wielu, a przecież od samego początku chodziło wyłącznie o to, by pisać inaczej, pozostać sobą, nie dopasowywać się do schematów, zostawiać na kartkach siebie, a nie bezmyślnie trwonić słowa.

Moim nowym celem stało się napisanie powieści, której nie mógłby stworzyć nikt poza mną. Godzinami obracałem w myślach każde zdanie, zanim w końcu zdecydowałem się je zapisać. Czułem, że coraz szybciej oddalam się od świata, jakby moje mieszkanie oderwało się od reszty tego smutnego, bezbarwnego osiedla i zaczęło dryfować przez kosmiczną pustkę. Córka była zajęta szkołą i przyjaciółmi, nie musiałem już poświęcać jej tyle uwagi co kiedyś, gdy jeszcze była moim słodkim maleństwem, najlepszym dowodem na to, że ja i Paulina musieliśmy być razem, by ten cud mógł się ziścić. Miałem czas, miałem też przestrzeń potrzebną do nabrania prawdziwie epickiego oddechu. Mogłem wreszcie stać się tym, kim zawsze chciałem być. Zderzyć mój świat z tamtą

alternatywną rzeczywistością – może tylko zmyśloną, a może prawdziwszą niż wszystko we mnie i wszystko na zewnątrz – scalić mój życiorys z biografią tego drugiego Dawida Kordowy, innego, choć dziwnie bliskiego, jak cień od całych dekad nieustannie ślizgający się za moim ciałem.

Gdybym tylko wiedział, że za kilka lat ta sama urojona „głębia”, ten sam wymarzony i wciąż nieosiągalny „sens”, pchną moją córkę w otchłań strachu i szaleństwa, wolałbym umrzeć, niż zapisać wtedy choć jedno zdanie.

16 stycznia

Moja córka czuje się coraz gorzej, a ja nie potrafię się z nią porozumieć. Jesteśmy jak obce istoty, pochodzące z różnych światów. Nie ma między nami miłości, nie ma empatii. Nie ma nawet przepaści, z której przeciwnych krańców moglibyśmy bez emocji na siebie spoglądać.

Czemu piszę tu o tym w TEN właśnie sposób?

Czemu moje słowa zmieniają przesywająco smutną prawdę w coś innego, obrzydliwie beletrystycznego?

Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Mógłbym tak odpowiadać na każde pytanie.

Moje poszukiwania nowej formy literackiego wyrazu zmieniły mnie w kogoś, kto mówi już wyłącznie metaforą. Batofobia wycięła ze świata mojego jedyne dziecko wszystko to, co teraz dla mnie ważne. Córka widzi tylko płaszczyzny, zewnętrzne powierzchnie, ślizga się po nich, nie mogąc zrobić nic więcej, a ja dostrzegam wyłącznie treści, skrywające się pod naskórkiem rzeczywistości głębie, najciemniejsze topiele. Jak niby mielibyśmy się komunikować? Wszystko, co mówię, wszystko, co w ogóle mogę powiedzieć, wywołuje w niej bezgraniczny lęk.

Nie wiem już nawet, które z nas jest bardziej chore, które tak naprawdę potrzebuje opieki tego drugiego i wszystkich tych pigułek, wypluwanych przez medyczne drony.

Staliśmy się jak dwie czarne dziury, krążące wokół siebie w lodowatej próżni. Nie jesteśmy w stanie zbliżyć się do siebie, a jednocześnie grawitacja nie pozwala uciec żadnemu z nas.

Nie wiedząc, jak porozumiewać się z Magdaleną, by nie przerażać jej każdym wypowiedzianym zdaniem, każdą nową ideą, znów całkowicie poświęciłem się pracy. Właściwie w ogóle przestałem się z nią komunikować. Piszę za to nową powieść, na dobre chowam się w słowach, język staje się jedynym domem, w którym jestem w stanie się odnaleźć. Współczesność nie jest moja, przeszłość nigdy nie była. Kiedyś zastanawiałem się, czy gdziekolwiek

znalazłem takie miejsce, z którym mógłbym się w pełni identyfikować, i moja odpowiedź przeraziła mnie: to miejsce istniało. Był nim umysł Pauliny; od momentu jej śmierci rozpaczliwie szukałem schronień zastępczych, jak życiowy rozbiitek podczas burzy. Niczego jednak nie znalazłem, a do tego jeszcze bezwiednie pociągnąłem córkę w obłąd. Teraz już nie mam innego wyjścia, zamieram i gasnę zatem, zmieniając się w to, co czytacie. Boję się tylko, że ta ostatnia książka także okaże się kompletną ruiną. Że będzie gorsza niż dziesiątki projektów, które zarzuciłem na przestrzeni ostatniej dekady. Tak to widzę w tych rzadkich snach, o ile w ogóle zdołam zasnąć. Przekręcą pierwsze zdanie w skrzypiącym mechanizmie narracji, a już za progiem piętrzą się sterty spękanych metafor, połamane akapity, gdzieś po kątach dogorywają doszczętnie popsuci bohaterowie, poprzetrzane wewnątrz marionetki. Nie mogę się tym sugerować. Konieczna jest precyzja i absolutne skupienie. Musi mi się udać.

Początkowo chciałem, żeby to była książka autobiograficzna, pozwalająca mi utrwalić najważniejsze chwile mojego życia, o których nie mogę mówić córce, nie przerażając jej jednocześnie. Ale to będzie chyba bardziej antybiografia – dogłębny opis świata, który jest tuż obok, a mimo to wciąż nie potrafię do niego dotrzeć. Może w ten sposób zdołam się porozumieć z tym drugim Dawidem Kordową, może on będzie znał odpowiedzi na moje pytania. Ktoś w końcu musi je znać.

A gdyby tak tekst stał się oknem do innego wszechświata? Co bym zobaczył?

A gdyby tak stał się drzwiami?

1 komentarz:

Alicja 18 stycznia, 17:04

Cieszę się, że wrócił Pan do pisania. Kiedyś byłam Pańską fanką.

Mój brat także zмага się z batofobią – to chyba jedna z najgorszych znanych psychiatrii chorób. Słyszał Pan już o Terapii Słownej Stevena Halla? Podobno w niektórych przypadkach pacjenci robią wyjątkowo szybkie postępy w neutralizowaniu własnych lęków.

Życzę córce zdrowia, a Panu wytrwałości.

23 kwietnia

Skoro żadne z moich działań nie może zmienić sytuacji, w której się razem z Magdaleną znaleźliśmy, muszę bez reszty poświęcić się słowom, bardziej nawet niż dotąd. Niektórzy od dawna twierdzili, że słowa mają moc – pora, bym to udowodnił.

Język jest kluczem otwierającym drzwi do nieznanych miejsc, to już wiem.

Wyobraźnia jest Prawdą. To właśnie powiedział mi ten drugi Dawid Kordowa, z którym w końcu zdołałem się porozumieć, wylawiając go z równoległej rzeczywistości gęstą siecią mojego tekstu. On już wcześniej wiedział, że istnieją też inne wersje jego samego, czasami o nich pisał. Nie jestem tym jedynym – drugich ja są podobno setki, tysiące. Między wszechświatami rozpięto wątle pajęczyny słów i zdań, splecionych w opowieści. Komunikacja jest wprawdzie możliwa, ale nie jest możliwy bezpośredni kontakt. Musi mi wystarczyć świadomość, że to, co pomyślałem, istnieje naprawdę, tyle że gdzie indziej, wieczne i niedosiężne...

Dzięki jednej z czytelniczek tego bloga dowiedziałem się o niezwyklej terapii brytyjskiego lingwoterapeuty Stevena Halla. Po latach wytężonej pracy zdołał on opracować nowoczesny model leczenia batofobii, który ma tylko jedną, choć zasadniczą wadę: mimo że jest całkowicie bezpieczny dla pacjenta, stanowi poważne zagrożenie dla samego terapeuty... Na czym on polega? Należy za pomocą słów zbudować pomost między osobą uzdrawianą a uzdrawiającym, między głupotą a rozumem, bezsensem i sensem, płaszczyzną a głębią, życiem a śmiercią. Porozumienie ma prowadzić do zrozumienia, jednak leczący słowami zawsze jest narażony na psychiczny uszczerbek. „To, co z siebie wypiszesz, utracisz na zawsze”, twierdzi Hall.

Żegnajcie więc światy, których już nie zobaczę, żegnajcie ludzi, których nigdy nie będzie mi dane poznać ani pojąć.

Nie mam jednak innego wyjścia, muszę zaryzykować.

Wszystko dla mojego dziecka, które tak cierpi przez ten mój idiotyczny pęd ku „mądrości”.

11 maja

Czas na zagadkę: niczego nie ma na ekranie, ale głowa w przedostatnim rzędzie nie jest wcale tak pusta, jak może się wydawać.

Wystukaj liczbę, która na wiele lat stała się dla mnie barierą nie do przejścia.

Prawdę odnajdziesz w zupełnie innym miejscu.

Czytając, byłem wyłącznie zdumiona, choć jeszcze przedwczoraj lęk pozbawiłby mnie oddechu.

Nie miałam pojęcia, że ojciec prowadził w sieci jakiegokolwiek w miarę logiczne zapiski, że całkiem racjonalnie przejmował się naszym wspólnym losem. Jeden z mieszkańców tego dwuosobowego domu wariatów nie był tak

szalony, jak się wydawało. Z notek na blogu nie sposób wywnioskować, że Dawid Kordowa to ciężko chory człowiek, znacznie starszy i bardziej zniszczony fizycznie i umysłowo, niż wynikałoby z jego metryki. Szczerze mówiąc, teraz to ja wyglądałam na bardziej udreconą psychicznie. Nie sądziłam, że się tym martwił, odnosiłam raczej wrażenie, że żyje gdzieś obok, na jakiejś innej, choć bardzo bliskiej planecie, na którą nie mam wstępu ani ja, ani żadne przyziemne rzeczy.

Tkwiłam w całkowitym błędzie.

Czego jeszcze nie byłam świadoma?

Kolejny raz przeczytałam ostatni z postów, zagadkę najwyraźniej skierowaną do mnie. Pusty ekran, przedostatni rząd. Pamiętałam, że Remiecki siedział w kinie właśnie w przedostatnim rzędzie, ale tam na ekranie kinowym działa się naprawdę wiele. Na którym ekranie nic nie ma? Nasz panel OLED skrywał aż dwa rozdziały, nie sądzę więc, by ojciec kolejne ukrył także tam. Na myśl przychodzi mi już tylko...

Nad holotabem wykonuję gest skrzyżowanych palców, przywołując z historii przeglądarki adres krytyka.pl. Przed oczami znów staje mi kinowy ekran i czarne głowy widzów. Odszukuję przedostatni rząd i palcem wskazującym stukam w wizerunek jedyne go siedzącego tam człowieka. Nic się nie dzieje.

„Wystukaj liczbę, która na wiele lat stała się dla mnie barierą nie do przejścia”, przypominam sobie. Odpowiedź powinna być oczywista, ale żaden z pomysłów nie wydaje mi się właściwy. Czy chodzi o datę śmierci matki? Datę moich urodzin? Może rok premiery ostatniej powieści ojca, po której niczego już nie wydał? Wtedy nagle przed oczami pojawia mi się ułożony z liter kwadrat, od którego zaczął się *Kres komunikacji*. Ta książka jest przecież jego dziewiątą! Przez te wszystkie lata właśnie z napisaniem dziewiątej nie mógł sobie poradzić!

Stukam w głowę widza jeszcze osiem razy.

Sekundę później na ekranie kinowym wyświetla się pytanie: otworzyć/odrzuć plik „Przeczucie kresu/Jaskrawość?”.

Wybieram pierwszą opcję.

Fragment 6: Przeczucie kresu

Córce Kordowy odpisałem to, co wydało mi się najwłaściwsze. Mimo że wcześniej nie miałem pojęcia o jej istnieniu, doszedłem do wniosku, że przecież nie wszystko na temat Dawida wiedziałem, a nawet więcej – pod wieloma względami wiedziałem zastraszająco niewiele. Być może doskonale się kamuflował i prowadził podwójne życie, nie wspominając o tym nawet mnie – swojemu rzekomo najbliższemu przyjacielowi. Zresztą on właściwie o niczym nie chciał mi mówić tak po prostu. Większości musiałem się domyślać i to właśnie robiłem. Głównie z tych domysłów układałem sobie jego obraz, aż w końcu wymyśliłem go całego – niczym odbicie, niemające punktów stycznych z faktami.

Wysłałem zatem Magdalenie Kordowie wyjaśnienie, że według moich informacji jej ojciec może aktualnie przebywać w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Krakowie. Przynajmniej tak napisał na swoim blogu, ani słowem nie wspominając, co działo się z nim przez ostatnie dwa lata i czemu tak nagle zapadł się pod ziemię. Cóż, cały Dawid. Zresztą ten wpis był bardzo w jego stylu:

Jeszcze nie jestem całkiem martwy, więc nadszedł czas, bym wyjawiał wam prawdę.

Z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Krakowie pisze do Was na zdezelowanym smartfonie niestrudzony czarnowidz, stara maszyna do życia, która przestaje funkcjonować. Wczytajcie się w te słowa, póki jesteście w stanie je pojąć.

Wielu przeczuwało zbliżający się koniec, ale nikt ze swoim proroctwem nie trafił tak celnie jak Szekspir: „Reszta jest milczeniem”.

Wkrótce nadejdzie upragniona przeze mnie dezintegracja naszej kochanej rzeczywistości, a jej pierwszym symptomem będzie – z dnia na dzień coraz bardziej realny – kres komunikacji.

Innymi słowy: zabraknie nam języka. Jakiegokolwiek. Nie w gębie, tylko w ogóle. Rozpadnie się cały system znaków – jedyne, co tak naprawdę odróżniało nas od małp. I zostanie tylko nagie, złąknione ja, samo wobec nienazwanej

ciemności kosmosu, pierwotnej, bezbrzeżnej, dojmującej trwogi. Wszelkie próby opisu tego, co wydarzy się potem, choć nieuniknione, są z natury rzeczy niemożliwe – skoro nie będzie istniał żaden środek komunikacji, nikt o tym w żaden sposób nie opowie, tak jak nie da się wyrazić tego, co tkwi we wnętrzu czarnej dziury.

Wrócimy do punktu zero.

Będziemy jak żywe kamienie, na wieki wpatrzone niemo w Wielkie Nienazwane.

Słowa spłyną ze znaczeń, język odklei się od świata.

Czy piszę wystarczająco wyraźnie?

Czy wszystkie mroki, które na nas spadną, są teraz dla was wystarczająco jasne?

Koniec właśnie się zaczął.

Obserwujcie milczących...

A skąd wiem o tym wszystkim?

Mam uszy i oczy.

I słowa. Przynajmniej do czasu.

Wsluchajcie się w ciszę, dobrze wam radzę. Milczenie najlepiej opisuje to, co nas czeka. W nim pustka zyskuje najpełniejsze brzmienie. To właśnie ono czasami wyraża najwięcej.

Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia winy. Mam oczy, uszy i słowa, mam też – niestety! – szczątkowe sumienie. Współwinni są wszyscy, lecz w istocie to ja jestem sprawcą całego zamieszania. Pewnych granic nie powinno się przekraczać. Pewnych kroków nie powinno się podejmować, bez względu na okoliczności. Bo cel wcale nie uświęca środków...

Ach, jaki spokój.

Cisza rozejdzie się po świecie niczym kręgi po wodzie.

Więc kto pierwszy rzucił kamieniem?

Wiecie już, domyślacie się?

Tak.

Wasz Dawid Kordowa.

Żeby choć częściowo pojąć, o czym pisze mój do niedawna zaginiony przyjaciel, przewertowałem sieć w poszukiwaniu informacji na temat plagi milczenia, o której wcześniej wspominał Krystian.

Liczba wyników, jakimi zasypała mnie wyszukiwarka, rzeczywiście robiła wrażenie. Wprawdzie w języku polskim dostępnych było ledwie kilka krótkich

notek (na dodatek z mało istotnych źródeł) oraz kilka zawierających polskie opisy amatorskich filmików – w tym ten już kiedyś przez mnie oglądany, z blondwłosą dziewczynką, która z dnia na dzień jakby skamieniała – lecz stron anglojęzycznych były dziesiątki, znalazłem też setki mniej lub bardziej popularnych klipów. Na samej górze działu wideo znalazł się tematyczny skecz z programu Jimmy’ego Kimmela, przedstawiający plagę milczenia jako wynik ekstremalnego lenistwa („Niektórym odechciewa się mówienia i pisanie, ale są też tacy, którzy zarzucili nawet oddychanie”), kolejny był już jednak czterominutowy klip grupy InfoWars, potwierdzający, że sytuacja jest bardziej niż poważna.

„Mój syn po prostu zgasł”, zwierzała się reporterowi zapłakana Kaaron Warren, matka dziesięcioletniego Billy’ego, który najpierw stracił umiejętność pisanie, potem mówienia, a w końcu zmienił się w coś w rodzaju żywej rzeźby: zamarł w pozycji stojącej i zeszywniał, przestając nawet mrugać. Obecnie przebywał w szpitalu, rokowania były jednak kiepskie, by nie rzec: fatalne. Nie doszło wprawdzie do uszkodzenia mózgu, ale z jakichś powodów zerwało się połączenie między ciałem chłopca a jego umysłem. „Jakby ktoś skradł mu duszę”, zawodziła kobieta, a stonowany głos z offu wyjaśniał, że w Stanach Zjednoczonych było już ponad siedemdziesiąt podobnych przypadków. Osoby obydwu płci, od dzieci po starców, nagle milkły, by po upływie kilku dni „skamienieć”.

Dziennikarka w studiu zapewniła, że naukowcy w laboratoriach na całym świecie pracują nad rozwiązaniem problemu. Potem kamera pokazała jednak Alexa Jonesa i od razu skojarzyłem, że InfoWars jest tak naprawdę jego dzieckiem. Alex, znany powszechnie tropiciel rozmaitych spisków i układów, autor dokumentu *Endgame*, zasugerował, że w całą sprawę może być zamieszana wpływowa grupa Bilderberg. Udział Alexa zmniejszył wiarygodność newsa o jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent, ale z drugiej strony coś faktycznie było na rzeczy, skoro od momentu wypuszczenia tego klipa, to znaczy od dziewiętnastu dni, liczba milczących w samym USA wzrosła do trzystu dwudziestu, a na świecie wczoraj przekroczyła tysiąc. Informacje o chorobie zaczęły się też pojawiać w innych, niekoniecznie wszędzie wężących przekręt mediach.

Wyguglałem, że w Polsce, według przedwczorajszych danych, mieliśmy czternaście zdiagnozowanych przypadków. Dlaczego dotąd nic o tej chorobie nie wiedziałem? Widać z powodu moich własnych lęków przestałem zwracać uwagę, czym aktualnie żyją internauci. Takich puszcanych w

społecznościowych serwisach klipów musiało być przecież mnóstwo, a ja rzuciłem okiem na ledwie jeden, nawet nie drążąc tematu. Za dużo rozmyślałem o sobie samym, o Natalii, o nieistotnych pierdołach. No i skończyłem na lekach przeciwlękowych, skulony pod kocykiem i zawodzący o utraconej miłości. Cholera, Remiecki, weź się w garść, bo to już jest żalosne...

Sprawdzając kolejne netowe tropy, dotarłem na krajowe forum wielbicieli teorii spiskowych. Zazwyczaj takie miejsca to siedliska szaleńców, jednak tym razem nie mogłem pominąć żadnego potencjalnego źródła informacji, zwłaszcza że na tym właśnie forum wywiązała się rozciągnięta na całe trzy strony dyskusja użytkowników, którzy próbowali rozwikłać zagadkę Milczących. Jeden z ich, Zeitgeist2012, twierdził, że to projekt Rządu Światowego, planującego w najbliższej dekadzie zmniejszyć populację naszej planety o trzy czwarte. Polemizowali z nim Raphael, uważający, że żyjemy w Dniach Ostatnich, a ta choroba jest tylko jednym ze Znaków Końca, oraz MajkelMooreXXX, w trzech postach z rzędu powtarzający to samo zdanie: „Chcieli obamacare to mają!”. Ostatni wpis wątku pochodził od Violetty, która twierdziła, że winny jest współczesny, chory tryb życia: „Wyścig szczurów, wyzysk, korporacje, dopalacze, spaliny, toksyny, upadek wartości, Microsoft, Apple, zanik więzi, niewychodzenie z domu i spędzanie całych tygodni w internetach”.

Każdy uważał, że tylko on ma rację, więc atmosfera stawała się napięta i moderator musiał co parę postów upominać adwersarzy. A że sam nie był bezideowcem, każdy wpis kończył przywołaniem smutnego faktu, że „rządzą nami Reptilianie, otwórzcie wreszcie oczy, ludzie!”.

Nie przychyłając się do żadnej z teorii, zacząłem się zastanawiać, czy całe to zjawisko nie jest przypadkiem jakąś formą kampanii marketingowej. Czy zdziwiłbym się, gdyby za miesiąc weszła do kin hollywoodzka superprodukcja *Era milczenia*? Nie bardzo.

Krystian puścił mi maila z linkiem do jakiegoś klipu. Na dwudziestosekundowym filmiku widać siedzącego na ławce mężczyznę, w którego jakiś dzieciak rzucił jajkiem. Mężczyzna, dosyć przystojny i ubrany w elegancki garnitur, nawet nie mrugnął, gdy pocisk rozprysnął mu się na czole, a białko i żółtko spłynęły po policzkach i nosie. Ręce opierał na kolanach i zdawał się spoglądać prosto przed siebie. Ważną informacją było to, że klip pojawił się dzisiaj, a w jego opisie znajdowało się zdanie: „Poranne wagary zakończone spotkaniem z bekowym kolesiem na Plantach”. Istotniejsze jednak było to, że w tle, między drzewami, zauważyłem kawałek szyldu księgarni na Podwalu, więc zlokalizowanie tej ławki nie powinno nastęrczyć mi żadnych trudności. O ile

oczywiście nagrany mężczyzna naprawdę jest jednym z Milczących i nadal będzie tam siedział. Wkrótce się przekonam.

Po przejrzaniu sieci pozostało mi już tylko wykonanie tego ostatniego kroku i skontaktowanie się z Dawidem Kordową. Tego właśnie obawiałem się najbardziej, mimo że w moich żyłach wciąż krążył lek, po którym teoretycznie wszelki strach powinien stać się dla mnie czymś obcym.

Historia naszej wcześniejszej przyjaźni była zarazem historią coraz głębszego zatraćania się mojego przyjaciela w megalomańskim szaleństwie. Gdy niespodziewanie zniknął, byłem, owszem, zaniepokojony i tak jak niektórzy sądziłem, że w grę mogło wchodzić morderstwo albo samobójstwo, ale po pewnym czasie poczułem niewyobrażalną ulgę. Jakby wreszcie skończył się psychodeliczny, schizofreniczny i niezmiernie męczący film, który musiałem śledzić przez lata. Teraz to miało wrócić. Bałem się, że znów będzie jak dawniej, znów ulegnę chorej fascynacji i odbije się to na moim nadwątlonym zdrowiu psychicznym. Czy jakikolwiek antylekowy specyfik wystarczy, by wygrać ze schizami, w jakie wszystkich wokół zawsze wpędzał Kordowa?

Wystukałem numer na komórce. Słuchając monotonnego sygnału, poczułem się, jakbym wracał do miejsca, do którego tak naprawdę nie miałem ochoty wracać.

Immersja

Wiedziałam, że się zbliżam, ale nie wiedziałam, do czego. Miałam wrażenie, że powieść ojca wyposażyła mnie w jakąś warstwę ochronną i teraz żaden z moich dawnych lęków nie ma do mnie dostępu. Wreszcie czułam się bezpieczna. Strach był tylko wspomnieniem.

Zagadka zniknięcia ojca niedługo przestanie być zagadką. Dziś dostałam dwie wiadomości, które pomogą mi odkryć prawdę.

E-milka podała plik wideo, który przekazał jej kolega „znający się na monitoringach”. Filmik trwał ledwie dwadzieścia sześć sekund i miał niespecjalnie wysoką rozdzielczość, ale dokładnie między trzynastą a osiemnastą sekundą w kadrze obejmującym jedną z przejściówek naszego kompleksu pojawił się mężczyzna, który mógł być moim ojcem. Piszę „mógł być”, bo choć twarz miał bardzo podobną, niemal identyczną – tylko jakby „młodsza” – to jednak wydał mi się trochę wyższy, szedł przed siebie pewnym krokiem, wyprostowany, a w jego zachowaniu nie wyczuwało się żadnej dezorientacji. Nie potrafię tego pojąć. Przecież ojciec to człowiek schorowany, który na dodatek od lat nie miał bezpośredniego kontaktu ze światem zewnętrznym. Niemożliwe, żeby po wyjściu na zewnątrz wydawał się tak sprawny i pewny siebie. Wciąż też nie wiem, jak udało mu się wyjść. Drugi problem stanowiła widoczna w prawym górnym rogu data i godzina. Wskazywała na to, że tato opuścił mieszkanie całą dobę przed tym, zanim odkryłam jego zniknięcie. Pocieszałam się myślą, że to zwyczajny błąd systemu. Bo jeśli błąd nie wystąpił, oznaczało to, że ojciec jeszcze przed swoim zaginięciem wyszedł nocą z mieszkania... być może nawet z naszego kompleksu. A potem wrócił, nawet słowem mi o tej swojej eskapadzie nie wspominając. To było zbyt nieprawdopodobne, by w ogóle brać taką ewentualność pod uwagę.

Drugi mail – co zszokowało mnie już zupełnie – przyszedł z konta Adama Remieckiego. Gdy tylko zobaczyłam go w skrzynce, serce zaczęło walić mi w piersi i nie mogłam złapać tchu. Tytuł brzmiał: *Pani ojciec się odnalazł.*

Niezmiernie się cieszę, że Pani do mnie napisała. Przed laty Dawid Kordowa był moim przyjacielem. Powoli zaczynam sobie uświadamiać, jak niewiele o nim wiedziałem.

Aby nie przedłużyć: Pani ojciec się odnalazł! Według moich informacji przebywa teraz w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Krakowie. Nie mam pojęcia, jak ani dlaczego tam trafił, to jednak nieistotne. Gdziekolwiek był wcześniej, w tym momencie najprawdopodobniej jest już bezpieczny.

Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli okazję się spotkać. Mimo że wcześniej obydwójce nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu, teraz – gdy mój przyjaciel, a Pani ojciec, się odnalazł – moglibyśmy się spotkać we troje. Kilka zagadek Dawida Kordowy nadal czeka na rozwiązanie. Podejrzewam, że Pani czuje się dokładnie tak samo.

Z pozdrowieniami
Adam Remiecki

Z obydwu wiadomości jednoznacznie wynikało, że mój ojciec wcale nie zniknął, a jeśli nawet, zdążył się już zmaterializować. Znalazł sposób – wciąż nie mam pojęcia, jaki – by wyjść się na zewnątrz. Nie wiem, czemu to zrobił, ale najważniejsze, że muszę jak najszybciej sprowadzić go z powrotem. Nie powinien przeżywać takiego stresu, przy jego kondycji fizycznej i psychicznej to może być dla niego niebezpieczne...

Mimo że nadal nie posiadałam nakładki blokującej niebezpieczne dla batofobików treści, postanowiłam wejść do Immersjonetu. Podczas czytania ostatnich rozdziałów książki ojca nie odczuwałam żadnych lęków, może więc nie będą mnie paraliżowały, kiedy wejdę bez zabezpieczenia do sieci.

Nie zastanawiając się długo, założyłam szkła kontaktowe Oculus Lens, wetknęłam do uszu słuchawki i aktywowałam połączenie. Ruchami gałek ocznych w menu startowym od razu odłączyłam wtyczkę społecznościową – nie chciałam, żeby po moim pierwszym od kilku tygodni wejściu do Immersjonetu z każdej zaprzyjaźnionej chmury spłynęły na mnie obfitym deszczem wszystkie winknięcia, zaczepki, im-maile, moty, demoty i przestrzenne wizualizacje leniwców czy kotów. Na wejściu otagowałam się jeszcze na wszelki wypadek jako „zdystansowana”, „wroga”, „wściekła”, „przygnębiona”, „milcząca” i wybrałam tryb „skrajna introwersja”, już na starcie odbijający większość doradców i ankieterów, a także blokujący jakieś osiemdziesiąt procent co bardziej nachalnych reklam.

Stopień immersji ustawiłam na „średni”, żeby nie przedobrzyć, a następnie – po wzięciu głębokiego oddechu, jak przed nurkowaniem – weszłam w znajomą przestrzeń. Do pokoju zewsząd ospale napłynęły trójwymiarowe ikony aplikacji. Ich pojawieniu się towarzyszyła kojąca muzyka i świetliste kręgi, niczym

zmarszczki na powierzchni wody. Widać moja ulubiona nakładka tematyczna, „Przyjazne Głębie”, nadal działała.

Najpierw odpaliłam Ściągaczka i zainstalowałam pierwszy lepszy darmowy program do porównawczej analizy zdjęć oraz filmów. Potem przepuściłam przez niego klip od E-milki, każąc programowi porównać widocznego na nagraniu mężczyznę ze znajdującymi się w Podręcznej Chmurce zdjęciami ojca. Po czterech sekundach otrzymałam wynik. Zgodność: osiemdziesiąt sześć procent. Mogłam więc bezpiecznie założyć, że to naprawdę on.

Zadowolona, przez chwilę przeglądałam album z rodzinnymi hologramami, który zawiesiłam sobie w Podręcznej parę lat temu. Ojciec nie lubił, gdy robiono mu zdjęcia, ale miałam ich trochę i udało mi się nawet za pomocą trialowej wersji softu HOLO-urslf-NOW! przekonwertować trzy niskorozdzielczościowe fotki z mojego dzieciństwa, na których jest cała nasza trójka. Zawisły mi przed oczami jak nagle wizualizowane wspomnienia, a ja nie czułam ani odrobiny lęku, mimo że jeszcze niedawno nie mogłam na nie patrzeć nawet przez sekundę, panicznie przerażona falą emocji, jaką we mnie budziły. Nakładka blokująca niebezpieczne dla batofobików treści z reguły zatrzymywała zresztą większość hologramii, z uwagi na to, jaki strach u chorych powodowało ożywianie wspomnień. A teraz tak po prostu je oglądałam, czując nostalgię, smutek, zachwyt i przede wszystkim radość. Żadnego przerażenia.

Mama była taka piękna. Niebieskie oczy, cudowny uśmiech, lśniące włosy, które – pamiętam wyraźnie, jakby to było dzisiaj – pachniały waniliowym szamponem. Obok niej ojciec; wtedy jeszcze się uśmiechał. Młody zdolny pisarz u szczytu możliwości. Szczęśliwy w małżeństwie, twórczo spełniony. Pomiędzy nimi ja: szczerbata sześciolatka, uśmiechająca się szeroko, ale patrząca gdzieś w bok, pewnie na coś ciekawego, co działo się poza kadrem. Otarłam łzę z policzka i ruchami gałek ocznych przywołałam z Podręcznej Chmurki kolejne hologramie: ja i znajomi hipsterzy przed wejściem na jakiś krakowski festiwal alternatywny – wszyscy w czarnych rurkach i za dużych swetrach, z czapkami na głowach, mimo że był środek lata. Żadne z nas się nie uśmiechało, bo w tamtym okresie uśmiech na fotkach był skrajnie *passè*, wiedziałam jednak, że w duchu jaraliśmy się jak dzieci. Dalej ja w moim ciasnym pokoiku w Pitchfork Housie, w tle plakaty Chvrches i Vampire Weekend. Na koniec trzy hologramie ojca, które były robione co dwa lata, ale na każdej zdawał się starszy o kolejną dekadę. Tak wcześnie posiwiiał. Pamiętam, jak bardzo dotknął mnie fakt, że mój ojciec starzeje się w tak zawrotnym tempie. Jeszcze przed pięćdziesiątką nabawił się licznych zmarszczek, drżały

mu dłonie, chodził przygarbiony, jakby wziął na barki coś ogromnego i niewidzialnego. Patrzyłam teraz głęboko w jego nieobecne oczy i na twarz tak smutną, jakby w sercu miał tylko czystą rozpacz i rozczarowanie całym znieawidzonym światem. Pospiesznie wyłączyłam przeglądarkę holo i pozwoliłam Podręcznej Chmurce wsiąknąć bezdźwięcznie w sufit.

Aktywowałam mapę Krakowa i zaczęłam szukać – wspomnianego zarówno w wiadomości od Remieckiego, jak i w książce ojca – Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej. Z płaskiej, przypominającej nieforemny dywan powierzchni wyłoniły się otagowane przez korporacje wieżowce, rozległe kompleksy mieszkalne, wirtualne billboardy i chmury reklamowe, które w realnym świecie tak często doprowadzały ludzi do skrajnej irytacji, szczególnie gdy na teoretycznie bezchmurnym niebie zawisają ciężkie, wyprofilowane ręką marketingowców swooshe czy charakterystyczne nadgryzione jabłka. Wodząc wzrokiem po mapie, nieopatrznie zatrzymałam się na dłużej niż ustawowe pół sekundy przy logo Nike i momentalnie ze środka planszy wystrzeliły we mnie migające jaskrawo tagi Żyj!TM i Zróbtoteraz!TM, reklamujące nowe modele zdrowego życia i związane z nimi linie ubrań, kosmetyków oraz suplementów. Nerwowym ruchem prawej ręki odgarnęłam je z pola widzenia i wreszcie skupiłam się na budynku, którego szukałam, teraz podświetlonym na zielono. Nad gmachem wisiało prostokątne okienko z informacją, że ośrodek MOPS w tym miejscu został zlikwidowany przed kilkoma laty, a teraz mieści się tam LNAM – Lokalna Noclegownia Alternatywnie Myślących. Piękna nazwa, niestety wiedziałam, co się za nią kryje. Zgodnie z Europejską Konwencją Dywersyfikacji Nazw i Znaczeń „Alternatywnie Myślącymi” nazywano osoby cierpiące na najcięższe choroby psychiczne – ludzi, którzy nie byli w stanie funkcjonować bez dwudziestoczterogodzinnej opieki. Konwencja weszła w życie, by ukrócić używanie charakterystycznych dla mowy nienawiści epitetów w rodzaju „świr”, „psychol” czy „jebus”, tylko że tak naprawdę to wcale nie zmieniało istoty rzeczy. Noclegownie Alternatywnie Myślących nie były może równie restrykcyjne, jak specjalistyczne szpitale, ale i tak mogłam uznać, że ojciec prawdopodobnie trafił do jednego z tych miejsc, przed którymi od wielu lat starałam się go uchronić.

Zbyt długo zastanawiałam się nad tym, co się stało, i przed oczami zawirował mi nagle rój reklam, mieniących się jak ławica wirtualnych ryb: „Znudzona? Napalona? Wtyczka EroSocial już od 29 kredytów miesięcznie!”, „Pogłęb swoją immersję wszczepem RFID_2022 – dostępny w trz3ch wersjach implementowanych chirurgicznie (wkrótce też jako nano!)”, „Magdaleno,

Twoje otagowanie sugeruje głęboką depresję! Nie smuć się! Baw się! Gry Activision wg. specjalistów zapewniają wzrost ilości wydzielanych endorfin nawet o 35%!”.

Skrzyżowałam wyciągnięte dłonie i reklamy pospadały na podłogę, rozbijając się ze stłumionym, szklanym brzdękiem.

Agresywny marketing, którym przesiąknięty był cały Immersjonet, nie stanowił teraz dla mnie największego zmartwienia. Najgorsze było to, że prędzej czy później będę musiała wyjść z mieszkania i pojechać po ojca. Komunikatory noclegowni mogą przecież wykryć, że sama cierpię na batofobię, a wtedy automatycznie otagują mnie jako chorą i umieszczą w rejestrach Policji Zdrowia Psychicznego jako osobę, która od ponad pięciu lat ukrywała swoją prawdziwą kondycję mentalną, z premedytacją łamiąc europejskie prawo. Wszystkie komunikatory szpitali, zakładów i noclegowni musiały mieć tę funkcję, zgodnie z Konwencją O Jawności Stanu Zdrowia, wprowadzoną w ubiegłym roku na całym terenie Unii. Miały ją nawet niektóre drony medyczne, więc kiedy stuknęły w okno metalowym ramieniem, prosiłam ojca, by to on im otwierał, sama starając się nie zbliżyć na bardziej niż na dwa metry. Usunięcie taga choroby i wymazanie się z rejestrów kosztowało u najlepszych hakerów pieniądze, jakich nie byłabym w stanie zdobyć.

Popęłnienie najdrobniejszego błędu mogło więc skończyć się trudnymi do wyobrażenia konsekwencjami. W grę wchodziła jedynie bezpośrednia rozmowa z pracownikami ośrodka LNAM. Tylko w ten sposób miałam szansę ukryć swój faktyczny stan psychiczny.

To nie była kwestia wyboru.

Musiałam porzucić bezpieczeństwo i ratować ojca.

Musiałam wyjść do świata, który jeszcze czterdzieści osiem godzin temu panicznie mnie przerażał.

Musiałam zrobić coś, co wydawało się niewyobrażalne.

Fragment 7: Jaskrawość

Śniło mi się, że najeźdźcy zniszczyli całutką piwnicę. Zdewastowali, zdeptali, spalili, po wszystkim gasząc zgliszczą płomieni własną plwociną. A potem zaczął się zabór, zaczęła się okupacja, zaczął się mój największy dramat. I nagle piwnica przestała być moją piwnicą, stała się jakimś ponurym podziemnym urzędem, gdzie mówi się tylko po esesmańsku, komuchowsku i żydłacku. Wypleniono z tego cudownego Domu wszystko, na czym mi zależało. Nic nie zostało. Teraz rządzą bestie.

Obudziłam się i poczułam, jakby zupełnie mnie nie było.

Unoszę głowę. Wszystko mnie razi. Przeraza to, co przed sobą widzę: jaskrawe domy, odblaskowe samochody, ludzie przystający w pół kroku jak rzeźby ulepione ze światła, jasnozielona gęstwina parkowych drzew i krzaków, i jaśniejące nad tym świetlistym bezmiarem niebo, które jest ogromniejsze niż sobie wyobrażałam, wygląda jak sto tysięcy piwnicznych sufitów, pomalowanych trochę na biało, a trochę na niebiesko, i razi jak sto tysięcy piwnicznych żarówek sklejonych w jedną, ogromną.

Ten świat jest porażający.

Zupełnie inaczej to wyglądało, gdy nocą zdołałam wyważyć drzwi i wyruszyłam na poszukiwania zaginionej Mamy, brnąc prosto w ciemność, smutną, tajemniczą i pełną potworów, które jednak wcale nie okazały się prawdziwe. Nigdzie żadnych ubeków, esbeków, esesmanów, żydłaków, komuchów, masonów czy choćby liberałów. Krążyłam dezorientowana po rozświetlonych latarniami ulicach i mrocznych, groźnie szumiących parkach, potykając się o czarne płataniny gałęzi i korzeni. Bałam się, że mnie dopadną okupanci, ale nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Nikt na mnie nie doniósł, nikt nie zgwałcił, nikt nie wrzucił mnie w metalowe szczęki Pejsomatu, który przyszyłby mi jarmułkę do czaszki i przekabacił na złodziejską wiarę w wyzysk oraz pieniądź. Spotykałam tylko zwyczajnych ludzi, czasami zupełnie podobnych do Mamy i Matki. Nigdzie nie było żadnej bestii, która mogłaby mnie skrzywdzić albo chociaż przerazić.

Potem, zasypiając na jakiejś ławce, modliłam się, żeby to wszystko było tylko złym snem, żebym obudziła się w mojej piwnicy, bezpieczna i szczęśliwa. Aż w

końcu rzeczywiście się obudziłam i było jasno, i okazało się, że już zupełnie nie ma się czego bać, bo chociaż cała ta przedziwna zewnętrżność tak bardzo mnie razi, to nikt tutaj nie próbuje mnie zabić, a oczy z czasem przyzwyczajają się do światła i świata.

A później jeszcze podchodzi do mnie dwóch panów w niebieskim i zastanawiam się, czy to może jacyś agenci obcego mocarstwa, ścierwo sprzedajne, ubecka mafia, ale oni pytają całkowicie po polsku, bez obcych akcentów:

– Co tu robisz, dziewczynko?

A widząc moje wielkie oczy i nietęgą minę, dodają:

– Boisz się nas?

Po chwili namysłu odpowiadam tak, jak myślę:

– Nie.

Tymi właśnie słowami kończyła się ostatnia książka Kordowy, *Pudełko pełne niczego*. Czytałem ją tuż przed jego zniknięciem i teraz też przeglądałem, jadąc pod Bagatelę, by stamtąd dojść od miejsca, w którym jakiś gnojek nagrał klip z mężczyzną i jajkiem. Wróciłem do niej, bo w rozmowie telefonicznej, którą zakończyliśmy ledwie przed godziną, Dawid przyznał, że dwa lata temu nie tyle zniknął, co po prostu sobie „wyszedł”, odkrywwszy wcześniej, że nasza rzeczywistość jest zupełnie jak ta w jego ostatniej powieści, że „na zewnątrz” istnieje coś znacznie większego, tylko my boimy się otworzyć drzwi „naszej piwnicy, naszego państwa czy może padołu”. Niewiele z tego zrozumiałem, tym bardziej że mój przyjaciel sprawiał wrażenie, jakby nie do końca kojarzył, kim jestem – pomylił mnie chyba z jakimś przypadkowym dziennikarzem. Na wszystkie pytania odpowiadał coraz to nowymi zagadkami, grammi słownymi albo ostentacyjnym wzdychaniem bądź śmiechem. Całe szczęście udało mi się namówić go na spotkanie w cztery oczy, i to jeszcze tego samego dnia wieczorem. Może wtedy dowiem się czegoś konkretnego, zarówno o jego zaginięciu, jak i o tym całym zapowiadany przez niego „kresie komunikacji”.

Tramwaj zatrzymał się koło teatru. Schowałem *Pudełko pełne niczego* do teczki i wysiadłem. Wcześniej zupełnie się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz dotarło do mnie, że to właśnie ten przystanek, obok właśnie tej kawiarni. Zerknąłem niepewnie na błękitne litery neonu i dziewczynę siedzącą przodem do szerokiej szyby. Piła z wysokiej szklanki i byłem niemal pewny, że to właśnie latte, które my z Natalią...

Odwróciłem się ku Plantom i szybkim krokiem ruszyłem naprzód.

Najbardziej bałem się tego, że zaraz ją spotkam. Wpadniemy nagle na siebie, a ja stanę jak porażony, nie mogąc wydusić słowa. Natalia popatrzy na mnie od niechcienia, uśmiechnie się kwaśno i pójdzie dalej. I ta jej reakcja będzie gorsza niż wyrok, bo doskonale wiedziałem, co ona teraz o mnie myśli. Że jestem nieudacznikiem, który boi się życia i podejmuje żadnych wyzwań. Że celowo trzymam się roboty niedającej szans awansu, żebym przypadkiem kiedyś nie musiał być za cokolwiek odpowiedzialny. Nie chciałem teraz o tym myśleć. Miałem głowę pełną duchów, które nie chciały umilknąć. Pragnąłem, by afobian na powrót spłaszczął emocje, stłumił hałas do szeptu, a później całkowitej ciszy. W twarzy każdego przechodnia widziałem twarz Natalii. Zamknąłem oczy w połowie przejścia dla pieszych i przez chwilę szedłem na ślepo. Już się nie spotkacie, pocieszałem samego siebie w myślach, ale to pocieszenie podszyte było żalem i rozpaczą, bo gdziekolwiek szedłem, ciągnąłem za sobą dawne widma, niedające się wygnać.

Teraz praca. Myśl tylko o pracy, Adam.

Pomiędzy drzewami widziałem już ławkę z klipu podesłanego przez Krystiana.

Ktoś na niej siedział, dwie osoby. Jaka jest szansa, że jedna z nich to facet, którego nagrano? Im bliżej niego byłem, tym większą miałem pewność. Szary garnitur, krótko obcięte włosy. Dopóki widziałem go z tyłu, mogłem się jeszcze mylić. Pojawiła się też druga myśl: to właśnie na Plantach po raz pierwszy w życiu rozmawiałem z Kordową. Czy taki zbieg okoliczności mógł być przypadkowy?

– Dzień dobry, Adam Remiecki, tygodnik „Zero Ściemy” – przedstawiłem się, wyciągając rękę.

To był ten sam facet i zdałem sobie sprawę, że nie przywita się ze mną, ale musiałem udawać, że spodziewam się jakiejś reakcji. Na drugim końcu ławki siedziała wpatrzona w tablet dziewczyna: na uszach masywne słuchawki, szkła okularów odbijały migoczącą animację. Pewnie nawet nie wiedziała, kto znajdował się tuż obok. Na policzku faceta widać było jeszcze zaschnięty ślad żółtka, wilgotna, rozbita skorupka leżała między jego udami. Mężczyzna był zadbany, widać, że jeszcze wczoraj prowadził normalne życie. Co mogło się wydarzyć? Gapił się przed siebie, ani na sekundę nie odwracając wzroku od drzew i szarego muru znajdującego się po drugiej stronie. Na murze ktoś zielonym sprayem napisał słowo „koniec”.

Siadłem między mężczyzną a dziewczyną. Oboje wydawali się równie nieprzytomni, ale dziewczyna przynajmniej od czasu do czasu przymykała

powieki albo drapała się po twarzy. Milczenie jeszcze jej nie dopadło.

– Czy może pan mówić? – spytałem głośno, kładąc mu dłoń na ramieniu. Był tak sztywny, jakby jego ciało uległo już stężeniu pośmiertnemu.

– Wezwę karetkę – dodałem, sięgając po telefon. Od niego niczego się nie dowiem, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mi wyjaśnić, w jakich okolicznościach mężczyznę dopadł ten stupor.

– Karetka nic nie pomoże – odpowiedział ktoś, niemal szeptem.

Rozejrzałem się nerwowo, ale przed ławką nikt nie stał. Była tu tylko nasza trójka. A dziewczyna nadal nie odrywała wzroku od ekranu.

Spojrzałem na mężczyznę.

– Proszę? – zapytałem niepewnie.

– Mój świat się zawalił. Karetki ani lekarze tego nie naprawią.

Naprawdę się odezwał? Nie mogłem uwierzyć. A więc miałem szansę czegoś się dowiedzieć, miałem szansę uzupełnić materiał o relację z pierwszej ręki.

– Czy jest pan chory? – spytałem. – Czy może się pan poruszać?

– Mogę. Nie chcę – wyszeptał. Poruszały się tylko jego wargi, twarz pozostawała jak kamień.

– Dlaczego?

– Świat mi się zawalił. Powinienem umrzeć.

Był tak pewny swoich słów, że aż mnie przerażał. O co można zapytać kogoś takiego, skoro odpowiedzią na wszystkie pytania jest dla niego śmierć?

– Z jakiego powodu pan się tak czuje?

Milczał. Może znów się zawiesił i przez następne godziny nie wypowie ani słowa.

Nagle przymknął powieki, a po policzkach spłynęły mu łzy.

– Gdyby nie ona, dzisiaj byłbym nikim. W ogóle by mnie nie było. A teraz to jej nie ma.

Usłyszałem stukot obcasów i odwróciłem wzrok od mężczyzny.

– Pół dnia cię szukałam! – krzyczała młoda kobieta z włosami spiętymi w kok, ubrana w białą bluzkę i czarną spódnicę. W jej krzyku nie było jednak groźby, tylko bezbrzeżna ulga.

Przytuliła mężczyznę i także zaczęła płakać. Wtedy on się rozluźnił. Jakby jej dotyk znów pobudził go do życia.

Patrzyłem na tę scenę i mimo jej dramaturgii nie mogłem przestać myśleć o sobie – ile bym dał, żeby Natalia do mnie wróciła i żeby wszystko było jak kiedyś.

– To mój narzeczony – wytłumaczyła kobieta łamiącym się głosem. – Myślałam, że coś sobie zrobił. Od wielu lat cierpi na depresję, a dziś rano... dziś rano zmarła jego matka. Sama go wychowała, byli bardzo związani.

Kiwnąłem głową i wstałem, żeby zrobić jej miejsce. Smutek i rozpacz to prawdziwe plagi, ale nie o nich miałem teraz pisać, tylko o kiełkującej epidemii milczenia. Cały czas mając przed oczami scenę, której właśnie byłem świadkiem, wróciłem na przystanek.

„Planty – fałszywy trop”, napisałem do Krystiana, myśląc o tym, jak się czułem, gdy twarz mojego ojca zmieniła się w nieruchomą maskę. Tamten mężczyzna, w którego jakiś gnojek rzucił jajkiem, który chciał wybrać bezruch, bezwład, nie mogąc znieść tego, co przydarza się nam i naszym bliskim, był mi dzisiaj bliższy niż ktokolwiek. Bo doskonale wiedziałem, co pchnęło go w obłąd. Natomiast nie miałem pojęcia, co mogło pchnąć w obłąd Kordowę.



Znów przeglądałem tekst jego ostatniej powieści, błądziłem wzrokiem po słowach, jakby każde z nich mogło być kluczem do zrozumienia obecnej sytuacji.

Właściwie nie zaskoczyło mnie, że tak trudno było mi się z Dawidem porozumieć. Mimo upływu lat pamiętałem przecież dokładnie, jak mój przyjaciel w coraz szybszym tempie oddalał się od świata, który wszyscy nazywają – albo przynajmniej chcą nazywać – rzeczywistością, zupełnie jakby raz odkleiwszy się od tego, co realne, nie mógł nigdy wrócić z „wyprawy w szaleństwo” (jak sam nieraz określał swoją wewnętrzną odyseję).

„Wyprawa” Kordowy zaczęła się jeszcze na studiach. Z jego późniejszych opowieści – które jednak mogły być kłamstwami, albo nie tyle kłamstwami, co osobliwą formą autokreacji – dowiedziałem się, jak stopniowo nabierał przekonania, że to, co pisze, wcale nie jest wymyślone. Doszedł do wniosku, że w ogóle nie może istnieć coś takiego jak fikcja, ponieważ ludzkie mózgi nie są „nadajnikami”, lecz „odbiornikami”. Ten śmiały i nie do końca zrozumiały dla mnie pomysł natychmiast pociągnął za sobą następny – pisarz nie jest autorem dzieła, tylko kimś w rodzaju słuchacza cudzego głosu, czy może raczej medium,

z głową zanurzoną się w nieskończonym oceanie sygnałów.

– Przekaz płynie z zewnątrz – tłumaczył mi po zakończeniu imprezy literackiej, na której spotkałem go po raz pierwszy. Wyszliśmy przed knajpę o wdzięcznej nazwie Wysoki Zamek i ruszyliśmy na Planty, by spalić niewprawnie skręconego przeze mnie blanta, pierwszego z wielu, które w kolejnych miesiącach i latach przyszło nam dzielić. – Słowa książek nie są wcale wymyślane, tylko spisywane z tego, co ktoś, czy raczej coś, dyktuje.

– Jak to: „Coś dyktuje”? Ty na trzeźwo też słyszysz jakieś głosy? – próbowałem zażartować, zaciągając się dymem, od którego moje żyły momentalnie wypełnił płynny ołów.

– Nie tylko ja. Wszyscy je słyszeli.

Nie wyjaśnił jednak, jacy wszyscy. Jeśli chodziło mu o pisarzy, to widać ja sam się do tego grona nie zaliczałem – nie mogłem być prawdziwym pisarzem, bo nigdy nie słyszałem w głowie żadnego głosu poza własnym.

Tak, to prawda, w tamtych czasach marzyłem jeszcze o karierze pisarskiej, wierząc chyba, że talentem można się zarazić. Do wykonywania zawodu pisarza czułem się świetnie przygotowany, co więcej: z otwartymi ramionami czekałem, aż spłynie na mnie jakieś objawienie, które każde zapisywane przeze mnie zdania momentalnie zmieni w tekst przeszywający na wylot duszę czytelnika. Znałem zasady wyłożone przez Stephena Kinga – dużo czytać i dużo pisać – i mocno się ich trzymałem. Pochłaniałem co najmniej jedną powieść tygodniowo i starałem się chodzić na większość organizowanych w Krakowie wieczorów autorskich. Właśnie w takich okolicznościach spotkałem Kordowę. Był jednym z kilku młodych twórców, którzy prezentowali swoje teksty w Wysokim Zamku. Już na samym początku moją uwagę zwróciła jego nieprzystawalność do... czegokolwiek. Czytał jako ostatni i od chwili jego wejścia na scenę miałem wrażenie, że coś jest głęboko nie tak. Nie chodziło tylko o to, że był wyższy i bardziej masywny niż osoby, które występowały wcześniej. Ani o to, że cholernie dziwnie się poruszał, trochę jak marionetka, której ktoś poplątał sznurki. Poprzedzający go autorzy i autorki albo radośnie wykrzykiwali „jajcarską” prozę, pełną kurew, chujów i jebania, albo szeptali natchnione wiersze, po każdym wyjęczanym wersie robiąc znaczące pauzy, mające pewnie coś zaakcentować, lecz dla słuchaczy będące tylko kolejną okazją, by łyknąć browar bądź sprawdzić, czy nie dostali superważnego esemesa. Niektórym towarzyszyła jakaś muzyka przygrywająca w tle, zazwyczaj zwykłe brzdąkanie na gitarze albo prosty, zapętłony bit. Żaden ze słuchaczy nie oczekiwał zresztą innych wrażeń, w końcu wszyscy oni wybrali się do knajpy w określonym celu,

literatura miała być tylko niekoniecznym dodatkiem. Problem w tym, że to, co przeczytał Dawid Kordowa, nie było ani jajcarskie, ani natchnione. Było zwyczajnie popierdolone. Jako podkład kazał puścić coś z przyniesionej przez siebie płyty. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy miała to być jakaś odmiana muzyki industrialnej, czy zmasowany atak infradźwiękami, w każdym razie widać było, że wszyscy w lokalu od razu poczuli się w najlepszym razie niemrawo. Do tych pulsujących dźwięków, brzmiących ni to jak bicie napompowanego adrenalina serca, ni to jak hipnotyzujący kaszel jakichś umierających maszyn, autor przeczytał przedziwną miniaturę. Opowiadała o pracowniku bliżej niezidentyfikowanej literackiej korporacji, który każdego dnia zjeżdżał windą kilkadziesiąt pięter pod ziemię, a potem, siedząc szesnaście godzin w ciasnym pokoju bez okien, musiał pisać nowy tekst, korzystając wyłącznie z tych słów, których użył w tekście napisanym dzień wcześniej. Inaczej rzecz ujmując – od długich lat ten przeraźliwie smutny, nieszczęśliwy człowiek musiał nieustannie pisać ten sam tekst, mogąc jedynie przedstawiać poszczególne słowa niczym elementy układanki. Nie było wiadomo, czemu to robi i czy dostaje za tę bezowocną pracę jakiegokolwiek wynagrodzenie, ale pod koniec okazało się, że to, co słyszymy, jest właśnie jedną z wariacji pierwotnego tekstu. Dokładnie tysiąc siedemset czternastą.

Gdy Dawid skończył czytać i wyłączono muzykę, na sali zrobiło się niewiarygodnie cicho. Przez moment miałem wrażenie, że słyszę całe swoje ciało: bicie własnego serca, szum krwi, jęk płuc, elektryczne wyładowania synaps mózgowych. Potem ktoś w kącie zaśmiał się nerwowo i zabrzmiały niepewne brawa. Wydawało mi się, że wszyscy odetchnęli, że to już koniec i można wreszcie wrócić do picia i gadania o niczym, bo dłużej by się tego nie dało wytrzymać. Pisarz zszedł ze sceny i usiadł samotnie przy jedynym pustym stoliku. Wyglądał na bardzo zmęczonego, wręcz wyczerpanego, jakby te niecałe dziesięć minut na scenie było kilkudniową przeprawą przez dżunglę. Szybko wypił piwo i ruszył do wyjścia, a ja postanowiłem pójść za nim. Pragnąłem chyba dowiedzieć się czegoś więcej o metodzie, która pozwalała mu tworzyć takie dziwactwa jak to zaprezentowane przed momentem. Nie chciałem oczywiście wyjść na idiotę, zadając pytanie będące tylko wariacją najbardziej wkurwiającego zdania w dziejach: skąd bierzesz pomysły? Nie chciałem też wyjść na nachalnego pedała, z podejrzaną ekscytacją zaczepiając gościa, który właśnie opuszczał lokal. Próbowałem zaprezentować mu się jako ktoś wyjątkowo fajny, wyrzucić świetne wrażenie, i wtedy jedynym racjonalnym rozwiązaniem wydało mi się zaproponowanie mu blanta, którego zwinąłem w

domu, by być przygotowanym, kiedy nadejdzie moment, gdy już naprawdę, ale to naprawdę trzeba będzie zapalić. Ten moment właśnie nadszedł.

Parę minut później paliliśmy, siedząc na Plantach, a Dawid tłumaczył mi, dlaczego jego tekst wydawał się w jakiś sposób nieludzki i zbyt ciężki do przetrwania, mimo że nie było w nim żadnych drastycznych opisów.

– To krańcowa wersja. Z zapisanych słów nie można było już ułożyć mocniejszej, bardziej ryjącej baniu wariacji niż tysiąc siedemset czternasta.

Cholernie przestraszyłem się tego, co powiedział. A może to po prostu skun zaczynał we mnie osiadać gęstą, wprawiającą w odrętwienie mgiełką.

Kordowa mówił tak, jakby sam był tym facetem z opowiadania, setki razy przepisującym te same słowa i zdania w kolejnych szalonych kombinacjach. Jakby ta proza była boleśnie szczerą prawdą, a wszystkie te niewiarygodne machinacje naprawdę miały miejsce.

– Więc doprowadziłeś słowa do ostateczności – odparłem, ale dziwnie to zabrzmiało, jakby powiedział to ktoś zupełnie inny, przyczajony w moim ciele od lat, poruszający się podskórnym i cierpliwie czekający na swoją szansę.

– W ramach tego tekstu: tak. Nie dało się zrobić nic więcej. Ale to tylko jedno krótkie opowiadanie. Mała dawka szaleństwa. Faza, która prędzej czy później minie. Niedługo zacznę pracę nad czymś bardziej... trwałym. Chwilowy wgląd w inne światy już mi nie wystarcza. Chciałbym móc w nich zamieszkać. Chciałbym móc przenosić siebie i czytelników między poszczególnymi rzeczywistościami.

Pokiwałem głową, jakbym miał jakiegokolwiek pojęcie, o czym mówi. Czułem jednak, że poruszam się mechanicznie, wykonuję ten gest niezależnie od własnej woli.

– Wszyscy jesteśmy tylko smutnymi maszynami do życia – ciągnął. – A tak zwana „fikcja”, będąca tak naprawdę migawkami z innych światów, stanowi nasze jedyne paliwo; wyłącznie dzięki niej możemy jakoś funkcjonować. Codziennie wymyślamy na nowo nas samych, codziennie wytwarzamy idee, którym dajemy się potem zwodzić, aż wpędzą nas do grobów. Zaakceptowanie prawdy, czyli tego, że jesteśmy nadzy wobec pustki, doprowadziłoby naszą cywilizację do samobójstwa. Każdy więc wierzy w swoje śmieszne ucieczki. Moją widziałeś w Wysokim Zamku.

Rozejrzałem się wokół, zauważając ze strachem, że Planty zaczęły wyglądać wyjątkowo groźnie: pnące się w czarne niebo drzewa kojarzyły mi się ze skamieniałymi wrzaskami, każda goła gałąź była niczym milknące echo potwornego krzyku samej ziemi, wtapiającego się w ciemności gęstniejącej

nocy. Kamienice zdawały się tylko marną fasadą, kryjącą schowane pod maską miasta sieci labiryntów, wielopoziomowe gmatwaniny korytarzy, po których błakają się pozbawione twarzy istoty, sprawujące faktyczną władzę nad nami wszystkimi, na co dzień nieświadomymi ich istnienia. Widziałem to tak wyraźnie: Oblicza pozbawione ludzkich rysów, nienaturalnie długie kończyny o zbyt wielu stawach, pajęczy krok, rytmiczny stukot niosący się pogłosem przez podziemne zakątki. Dziwaczne stworzenia niczym wszystkie dziecięce lęki niestrudzenie wędrujące przez moją podświadomość, od lat czekające na szansę powrotu do realnego świata. Im dłużej o tym myślałem, tym większy ogarniał mnie niepokój. Zamknąłem oczy, oddychając głęboko, żeby opanować napór grozy.

To tylko faza – powtarzałem sobie – świat wcale się nie zmienił. Wystarczy przeczekać, a niedługo wszystko wróci do nudnej normy...

W takim stopniu, w jakim mogłem ogarnąć teorię Kordowy, byłem w stanie się z nią zgodzić. Literatura potrafi mieć ogromny wpływ tak na twórcę, jak i na odbiorców. Naprawdę jest w stanie przenosić nas w inne miejsca, pozwala patrzeć na świat oczami innych ludzi, czy nawet nieludzi. Znałem to jednak wyłącznie z teorii, bo to, co sam pisałem, nikogo donikąd nie przenosiło, a u mnie wywoływało tylko narastającą frustrację.

– Dlatego właśnie postanowiłem wszystko podporządkować pisaniu – kontynuował Kordowa, patrząc w bliżej nieokreślony punkt w przestrzeni, zupełnie jakby mówił do siebie, nie zdając sobie sprawy, że nadal siedzę obok. – Wsłuchać się w to, co zostaje powiedziane i zarejestrować jak najwięcej.

– Zarejestrować? – zdziwiłem się, nagle znacznie bardziej trzeźwy niż jeszcze przed chwilą.

– Przekaz płynie z zewnątrz – odparł i poczułem się tak, jakbym sam lada chwila miał usłyszeć niezrozumiałą, obcą pieśń równoległych wszechświatów.

Tak się jednak nie stało. Dwa lata później ostatecznie zarzuciłem pisanie prozy, decydując się na coś, co przynosiło pewniejszy pieniądz i nie wymagało wsłuchiwania się w niemożliwe do nazwania głosy. Nadal jednak spotykałem się z Kordową przy piwie czy paleniu. Nie wiedziałem, gdzie mieszka, początkowo nie miałem nawet jego numeru, ale wiedziałem, że gdzieś tam będzie, czytając swoje teksty, wystarczyło tylko sprawdzić weekendowy rozkład kulturalny. Nie stał się literacką gwiazdą, określiłbym go raczej mianem lokalnej legendy, w knajpianych opowieściach studentów wywołującej bardziej strach i niedowierzanie niż podziw. Gdy słuchało się o nim i o jego wyczynach, trudno było uwierzyć, że nie jest wymysłem, mitem. Historia Dawida Kordowy

rozgałęziała się bowiem w głowach ludzi, którzy chcieli coś do niej dodać, i tak oto pisarz stawał się nagle niedoszłym samobójcą, który cudem przeżył upadek z dziesiątego piętra niesławnego Szkieletora albo ćpunem, łkającym dziesięć tabletek rohypnolu, by w ogóle móc zmrużyć oko, albo nawet seryjnym zabójcą, akolitą Karola Kota, na którym wymiar sprawiedliwości dotąd się nie poznał. Znając go osobiście, z trudem znosiłem te wszystkie brednie. Nie interesowało mnie, jakie zdanie mają o nim inni, byłem za to niezmiernie spragniony informacji z pierwszej ręki: jego kolejnych odkryć na krętej ścieżce wyprawy w szaleństwo. A poznawanie jego tekstów działało na mnie lepiej od jakiegokolwiek narkotyku – prawdopodobnie trochę się od tego uzależniłem. Może też po cichu liczyłem, że te opowieści natchną mnie jeszcze kiedyś do stworzenia czegoś wielkiego albo przynajmniej bardziej istotnego niż rzemieślnicze pisanie o bieżących bzdurach: wykolejonych tramwajach czy wykolejonych ludzkich losach.

Mówił zawsze jak ktoś dzwoniący do mnie z krain, gdzie dotąd nie stanęła ludzka stopa. Niekiedy starałem się z nim dyskutować o nieco bardziej przyziemnych sprawach, w żartach bądź na poważnie, ale on nie chciał dobrowolnie wchodzić na ten teren, nigdy nie mówił właściwie nic na swój temat. Czasami wprawdzie podejmował opowieści o sobie jako o zwykłym, żyjącym na tej planecie mężczyźnie, tylko że słuchając tego czułem, jakbym poruszał się po wyjątkowo grząskim gruncie. Niekiedy zmieniał szczegóły, a nawet całkowicie podważał sens tego, o czym opowiadał ledwie kilka tygodni wcześniej. Raz mieszkał na Mazowieckiej, wynajmując całkiem przytulne lokum w zbudowanej tuż przed wojną kamienicy, potem nagle lądował na Bielanach, w lodowatej przybudówce, tylko koniecznością opłacania czynszu różniącej się od zwykłego pustostanu. Raz miał dziewczynę, narzeczoną czy nawet żonę, Paulinę, blondwłosą studentkę kulturoznawstwa, którą kochał ponoć bardziej niż samego siebie, ale już przy następnym spotkaniu potrafił rzucić, że nigdy z nikim nie był, bo w głębi duszy od dawna jest martwy. Czasami twierdził, że studiuje, czasami, że pracuje, problem w tym, że za każdym razem podawał inne kierunki studiów, inne miejsca pracy, a nawet branże, w jakich rzekomo działał. Brałem te opowieści w nawias, traktując jako część jego sposobu bycia i ze spokojem przyjmując fakt, że mój tajemniczy przyjaciel jest mitomanem. Fascynował mnie i w jakiś sposób czułem się wyróżniony, że ktoś taki chce się zadawać z tak nudnym, nijakim typem, jakim wówczas byłem. Jemu natomiast znajomość ze mną zdawała się przynosić trudną dla mnie do zrozumienia korzyść – jakby była wentylem dla

pęczniejącego w nim szaleństwa.

Bąłem się dzisiejszego spotkania. Bąłem się, bo odkąd zniknął, czułem – nie licząc wydarzeń ostatnich tygodni – jakbym z powrotem zaczął podlegać grawitacji: wszystkie rzeczy i pojęcia opadły prosto na swoje miejsca zamiast dryfować w ciemnym wirze Dawidowych koncepcji. Być może tak właśnie było, skoro teraz znów odnosilem wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg, a mnie w jakiś perwersyjny sposób zaczyna się to podobać. Tamta kawiarnia, w której Natalia obesła się ze mną w tak okrutny sposób, to tam wszystko się zaczęło. Już wtedy powinienem był zgadnąć, co tak naprawdę się stało. A wydarzyły się aż trzy rzeczy naraz: straciłem ukochaną, zwariowałem, a do mojego miasta wrócił Kordowa, żeby znów siać zamęt.

Witaj, świecie

Zapakowałam do teczki fragmenty powieści ojca i powoli ruszyłam w stronę wyjścia, depcząc przy okazji trójwymiarową mapę Krakowa niczym nastawiona pokojowo Godzilla. To zabawne, że ojciec wciąż wierzył w papier, chociaż według najświeższych danych tylko dwa procent publikacji ukazywało się drukiem. Jakby się tak nad tym zastanowić, samo pisanie prozy też było swego rodzaju fanaberią, skoro w naszym kraju do czytania jakichkolwiek fabuł według ostatnich badań statystycznych przyznawało się ledwie siedemnaście procent polskojęzycznego społeczeństwa. Bardziej popularne były nawet archaiczne flaszowe animacje i holograficzne wlepki. Z drugiej strony ojciec był tak mocno oderwany od rzeczywistości, że pewnie nawet nie znał statystyk albo się nimi nie przejmował. Z jakiegoś powodu musiał pisać, jakby od tego zależało wszystko.

Stałam przed drzwiami. Odnosiłam wrażenie, jakbym po opuszczeniu mieszkania nie mogła już nigdy wrócić do tego, co było wcześniej.

Westchnęłam, a okna interfejsu przed moimi oczami zawirowały jak płatki śniegu, które mogłam oglądać tylko zza szyby.

Kiedy przekroczyłam próg, a potem zamknęłam za sobą drzwi, było zupełnie tak, jakbym robiła to po raz pierwszy. Poruszałam się bardzo niepewnie. Trzęsły mi się nogi i ręce, na przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Przekreśliłam klucz w zamku i, opierając się dłonią o ścianę po prawej, zrobiłam kilka chwiejnych kroków. Tak nie chodzą trzeźwi ludzie dorośli, pomyślałam, tak próbują utrzymać pion niemowlaki – mali, zabawni astronauty, dla których planeta Ziemia jest obcym światem, a wyroki sił grawitacji wciąż pozostają niezbadane. Chciało mi się jednocześnie śmiać i płakać. Ale potem zdołałam oderwać się od ściany i za załomem korytarza szłam już prawie normalnie, choć wyjątkowo powoli. Zniknęła ochronna bańka znajomych czterech kątów, to była już prawdziwa wyprawa prosto w wielką niewiadomą. Nieduża szara strzałka aplikacji Do Celu ślizgała się po podłodze, pokazując, gdzie mam iść, żeby dotrzeć do LNAM-u. Czasami przekształcała się w małego, radosnego szczeniaczka, który starał się mnie zachęcić, bym za nim szła, merdając ogonem i ciekawsko obracając trójwymiarowy łebek w moją stronę.

W prawym górnym rogu mojego pola widzenia unosiło się okienko z estymowanym czasem podróży do miejsca docelowego. Gdybym przez cały czas szła tak powoli jak teraz, dotarcie do LNAM-u zajęłoby mi dwie godziny. Widząc ten wskaźnik, trochę przyspieszyłam. Licznik od razu przeskoczył na godzinę i trzydzieści minut.



Zjeżdżając windą na parter, miałam chwilę na spokojne sprawdzenie paru rzeczy w Immersjonecie. Najpierw starałam się odnaleźć awatara bądź profil Adama Remieckiego, jednak gdy to nie przyniosło rezultatów, kazałam wyszukiwarce dostarczyć mi informacji na temat wspomianej na blogu ojca terapii słownej Stevena Halla. Niechcący wymówiłam chyba słowo „terapia” głośniej niż pozostałe, bo zanim otrzymałam wynik wyszukiwania, ze szklanego sufitu windy posypały się na mnie wirtualne wizytówki pracujących na terenie tego kompleksu mieszkalnego terapeutów. Przewróciłam oczami i westchnęłam teatralnie, więc po chwili wizytówki wyparowały. Na przeciwległą ścianę spłynęła lista najcelniejszych trafień. Zerknęłam na pierwsze od góry i od razu zwizualizował mi się krótki biogram Stevena Halla, urodzonego w 1975 roku w angielskim Derbyshire twórcy eksperymentalnej terapii słownej. Obok kołysała się wysokorozdzielczościowa holografia sympatycznej, uśmiechniętej twarzy mężczyzny.

Powiedziałam na głos: „więcej o samej terapii” i sekundę później dostałam, o co prosiłam.

Terapia Halla oparta została na najnowszych ustaleniach neuropsychologii i neuropsychiatrii, zgodnie z którymi kluczową rolę w kształtowaniu się fobii odgrywa język. Lęk przed określona sytuacją, zdarzeniem czy przedmiotem związany jest bezpośrednio z zestawem pojęć, jakie pojawiają się w umyśle danej osoby przy osobistym zetknięciu z sytuacją, zdarzeniem lub przedmiotem, wyzwalającymi atak paniki. Steven Hall odkrył podczas badań, że najskuteczniejsza w neutralizowaniu fobii jest terapia oparta na zasadach wygaszenia reakcji przez stopniowe zanurzanie (w oryginale: *slow immersion*), czyli bezpieczne doprowadzanie pacjenta do kontaktu z pojęciami-

wyzwalaczami, które w danym przypadku wywołują panikę. Terapia może być prowadzona zarówno w formie ustnej, jak też pisemnej. Jej największą zaletą jest to, że terapeutą może w tym przypadku być właściwie każda osoba niecierpiąca na daną odmianę fobii. Najważniejszą rzeczą, konieczną do zastosowania na samym początku terapii, jest odwrócenie uwagi leczonej osoby od sedna problemu, w taki sposób, by nie wiedziała, że w ogóle bierze udział w leczeniu. Zadaniem pacjenta jest przeczytanie bądź wysłuchanie wymyślonej albo opartej na faktach historii, w trakcie której zostanie on wystawiony na próbę strachu przez tak zwane słowa klucze, będące zwerbalizowanym bądź zapisanym odpowiednikiem pojęć-wyzwalaczy. Ten sposób komunikacji z pacjentem wytwarza głęboką więź psychiczną między nim a terapeutą, przez co istnieje wyjątkowo wysokie ryzyko przeniesienia. Podczas opracowywania tekstu zawierającego słowa klucze autor musi zachowywać szczególną ostrożność, bowiem w jego mózgu zachodzą dokładnie te same procesy, jakie ujawniają się w mózgu chorego w trakcie ataku paniki. W niektórych, skrajnych przypadkach – według statystyk Halla zakończyło się tak szesnaście na dwieście czternaście przeprowadzonych na terenie Wielkiej Brytanii terapii słownych – terapia doprowadzała do całkowitej zamiany ról między terapeutą a pacjentem, przez co fobia wyleczona u jednej osoby automatycznie przechodziła na tę drugą.

Winda zatrzymała się. Odruchowo zacisnęłam dłoń na zimnej, metalowej poręczy. Drzwi się rozsunęły, świat na moment oślepił mnie światłem. Nie wysiadłam od razu, próbując przyzwyczać oczy do widoków, którymi nie karmiłam ich od długich miesięcy. To wszystko wydawało się takie dziwne, takie ryzykowne, nie miałam jednak ochoty zawracać i znów zamykać się w sobie. Musiałam doprowadzić to całe dochodzenie do szczęśliwego finału. Przypominałam sobie ostatnie perypetie Remieckiego, treść opowiadania, którego wysłuchałam na spotkaniu z młodymi twórcami. W którym miejscu ojciec ukrył dla mnie wskazówkę? Odwróciłam wzrok od ściany i okno informacji samoczynnie spłynęło na podłogę, a potem całkiem zniknęło. Rozglądałam się po wnętrzu windy, starając się znaleźć jakikolwiek trop. Niczego nie było. Zrezygnowana, spojrzałam jeszcze na sufit. W kącie jednego z czterech wielkich, podświetlanych kwadratów dostrzegłam ciemną wlepkę. Nie był to żaden cud grafiki, zwykły prostokąt z nadrukowanym kodem odsyłającym, wydrukowany na domowym sprzęcie. Z menu oculusa wybrałam opcję odczytującą kody i już po chwili wlepka odesłała mnie do zabezpieczonej hasłem chmurki. Żądanie brzmiało: „imię/nazwisko”. Głosowo podałam:

Magdalena Kordowa, ale mnie odrzuciło. To samo działo się po wypowiedzeniu słów „Dawid Kordowa”. Zaczęłam już podejrzewać, że to wcale nie jest chmurka z zawartością dla mnie, tylko niespodzianka dla kogoś zupełnie innego. Zresztą skąd niby ojciec miałby się znać na technologiach Immersjonetu, skoro sam pracował na zupełnie archaicznym oprogramowaniu? Czyżby śledził sieciowe trendy, nigdy mi o tym nie wspominając? W ostatniej próbie podałam nazwisko Adam Remiecki. Spinająca chmurkę kłódka z łańcuchem pękła, a spomiędzy białych kłębów wypadł plik kartek, symbolizujący tekst skonwertowany ze starej wersji edytora do formatu obowiązującego w trybach przestrzennych. Na pierwszej stronie były cyfry: 8/9. Dwa kolejne brakujące elementy.

Wyszłam na przeszklony korytarz, od razu kierując się na lewo, zgodnie ze wskazaniem Do Celu. Program naprowadził mnie na ruchomy chodnik, którym miałam dojechać prosto do wyjścia na przystanek.

„Twój autobus (numer 144) przyjedzie za 8 minut. Kolejny za 18”, poinformowała aplikacja w czerwonym okienku, wokół którego wirował rój jaskrawożółtych wykrzykników.

Z przeciwnej strony nadjeżdżało dwóch nastolatków, ubranych jak klasyczni e-skejci. Sądziłam, że ta subkultura wyginęła z pięć lat temu, widocznie byłam w błędzie. Trzymali pod pachami holodeki do gry Tony Hawk MMO. Na oczach tanie i krzykliwe glassy trzeciej generacji, jakie kupowało się dzieciakom na komunię w 2017, jeśli kogoś nie było stać na pierwsze lensy albo holotaby. Ten wyższy, blondyn, nachylił się nad kolegą i powiedział do niego:

– Weź, ka, stestuj to mięso.

Powiedział to na tyle głośno, że wszystko usłyszałam. Przekleństwo zastąpił zwyczajowym „ka”, bojąc się pewnie, że umieszczone nad ruchomymi chodnikami słoworadary wydrukują mu mandat. Przeklinanie w miejscu publicznym kosztowało od dwudziestu do pięćdziesięciu kredytów – albo dwa razy więcej, jeśli zostało wypowiedziane w kontekście religijnym bądź politycznym. Żałowałam teraz, że na naszym kompleksie nie zamontowano jeszcze hejtdetektorów, które rozpoznawały całe jadowite sekwencje i kazały płacić agresorom kilkukrotnie więcej.

Spuściłam wzrok, udając, że nie zwracam na nich uwagi. Wiedziałam, że gapią się na mnie. Zjadają spojrzeniami kawałek po kawałku. Pochłaniają.

– Uuu, niezła porcyjka, byłby okaz na gangbang – odpowiedział ten drugi, celowo podnosząc głos.

Zanim się minęliśmy, próbowali do mnie uderzać przez kanały social, ale na

szczęście wyłączyłam je jeszcze w mieszkaniu, a przed pozaspołecznościowymi zaczepkami chroniło mnie szczelne otagowanie.

– No pa jak ta sunia twardo shielduje – rzucił ten wyższy, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że za słowa „sunia” i „suczka” nie ma już żadnych mandatów, ze względu na ubiegłoroczne protesty właścicieli samic psów. Wyszczrzył się głupio, a potem szybko cyknął mi zdjęcie, wypowiadając komendę „insta portret”. Specjalnie skorzystał z interfejsu głosowego, a nie z przycisku glassów czy okna Instagramu. Chciał, żebym to słyszała. Żebym poczuła się poniżona i zeszmacona.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, przypomniałam sobie o istnieniu komendy, z której nie korzystałam od dobrych kilku miesięcy. Ostatni raz musiałam jej użyć, gdy ojciec w środku nocy zaczął histerycznie wykrzykiwać zdania, których potwornie się bałam.

Podnosząc wzrok i patrząc im prosto w przeszkłone oczy, powiedziałam głośno:

– Muzownik na full.

W słuchawkach momentalnie zaczął rozbrzmiewać przeszywający bit jakiegoś nowego hitu, wylosowanego przez wskazaną głosowo aplikację.

Oni jechali dalej w swoją stronę, ja w swoją, ale wiedziałam, że mogą zaliczyć sporo lolów na socialu, jeśli gapili się na mnie przy aktywnej wtyczce. Glassy bez przerwy i bez większych lagów streamują w sieć obraz i dźwięk, w przeciwieństwie do używanych przeze mnie szkieł. Zagięłam ich i to nie zniknie tak szybko z chmur, pamięci czy dysków. Będzie z nich masa śmiechu. I wstydu. Mogli ze mną nie zaczynać.

Przepełniona nagłą dumą, zmierzałam w stronę przystanku, gdzie za dokładnie pięć minut miał podjechać mój autobus.

Wysłuchana w tłusty bit zapodawany przez Muzownik kazałam programowi stworzyć losową playlistę utworów alternatywy i indie, wskazując głosowo kilka kapel, które lubiłam w moich czasach studenckich i licealnych: The Antlers, Bon Iver, Grizzly Bear i Mount Eerie. Byłam pewna, że teraz – po raz pierwszy od bardzo dawna – mogę takiej muzyki posłuchać, nie ryzykując ataku paniki, nawet mimo faktu, że nie chronił mnie specjalistyczny – i drogi – filtr głębokich treści.

Idąc nieśpiesznie przed siebie, zastanawiałam się, czy i w jaki sposób ojciec wykorzystał terapię słowną Halla w swoim nowym tekście. Czytając jego powieść, poczułam się przecież znacznie lepiej, moja fobia niemal zupełnie zniknęła...

I nagle zaczęłam myśleć o skutkach ubocznych terapii. O tym, że terapeuta może nawet „zarazić się” strachem od leczonego. Co by było, gdyby ktoś, kto przez całe lata myślał tylko o najczarniejszych głębiach ludzkiej egzystencji, zapadł na batofobię? Jak miałby dalej funkcjonować, nie mogąc wypowiedzieć... nie mogąc pomyśleć nawet słowa?

Fragment 8: Spotkanie po latach

Dawid Kordowa wrócił i wszystko nagle przestało się układać.

Oczywiście bezsensownie byłoby obwiniać go o to, co mi się przytrafiło. Mimo najszczerzej chęci kontrolowania rzeczywistości za pośrednictwem własnych tekstów, mój przyjaciel na szczęście nie osiągnął jeszcze swojego celu. Całe życie uciekał od własnego człowieczeństwa, snując tysiące niewiarygodnych historii, a teraz ja miałem się z nim spotkać w miejscu zamieszkiwanym przez tych, którzy znaleźli się na samym dnie.

Gdy dotarłem pod szarą bryłę budynku Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, było już ciemno. Mimo że tuż przy wejściu paliła się latarnia, ściany ośrodka wyglądały tak, jakby żadne światło nie było w stanie rozproszyć mroku, który zaległ się pod tynkiem niczym gęsta sieć zmarszczek. Choć wiele wskazywało na to, że budynek niedawno odnowiono, biła od niego specyficzna aura starości, rozkładu i przygnębienia. Według moich informacji mieściła się tu instytucja działająca całodobowo, przeznaczona dla najgłębiej zaburzonych bezdomnych mężczyzn. Ośrodek kobiecy znajdował się trzy przystanki dalej, nie sądzę jednak, by wyglądem różnił się od tego tutaj. Miejsca, w których mieszkają ludzie pozbawieni nadziei, są zawsze takie same.

Trudno ukryć, że aktualna bezdomność Kordowy dała mi do myślenia, chociaż pod pewnymi względami była tylko wypełnieniem jego licznych wcześniejszych „proroctw”. „Ta planeta nie jest moim domem. Ja wcale stąd nie pochodzę – powtarzał często, później dodając, że zazwyczaj identyfikuje się z tymi, którzy z jakichś powodów odkleili się od społeczeństwa. – Spłynął ze mnie cały świat. Nie jestem już w stanie utożsamiać się z nikim prócz tych, którzy nie są w stanie się z nikim utożsamiać”.

Wtedy chodziło mu jednak o bezdomność teoretyczną, duchową czy nawet metafizyczną, a nie faktyczny brak jakiegokolwiek domu i codzienną, zwierzęcą walkę o przetrwanie na ulicy. Każda opowieść bywa bezpieczną zabawą, dopóki nie staniesz się jej bohaterem, szczególnie kiedy narratorem będzie ktoś, komu twój los jest obojętny. Co takiego się wydarzyło przez te dwa lata, gdy nie mieliśmy ze sobą kontaktu, że Dawid wylądował właśnie tu, w tym przybytku krańcowej nędzy i rozpacz?

Odetchnąłem głęboko, a potem przez wielkie i ciężkie drewniane drzwi wszedłem do środka, próbując przygotować się mentalnie do tego spotkania. Musiałem pamiętać, że przywiodły mnie tu obowiązki zawodowe, określone zadanie do wykonania, nic ponadto. Nie mogę dać się Dawidowi zapędzić do narożnika, nie mogę ulec żadnej z jego teorii. Bez Natalii nie miałem już zbyt mocnego zakotwiczenia w otaczającym mnie świecie. Teraz nie odrywałem się od powierzchni ziemi wyłącznie dzięki mocnym lekom. Jeśli one przestaną działać, Kordowa wykorzysta pierwszą nadarzającą się okazję, by niczym czarne tornado porwać mnie w nieznane. W końcu nigdy niczego innego nie potrafił...

Za drzwiami znajdował się długi na jakieś pięć metrów korytarz, prowadzący ku kolejnym drzwiom, tym razem białym i plastikowym. Część ściany po prawej stronie była przeszklona – za szybą znajdowała się stróżówka. Przez szkło zobaczyłem nieogolonego mężczyznę o smutnym spojrzeniu, który niespiesznie podniósł wzrok znad gazety. Na jej okładce dostrzegłem krzykliwy, wydrukowany na czerwono nagłówek: *Kres komunikacji?!*, a niżej zdjęcie dziecka w pizamie, siedzącego po turecku na podłodze – pewnie było ono jednym z milczących albo tak się tylko wydawało jakiemuś szukającemu sensacji dziennikarzynie. Czyli polskie media już zwęszyły temat – pięknie.

– Chciałem się zobaczyć z Dawidem Kordową – wyjaśniłem mężczyźnie.

Westchnął, a potem wstał, żeby otworzyć mi drzwi.

Gdy przeszedłem przez próg, burknął:

– Proszeszamną. – I poprowadził mnie kolejnym korytarzem.

– Dokąd idziemy? – spytałem po kilku krokach, nagle zdjęty nieco kafkowskim niepokojem.

– Naświetlicę.

Każda jego wypowiedź brzmiała, jakby składała się tylko z jednego, szybko wyplutego wyrazu.

Nie było powodu, żeby mu nie wierzyć. Szedłem więc spokojnie dalej, skupiony na zgarbionej sylwetce mężczyzny, który poruszał się powoli i z niespotykaną ostrożnością – trochę tak, jakby dopiero niedawno przyszyto mu kończyny do korpusu i bał się, że przy pierwszym gwałtownym ruchu mogą poodpadać. Od razu przed oczami wyobraźni stanął mi Dawid i to, jak wyglądał podczas tego wieczoru w Wysokim Zamku. Wchodził na scenę w zwolnionym tempie, niczym wielka okaleczona marionetka, w drżącej ręce trzymając plik kartek z enigmatycznym opowiadaniem, oznaczonym numerem tysiąc siedemset czternaście. Aż chciało się podnieść głowę i poszukać wzrokiem niewidzialnych

sznurków, a następnie tego, kto za nie pociąga.

W końcu mężczyzna wprowadził mnie do dość rozległej sali, gdzie przed zawieszonym pod sufitem telewizorem stało kilkanaście krzeseł – jednak tylko dwa były zajęte. Popatrzyłem gdzieś w bok i do osoby, której zza progu nie byłem w stanie zobaczyć, rzucił:

– Paniedawidziektosdopana.

Wszedłem do środka, a wtedy stróż opuścił świetlicę, zamykając za sobą drzwi. Spojrzałem tam, gdzie przed momentem patrzył on, i ujrzałem siedzącego w kącie siwego mężczyznę, który gapił się w podłogę, wyglądając jak ktoś, kto właśnie wrócił z terapii elektrowstrząsowej.

To wcale nie był Dawid Kordowa, a jakiś zupełnie obcy facet.

Podniósł wzrok i przeszył mnie bystrym spojrzeniem. Wyczuł chyba, że coś jest nie tak. Domyślił się, że chcę stąd wyjść, tłumacząc stróżowi, że zaszło jakieś koszmarnie nieporozumienie.

Wskazał głową na jedno z krzeseł, a potem powiedział:

– Siadaj, Adam, wszystko ci wyjaśnię.

Część III

Poświęcenie

*Byłem słaby z fizyki, z dziur w czasoprzestrzeni,
nie wiedziałem, że można wbrew prawom ciężenia
wstać z łóżka bez słowa i odfrunąć z ziemi.*

Tomasz Różycki, *Pieśń dwudziesta (Entomologia)*
Świat i Antyświat, Wydawnictwo Lampa i Iskra Boża

Coraz bliżej

Wysiadłam z autobusu, a strzałka Do Celu ześlizgnęła się na chodnik i znów przybrała postać pieska, który zaczął dreptać kilka kroków przede mną, radośnie merdając ogonkiem. Okno Estymo wskazywało, że już za 26 minut będę na miejscu.

Centrum miasta wyglądało zupełnie inaczej, niż je zapamiętałam. Kiedy zresztą byłam tu ostatnio? Pamiętałam drony z prezentami, od których w Wigilię pociemniało niebo. Hałas bezpośrednich reklam werbalnych, będących hitem tamtego sezonu. Oczy przechodniów, ukryte za kolejną generacją glassów. Minęło już tyle lat, których nigdy nie odzyskam... Gęstą smogową mgłą rozpraszały tylko światła neonów i jaskrawo podświetlone płyty chodnikowe, które wcześniej zapalano wyłącznie po zachodzie słońca. Wzrok nie sięgał dalej niż na dwadzieścia – trzydzieści metrów. Immersjonet całkiem rozsądnie radził mi wejście w tryb stuprocentowej immersji i skorzystanie z nakładki Ultraview, która zastępuje rzeczywistość i jest jej precyzyjnym wirtualnym odwzorowaniem, tyle że niezależnym od warunków atmosferycznych i wszechobecnego smogu. Zignorowałam jednak tę propozycję. Skoro po raz pierwszy od tylu miesięcy wreszcie wyszłam poza cztery ściany, chciałam widzieć świat takim, jakim jest naprawdę. Nawet jeśli czułam się w nim zagubiona.

Idąc Krupniczą, minęłam ledwo trzymającą się na fundamentach kamienicę, którą pamiętałam jeszcze z czasów studenckich. Byłam wtedy na drugim roku i wciąż ze wszystkich sił starałam się słuchać muzyki, której nikt inny nie zna i oglądać głównie filmy pochodzące z krajów, o których istnieniu mało kto w moim wieku w ogóle wiedział. Wtedy właśnie, podczas niezobowiązującej rozmowy o pieniądzach, a raczej ich ciągłym braku, jedna z koleżanek wyznała mi, że czasami dorabia tu sobie w weekendy, w tej konkretnej kamienicy na Krupniczej. Okazało się, że w środku było jedno z cieszących się nie najlepszą opinią centrów śpiączkowców. Osoby nieradzące sobie finansowo, często niemające nawet własnego mieszkania, mieszkadła czy noclegowej kapsuły w akademiku, mogły tutaj pracować całodobowo w tak zwanych immersjokabinach, potocznie zwanych trumnami. Osoba leżąca w trumnie

ustawiała sobie czas, na jaki miała zostać uśpiona, jednocześnie wchodząc do sieci w trybie pełnej immersji. Mimo śpiączki mózg zachowywał wszystkie funkcje konieczne do wykonywania nieskomplikowanych prac, takich na przykład jak opieka nad awatarami, ich domami i tak dalej. Koleżanka mówiła, że połowę trumien zajmowali zwyczajni, niezakontraktowani jeszcze przez żadne korpo marginesy, starający się zarobić na dradzy bądź alko. Jednak zawsze w kabinach tkwiło też kilkoro niemających przy sobie nawet złamanego kredytu studentów.

Ona sama zazwyczaj kładła się na weekendy, dorabiając sobie w świecie erotycznej gry „Śpiąca Królowna” – to była w końcu jedna z najlepiej płatnych ofert. Przez trzydzieści, czasem czterdzieści godzin śpiączki jej awatar obsługiwał przeróżne seksualne imprezy bądź indywidualne spotkania z pojedynczymi klientami albo parami. Mówiła mi, że po obudzeniu właściwie niewiele pamiętała, tyle że od leżenia na plecach strasznie bolała ją kręgosłup. Niekiedy śniły jej się odgrywane wcześniej scenki, twierdziła jednak, że to nie jest aż taki problem, zresztą w Immersjonecie działa kilka wtyczek wymazujących niechciane wspomnienia – problem w tym, że trzeba za taką usługę sporo płacić. Nie krytykowałam jej, bo wiedziałam, że wirtualny seks za pieniądze nie ma nic wspólnego z prawdziwą prostytutką. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że wielu przedstawicieli naszych tak zwanych elit korzystało z ekskluzywnego programu „Śpiąca Królowna w Realu”, gdzie rzeczywiście można było wykorzystywać seksualnie ciała ludzi pogrążonych w śpiączce, a nie tylko dobierać się do ich awatarów. Z dwojga złego koleżanka wybrała bezpieczniejszą i znacznie bardziej przyzwoitą opcję.

Czy za tymi murami nadal znajdowało się tamto centrum, czy czarne żaluzje wciąż kryły przez oczami przechodniów rzędy trumien, w których leżały uśpione ciała ludzi zaciekle walczących o zdobycie choćby kilkudziesięciu kredytów? Co z innymi budynkami na tej i pozostałych ulicach doszczętnie zasnutego smogiem Krakowa? Ile szemranych przedsiębiorstw miało tam swoje siedziby? Ilu pracowników – podłączonych do kroplówek, nieustannie sączących w ich żyły pobudzające mieszanki, z głowami wetkniętymi w najtańsze, ciężkie immersjo-kaski z Chin, z pieluchami na tyłkach – tkwiło teraz w boksach o powierzchni metra kwadratowego, wciąż goniąc uciekającą im „karierę”? Przez tyle lat byłam tak pochłonięta wyłącznie problemami ojca i swoimi własnymi, że przestałam myśleć o świecie. Co się w właściwie stało z tamtą koleżanką? Nie pamiętałam nawet, jak miała na imię. Czy skończyła studia i zaczęła się w jakiejś przyzwoitej kancelarii, czy może, uciekając przed

biedą, zapędziła się w rejony, skąd nie ma już odwrotu? Co się stało z resztą znajomych? Z Adrianem, Krzyśkiem, Luizą, Amelią? Czy dalej silą się na niezależność w zbrandingowanym na wskroś świecie, gdzie nawet na powierzchni księżycy wytłoczono nowe, gigantyczne logo Coca-Coli, czy może już zasilili szeregi normalsów, albo – co gorsza – fitów?

Gęsty smog i rozmyte kształty mijanych kamienic sprawiły, że poczułam się, jakbym leżała w trumnie, pochłonięta logiczno-zręcznościową grą w poszukiwanie zaginionego ojca. Jeszcze dwa dni temu sama myśl o tym by mnie sparaliżowała. Teraz mogę myśleć, o czym tylko zechcę i zupełnie nic się nie dzieje. Jestem wolna. Przestałam cierpieć na batofobię. Znow mogę zajmować się tym, na co mam ochotę: może spróbuję skończyć jakieś studia, może zdołam sobie poszukać ciekawej pracy. Wreszcie mogę marzyć o tym bez strachu. Mogę...

Piesek zatrzymał się i przez chwilę gonił własny ogon, by po kilku sekundach zniknąć. Stałam w miejscu, czekając, aż system wznowi działanie zawieszanej aplikacji. W międzyczasie bacznie przyglądałam się mijającym mnie przechodniom. Wbity w pustkę wzrok większości z nich dawał mi pewność, że byli teraz pochłonięci Immersjonetem. Nieliczni, którzy szli ze spuszczoneymi głowami, gapili się w wyświetlacze trzymany w dłoniach smartfonów, holotabów bądź zwyczajnych tableatów.

Zauważyłam śliczną młodą elfkę, jedną z beneficjentek panującej od kilku lat mody na „rzeczywisty cosplay”. Ludzie są teraz gotowi płacić naprawdę grube kredyty, żeby operacyjnie dopasować swój wygląd do wyglądu ulubionej rasy. Ta tutaj miała zieloną satynową suknię w czarne pnącza, szpiczaste uszy i mangowo powiększone oczy, błyszczące jasno od oculusów. Widywałam kiedyś w sieci streamy osób, które, próbując się upodobnić do jakiejś postaci, płaciły nawet za modyfikację kośćca, przez co niekiedy przestawały przypominać ludzi. Nie wspominając już o przypadku córki Kanye Westa i Kim Kardashian – urocza North West zażyczyła sobie biowszczepu anielskich skrzydeł, co już po wstępnym oszacowaniu uznano za najdroższą operację plastyczną w dziejach. Stream z zabiegu przyniósł gigantyczne zyski, lecz i one nie wyrównały wszystkich poniesionych kosztów. North mogła skrzydłami machać, nie mogła jednak wzbić się w powietrze, przez co złośliwi zaczęli nazywać ją czarną kurą bądź pingwinem. Mimo to dla wielu cosplayerów dziewczyna stała się niedoścignionym wzorem... Szczerze mówiąc, na żywo nie widywałam takich dziwadeł właściwie nigdy, ale chyba tylko dlatego, że mój kompleks mieszkalny nigdy nie przyciągał zbyt wielu skrajnych nerdów, a normalsi rzadko silili się na

oryginalność – od rana do nocy niemo wgapieni w cuda sieci, nie mieli już czasu na czynienie własnych.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że gdyby nie zawiesiła mi się Do Celu, nie zobaczyłabym mijającej mnie elfki ani całej reszty. Byłam taka jak oni wszyscy. Nie dostrzegałam świata zza gęstych chmur aplikacji, nakładek i całej reszty cyfrowych ułatwaczy życia. Smog czy nie, moja widoczność była zawsze ograniczona do minimum.

Ledwie o tym pomyślałam, usłyszałam radosne szczeknięcie i łaciaty piesek znów zaczął dreptać przede mną.

Zaczęłam zastanawiać się nad tym, co będę mogła robić teraz, nie cierpiąc już na batofobię. Może odwiedzę dawnych znajomych z Pitchfork House. Porozmawiam z nimi, mówiąc własnym głosem, zamiast pisać przez potężnie oskryptowany komunikator. Będę widzieć ich samych, a nie ich profile czy awatary. O ile oczywiście mi na to pozwolą.

Myśl o tym trochę mnie przytłaczała i napawała strachem, ale wydawał się to dobry, zdrowy strach, nie było w nim nic chorobliwego.

Ruszyłam za pieskiem, który prowadził mnie ku schodom, wiodącym na stację metra. Za dokładnie cztery minuty wsiądę do wagonu, z którego wysiądę niemal pod samym budynkiem Lokalnej Noclegowni Alternatywnie Myślących.

Kto by pomyślał, że dotrę aż tak daleko? Czy jednak ojciec naprawdę tam będzie? Może tylko się ze mną bawi i wydarzenia w książce nie mają żadnego powiązania z tym, co dzieje się w rzeczywistości. Może jest teraz zupełnie gdzie indziej. A może już nie ma go wcale...

Schodząc po schodach, potknęłam się i momentalnie spadł przede mnie świetlisty blok reklamowy.

Niewygodne buty? Tylko się w nich nie zabij!

Kup Nike z podeszwami Pneumatic® i stań pewnie na nogach.

Westchnęłam, reklama rozplynęła się jak smagany wiatrem dym.

Podziemna stacja była idealnym tłem dla setek kolejnych reklam, więc od razu maksymalnie podkręciłam ustawienia Bloкера.

Piesek obrócił łebek i popatrzył na mnie. Puścił do mnie oko, a potem zaczął się turlać po podłodze, pod nogami ludzi, tak jak ja czekających na przyjazd metra.

Fragment 9: Zanim to przyjdzie

Znał mnie, chociaż nie miałem pojęcia, skąd.

Zrobiłem, jak kazał, usiadłem naprzeciwko, ani na sekundę nie odrywając wzroku od siwego mężczyzny.

– Kim jesteś? – spytałem, licząc po cichu, że być może ten facet będzie mi w stanie w miarę logicznie wyjaśnić, co tak naprawdę zaszło i czemu w ogóle tutaj trafiłem, skoro nie po to, by spotkać się z dawnym przyjacielem.

– Nazywam się Dawid Kordowa – odparł. Mimo że zabrzmiało to absurdalnie, wypowiedział te słowa z taką pewnością siebie, jakby stanowiły dla niego jakieś wyznanie wiary.

– Nie, przecież znam Dawida – stwierdziłem, chcąc od razu odciąć się od tego, co próbował mi zasugerować.

Nie robił na mnie wrażenia człowieka chorego psychicznie, ale też nie bez powodu znalazł się w tym zakładzie. Czasami najcięższa paranoja zakrada się do nas zupełnie niepostrzeżenie, przyjmując pozory względnej normalności.

Nagle jedno ze stojących za mną krzesel zaszurało głośno.

– Tupolew! Brzoza! Moskwa! – wrzasnął siedzący gdzieś za moimi plecami mężczyzna. Słyszając to, aż podskoczyłem. Tamten zerwał się z krzesła i, wykonując przed telewizorem przedziwne nerwowe ukłony, wykrzykiwał histerycznie kolejne słowa. – Zabór, zdrada, wojna! Zamach! Kryzys! Wall Street! Matka Boska! Brzoza! Brzózka! Rozpacz!

Zamilkł niespodziewanie, walcząc o każdy oddech.

Popatrzyłem pytająco na mojego rozmówcę, kimkolwiek był, ale on tylko się uśmiechnął i ze spokojem stwierdził:

– Zespół Tourette’a, połączony z zaawansowaną echolalią. Zaraz mu przejdzie.

I jakby na potwierdzenie tych słów mężczyzna ukłonił się telewizorowi po raz ostatni, a potem opadł na oparcie krzesła, znów wbijając wzrok w tańczące na ekranie kształty.

Po chwili ciszy spytałem po raz kolejny:

– No więc kim jesteś?

Wzruszył ramionami, jawnie bezbronny wobec mojego niedowierzania.

– Wcale nie kłamię. Naprawdę jestem Dawidem Kordową.

Jakim cudem ten przygarbiony, siwy mężczyzna, którego twarz stała się po dekadach jedną wielką nieczytelną mapą blizn, bruzd i zmarszczek, może być moim dawnym przyjacielem? Zbieżność nazwisk? Przecież Dawid sam pisał, że znajduje się właśnie w tym ośrodku.

– Tyle że nie tym samym Kordową, którego znałeś...

Westchnąłem, nawet nie próbując ukryć irytacji.

– Nie róbmy sobie żartów, dobrze? – rzuciłem oschle. – Przyszedłem tutaj, żeby spotkać się właśnie z tamtym Kordową, moim przyjacielem, a nie z kimś, kto nosi tylko takie samo imię i nazwisko – dodałem, wierząc się na niewygodnym krześle. – To ważne. On może wiedzieć coś, co bardzo przyda mi się w pracy. Całkiem prawdopodobne, że to nawet uratuje komuś życie.

– Nie znasz jeszcze całej prawdy – odparł ze spokojem. – Nie chodzi przecież tylko o imię i nazwisko. To bardzo długa i bardzo skomplikowana historia. Już od dawna znałem jej zakończenie, wiedziałem więc, że dzisiaj tutaj zawitasz. Dawid opowiadał mi o tobie niejednokrotnie. Podobno byłeś jedyną osobą, która miała dość cierpliwości, by wysłuchiwać wszystkich jego teorii. Bardzo to doceniał, nawet jeśli nigdy ci się do tego nie przyznał. Dzięki temu wiem, że mnie także wysłuchasz. Masz otwarty umysł, nie odrzucasz z góry możliwości zaistnienia zjawisk, które trudno pojąć.

– Nie zaprzeczę, ale nie zawsze bywam wystarczająco cierpliwy – wtrąciłem.

Mężczyzna puścił te słowa mimo uszu.

– Widzisz, wszystko, co się dzieje, dzieje się tak naprawdę wyłącznie z mojej winy: to, że ludzie zaczynają chorować, że twój przyjaciel zniknął, że spotkaliśmy się dzisiaj właśnie w tym, a nie innym miejscu... Miałem ogromny kłopot i nie byłem w stanie sam sobie z nim poradzić. Moja córka – jedyna osoba, którą kocham, jedyna, która poświęciła swoje życie, próbując mnie ocalić, zapadła na wyjątkowo ciężką fobię. Każda głębsza treść, każde zdanie mające większy sens budziło w niej paraliżujący lęk. Mimo że w końcu poznałem sposób na jej wyleczenie, nie potrafiłem dokonać tego samemu. Chodziło o przeprowadzenie eksperymentalnej terapii słownej. Żeby Magda miała jakiegokolwiek szanse wyzdrowienia, musiałbym stworzyć tekst, który byłby w stanie stopniowo oswoić ją z tym, czego najbardziej się boi. Im dłuższy byłby ten tekst, tym lepiej, bo można by było oczekiwać trwalszego efektu terapeutycznego. Ideałem stała się zatem powieść – coś, co zaciekawi moją córkę i jednocześnie nie pozwoli jej przerwać terapii, nim ta nie zacznie

skutkować. Należało więc tylko napisać wciągającą powieść, która zarazem stanie się lekarstwem, będzie zawierała odpowiednio dobrane słowa klucze, które doprowadzą do stopniowego wygaszenia lęków. Niestety, jako że przez niemal całe życie klepałem tylko pozbawione ambicji prozatorskie seryjniaki, to zadanie zupełnie mnie przerosło. Próbowałem, rwąc włosy z głowy, ale nie udawało mi się. Raz po raz ponosiłem klęskę, a moja frustracja tylko pogarszała stan córki. Na szczęście w odpowiednim momencie poznałem kogoś, kto potrafił napisać wystarczająco długi tekst o działaniu terapeutycznym. Ten ktoś spełniał przy tym jeszcze jeden istotny warunek: był mną samym. W tym właśnie świecie, waszym, pod pewnymi względami nie aż tak drastycznie różniącym się od mojego, znalazłem lustrzane odbicie mnie samego, czyli twojego przyjaciela Dawida Kordowę. On też był gotów poświęcić wszystko dla tej nowej, eksperymentalnej powieści. Mógł poświęcić wszystko, bo nigdy tak naprawdę nie miał nic do stracenia. Pozostawała jednak kwestia podejmowanego przez nas obu ryzyka. Nie można przecież zderzać ze sobą światów równoległych, wzajemnie się wykluczających, to zawsze prowadzi do katastrofy, jak kolizja materii z antymaterią...

Przez cały czas trwania jego monologu zastanawiałem się, o czym on w ogóle bredzi i dlaczego jeszcze tu siedzę. Postanowiłem jednak zostać i poczekać na moment, w którym facet ostatecznie zdemaskuje się jako oszust. Dwóch niepodobnych do siebie wiekiem ani wyglądem Dawidów, światy równoległe, terapia słowna, materia i antymateria... To brzmiało jak schizofreniczny bełkot, ale z drugiej strony dla mnie nie było przecież niczym nowym. Dawid Kordowa, którego znałem, tak właśnie komunikował się z otoczeniem: wypowiadając kwestie, za które można dostać dożywocie w jakimś przytulnym kaftanie, śliniąc się, łkając i tłukąc łbem o miękkie ściany równie przytulnego pokoiku w odpowiedniej placówce. Więc paradoksalnie ten stary, zniszczony życiem mężczyzna brzmiał dokładnie tak jak Kordowa, którego znałem. I to tylko uprawdopodobniało jego nieprawdopodobną opowieść.

– Pamiętasz, jak zniknął twój przyjaciel? – spytał nagle.

– Nie wiem, jak zniknął. Wiem tylko, kiedy. To było dwa lata temu. Przestał pojawiać się na spotkaniach literackich, przestał odbierać telefony...

– Dokładnie – odparł tamten, ogarnięty nagłą ekscytacją. – Właśnie wtedy skontaktowałem się z nim po raz pierwszy. Kiedyś przyszła mi do głowy myśl, że literatura może być sposobem na wgląd w światy równoległe, że fikcja może być prawdą, tyle że nie naszą, a kogoś innego. Nie miałem jednak pojęcia, że można się doczekać odzewu z drugiej strony, komunikatu z samego wnętrza

dzieła, jakby jego bohaterowie byli nie mniej realni od nas samych. Rozpaczliwie potrzebowałem pomocy i może właśnie dlatego uwierzyłem w rzeczy, które w każdym innym warunkach uznałbym za niewiarygodne. Twój przyjaciel, chcąc razem ze mną ratować moją córkę, musiał zniknąć ze świata, żeby całkowicie poświęcić się pracy. Wtedy...

– Zaraz, zaraz – przerwałem mu. – Mówiąc „moja córka”, kogo dokładnie masz na myśli?

– Magdale...

– Magdalenę Kordowę? – dokończyłem za niego.

– Tak.

Zamarłem.

– Tę samą, która skontaktowała się ze mną ostatnio, rzekomo szukając zaginionego ojca.

– A więc mnie szuka? – Pokręcił głową, zrezygnowany. Wydawał się autentycznie poruszony. – Owszem, to właśnie ona. Z mojej winy boi się nawet wychodzić z mieszkania. Batofobia całkiem pożarła jej duszę.

To stwierdzenie również dodawało mojemu rozmówcy wiarygodności, ale jednocześnie czyniło ze mnie kolejnego uczestnika tego chorego spektaklu.

Mimo skrajnie niebezpiecznego przebiegu rozmowy, nie odczuwałem jeszcze strachu, bo afobian skutecznie i nieustannie chłodził mój mózg lodową chemiczną falą, nie pozwalając, by myśli choć na sekundę osiągnęły temperaturę wrzenia. Stałem się tak spokojny, jakbym umarł za życia. Wolałem się nie zastanawiać, jak by to wszystko wyglądało, gdybym nie był teraz na lekach. Skoro córka tego faceta, Magdalena, skontaktowała się ze mną i na dodatek pochodziła – rzekomo – z rzeczywistości równoległej, to znaczyło, że ja także – chociaż nieświadomie – uzyskałem łączność z tamtym drugim światem. Jaki z tego wniosek? Ona naprawdę była córką Dawida Kordowy, choć prawdą było też, że mój szalony przyjaciel nigdy nie miał dzieci. Równolegle toczyły się dwie rozłączne historie. A mogło przecież być ich znacznie więcej. Wszystkie te opowieści, które zawsze streszczał mi Dawid, wszystkie jego wcielenia, które nijak do siebie nie pasowały, powiązane jedynie siłą jego narracji, były prawdziwe, tyle że toczyły się w różnych światach...

Nagle poczułem się tak, jakbym był w każdym z tych miejsc jednocześnie. Jakbym przestał być sobą, a stał się wszystkimi możliwościami, jakie mógł wykorzystać człowiek, wszystkimi decyzjami, jakie tylko dało się podjąć, wykresami prawdopodobieństwa i chmurą chaotycznie krążących cząsteczek, czekających na uformowanie się w określony kształt pod czujnym, obdarzonym

mocą sprawczą okiem badacza.

– Tylko nie to... – wymamrotałem.

Zaczęły mi drżeć dłonie, ciało oblał pot i tylko kwestią minut było, kiedy ogarną mnie mdłości, a potem torsje. Przed wpadnięciem w ostateczne szaleństwo powstrzymywała mnie teraz tylko odrobina płynącej w moich żyłach chemii.

– Skoro twierdzisz, że nie pochodzisz z tego świata, jak tu trafiłeś? – wysapałem, trzymając się za głowę, jakby bez wsparcia dłoni mogła stoczyć się na podłogę. – Przecież stwierdziłeś, że połączenie rzeczywistości zawsze prowadzi do katastrofy.

– Moje pojawienie się w tym miejscu jest przecież katastrofą. Początkiem końca, kresem komunikacji. Wtedy, przed dwoma laty według waszego czasu, twój przyjaciel był wniebowzięty, że udało mu się ze mną skontaktować. To wszak stanowiło koronny dowód jego teorii, że literatura zawsze stanowi zapis faktów, tylko że w przypadku tak zwanej fikcji te fakty pochodzą z innej rzeczywistości. Mówił: „Już od dawna byłem pewny, że przekaz płynie z zewnątrz”. W obopólnym entuzjazmie zapomnieliśmy, że skoro ta teoria jest prawdziwa, to obok miejsc, w których żyjemy, istnieją bez wątpienia olśniewające raje, ale istnieją też piekła, których opis jest w stanie parzyć odbiorców, a nawet ich spalać. Pisząc, nigdy nie wiesz, z którym z tych światów zdołasz się połączyć. Nie wiesz, co z tej drugiej strony przeniknie do twojego życia, by je zniszczyć albo uzdrowić na dobre.

– Wyjaśnij mi tylko, gdzie w takim razie się kryje ta rzekoma katastrofa. Przecież obaj pochodzicie z całkiem normalnych rzeczywistości. Nie było chyba w tym wypadku większych powodów do obaw...

– Gdy dwie osoby, żyjące w dwóch różnych światach, nawiązują łączność, ich rzeczywistości stopniowo zaczynają się synchronizować. To odpowiednik splątania kwantowego, tylko w skali makro. Skoro i ja, i tutejszy Dawid Kordowa pracowaliśmy nad tym eksperymentalnym tekstem, działaliśmy w gruncie rzeczy tak samo. To nic, że u was czas płynie wolniej i że moja wersja mnie samego jest tu znacznie młodsza. Tak naprawdę robiliśmy przecież to samo, na dodatek w tym samym momencie. Skorelowane światy zaczęły się więc przenikać. Już nie tylko czułem ten drugi wszechświat, zacząłem go też zauważać. Na początku w snach, potem także na jawie. W moje wspomnienia wdarły się obrazy, których nigdy wcześniej nie widziałem. Śniłem o rzeczach, które miał w głowie ten drugi Kordowa. Dlatego wiem o waszej przyjaźni, waszych dyskusjach... To było czyste szaleństwo, ale nie mogliśmy przestać.

Obydwaj ryzykowaliśmy zdrowiem i życiem, jednak dla mojej córki byłem gotów zrobić bardzo wiele. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że nie tylko ja będę musiał zapłacić straszliwą cenę za jej uzdrowienie. Ty i pozostali także.

– Ja i pozostali? – zdziwiłem się.

– Niestety tak. Terapia słowna, o której wspominałem, tworzy nierozzerwalną więź między pacjentem a terapeutą. A jako że ja sam stworzyłem podobną więź z żyjącym tutaj Kordową, lęki mojej córki zaczęły przedostawać się do waszego świata. W przyrodzie nic nie znika. Strach jednej osoby potrafi zarazić miliony. Nie byłem świadom, że ratując jedno tak cenne dla mnie życie, zrujnuję tyle innych.

Zmierzał chyba do wyjaśnienia, którego oczekiwałem, przychodząc do tego ośrodka. Tyle że wyjaśnienie powinno było paść z ust osoby, którą znałem, a nie kogoś, kogo widziałem na oczy po raz pierwszy. Chciał mi wreszcie powiedzieć, co łączy jego przedziwny przypadek z epidemią milczenia, która z każdym kolejnym dniem zbierała coraz większe żniwo. Ale to wszystko było niemal niemożliwe do ogarnięcia. Zacząłem się zastanawiać, jak niby miałbym to opisać, skoro nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w wersję wydarzeń podawaną przez mojego rozmówcę, nawet pomimo panującej w ostatnich miesiącach mody na apokaliptyczne proroctwa.

– Nadal nie powiedziałaś mi najważniejszego – stwierdziłem. – Gdzie jest teraz mój przyjaciel? Gdzie jest prawdziwy Dawid Kordowa? Sądzisz, że w chwili, gdy ty przeniknąłeś do naszego świata, on... przeniósł się do twojego?

Mężczyzna pokręcił głową zrezygnowany i przyklepał dłonią siwe włosy.

– Nie mam pojęcia. Na początku też tak pomyślałem, ale wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że kiedy ja pisałem swoją nieudaną powieść, *Kres komunikacji*, literackie lekarstwo, które zaczęło się rozpadać na moich oczach, moja alternatywna wersja starała się stworzyć coś znacznie bardziej doniosłego. To miał być majstersztyk, wnikający we wszystkie lęki i natychmiastowo je neutralizujący. Tekst ostateczny, terapia słowna uwalniająca każdego odbiorcę od strachu. Problem w tym, że przecież samo człowieczeństwo jest właśnie czymś takim: fobią, zgrozą, ciągłą niepewnością, która każe nam nieustannie, dzień po dniu, walczyć o oswojenie świata, ocalenie samych siebie. To od zawsze popychało nas do działania, stanowiło fundament wszystkiego, co robiliśmy. Tekst, który próbował napisać tamten Kordowa, miał sprawić, że zniknęłyby nasze wszystkie egzystencjalne trwogi, zatarły się wszystkie filozoficzne pytania. Tylko że...

– Tylko że co by z nas wtedy zostało? – dokończyłem, myśląc, że właśnie

do tego punktu przez całe życie zmierzał mój przyjaciel: chciał napisać powieść, która zniszczyłaby odbiorcę u samych podstaw, zmiądzzyła fundamenty, dzięki którym egzystował, wtrąciła go prosto w pustkę, bo to właśnie tam, zdaniem Dawida Kordowy, wszystko ma zawsze swój początek i koniec.

Oko cyklonu

Lokalna Noclegownia Alternatywnie Myślących mieściła się w starym czteropiętrowym budynku, który wyglądał, jakby najpierw został oderwany od położonego w innej części miasta osiedla, a następnie przetransportowany tutaj, w sam środek maleńkiego, trochę zapuszczonego parku, prezentującego się jak biedniejsza wersja Plant. Po smogu nie było już ani śladu, a widoczność – według aplikacji analizującej otoczenie – sięgała dziewięćdziesięciu siedmiu procent. Wąską alejkę otaczało kilka wysokich, rozłożystych drzew – pomiędzy ich wciąż gęstych, choć powoli już żółknących liści dobiegał śpiew ptaków, które bez trudu mogłabym uznać za żywe, gdyby nie fakt, że kiedy spjrzałam w ich stronę, momentalnie spadł mi przed oczy reklamowy obłoczek: „Symulakrony słowików: tylko 30 kredytów za sztukę! Śpiewają lepiej niż prawdziwe!”.

Zawiedziona tym, z jaką łatwością Immersjonet odczarowuje dla mnie tak piękną chwilę, popatrzyłam na warującego pod drzwiami noclegowni pieska, merdającego ogonkiem pod czerwonym oknem z napisem „Cel osiągnięty!!!”. Westchnęłam ciężko, a następnie wyszłam z sieci.

Kierując się w stronę wejścia do budynku, cieszyłam oczy widokiem kojąco zielonej trawy, w której głośno pogrywały świerszcze. Wolałam nie wiedzieć, że prawdopodobnie są to tylko chińskie wyroby świerszczopodobne, mające w swych kruchych ciałkach z tworzywa nowe mikrodiski SD, na których zapisano kilkadziesiąt odpowiedników najśłynniejszych kompozycji na wiolonczelę i skrzypce. Skoro pokonałam swój strach, nie wszystko musiało być dla mnie proste, jasne i plastikowe.

Zbliżając się do pomalowanych na brązowo drzwi, obok których dostrzegłam połyskujący srebrzyście przycisk wideofonu, zastanawiałam już tylko nad tym, czy załazłam się teraz o krok od prawdy, czy o krok od fikcji. *Kres komunikacji* pozwolił mi dotrzeć aż tutaj, ale ojcu mogło przecież chodzić bardziej o moją wewnętrzną odyseję ku zdrowiu niż o to, bym odnalazła jego. Od początku lektury zakładałam, że w tekście znajdę odpowiedzi na moje własne pytania. Tyle że autor, choć był moim ojcem, był też Dawidem Kordową i niewieloma rzeczami w minionych latach gardził bardziej niż spełnianiem

czyichś urojonych oczekiwań.

Oddychałam głęboko, przyglądając się uważnie drzewom i trawie, nieskażonym ikonami, oknami czy cyfrowymi odchodami aplikacyjnego psiaka. Napawałam się ich widokiem jeszcze przez krótką chwilę, a potem wcisnęłam przycisk nieco przestarzałego wideofonu, czując coś, co wprawdzie nie było znanym mi tak dobrze lękiem, lecz przyprawiającą o ciarki niepewnością.

Na niewielkim ekranie pojawiła się twarz młodej kobiety, niebieskookiej blondynki, sprawiającej wrażenie osoby szalenie sympatycznej. Nie miałam pojęcia, czy jest człowiekiem, czy awatarem, zresztą to nie wydawało się aż tak istotne. Ważniejsze było, czy za drzwiami znajdę ojca albo jakikolwiek ślad, mogący mnie na niego naprowadzić.

– W czym mogę pomóc? – spytała blondynka, patrząc mi prosto w oczy.

– Szukam... – zająknęłam się, odnosząc dziwne wrażenie, że ta kobieta dowie się o mnie więcej, niż chciałabym jej powiedzieć, że domyśli się mojej niedawnej batofobii i wieloletniego ukrywania choroby. Poczułam się zupełnie przezroczysta. Ale paralizujący strach wciąż nie mógł objąć nade mną władzy. Już nigdy mu na to nie pozwolę.

Uniosła brwi, nie odezwała się jednak. Cierpliwie czekała, aż się opanuję.

– Szukam mojego ojca. Nazywa się Dawid Kordowa. Podejrzewam, że trafił niedawno do waszej placówki.

Spuściła wzrok, zapewne sprawdzając na panelu listę aktualnie przebywających w noclegowni osób. Nie wiem, ile dokładnie jej to zajęło, bo nie miałam ani zegarka, ani odpowiadającej mu aplikacji przed oczami, lecz trwało to długo, nawet zbyt długo.

– Drugie piętro, pokój dwieście trzyście – powiedziała w końcu.

Ekran zgasł, a jednocześnie od strony zamka dobiegło mnie ciche, jednostajne brzęczenie. Mogłam wejść do środka.

Niedługo wszystko stanie się jasne, pomyślałam, nie potrafiąc zawyrokować, czy ogarnia mnie właśnie rozpacz, czy zachwyty.

Wewnątrz znajdował się niewielki korytarz, prowadzący do kolejnych, tym razem szklanych drzwi. Ściany, sufit i podłoga zlewały się w jedno – wszystkie pomalowano na mlecznobiały kolor, zza którego od czasu do czasu przebijały błyski żółtych, czerwonych i zielonych świateł. Domyśliłam się, że właśnie przechodzę przez komorę skanującą, która sprawdza moją tożsamość, porównuje wygląd zewnętrzny z informacjami zawartymi w bazach danych i z sieciowymi profilami, a także wyklucza posiadanie przeze mnie przedmiotów – bądź też cech – mogących stanowić zagrożenie dla czyjegokolwiek życia i

zdrowia. Musiałam pozytywnie przejść tę weryfikację, bo drzwi rozsunęły się, wpuszczając mnie do kolejnego, prostopadle położonego korytarza, z którego wchodziło się do kilkunastu pomieszczeń, prawdopodobnie pokoi lokatorów. Szybko odnalazłam klatkę schodową i wspięłam się na drugie piętro. W udach czułam nieznośne palenie – stanowczo zbyt długo zaniedbywałam aktywność fizyczną. W końcu dotarłam na miejsce – oto sala 213.

Sięgnięcie do klamki było dla mnie czymś niewyobrażalnie trudnym. Nie mogę powiedzieć, że bałam się tego, co zobaczę w środku, myślałam jednak tylko o tym, że na pewno nie będzie tam ojca. Prędzej spotkam za tymi drzwiami jakąś jego młodszą, alternatywną wersję, naszkicowanego w *Kresie komunikacji* szaleńca, który przez te wszystkie lata musiał żyć także w ojcu i od pewnego momentu stopniowo przejmował nad nim kontrolę, aż w końcu zmienił jego umysł i ciało w obcą, niezrozumiałą dla mnie formę. Wchłonęłam w siebie to wszystko, czym karmiło mnie jego ostatnie dzieło: alternatywne światy jak barwne bańki spienionego multiwersum, nieskończoną mnogość linii czasowych, choroby przenoszone za pośrednictwem tekstów, wirusy liter, bakterie słów, szczepy akapitów, fikcję jako zbiór faktów docierających z zewnątrz, maszyny do życia ogarnięte wewnętrznym płomieniem, ludzkie rzeźby, skamieniałe ciała ofiar nieznannej plagi, milcząco wgapione w oszałamiające niebo, którego nigdy nie dostrzeże moje oko, choćbym nawet chciała...

Teraz z całą mocą dotarło do mnie jeszcze jedno: przecież tak naprawdę wcale nie szukałam ojca, który zniknął niedawno z naszego mieszkania. Pragnęłam odnaleźć człowieka, który mnie wychowywał, który dwoił się i troił, bym nie odczuła zbyt boleśnie dożywotniego braku matki, który mimo roztargnienia i pewnego oderwania od rzeczywistości starał się zawsze trzymać ziemi na tyle mocno, żeby stanowić dla mnie oparcie. Szukałam ojca, który mnie kochał, który był w jeszcze stanie cokolwiek poczuć. Człowieka, którego ten przedwcześnie postarzały, na wpół obłąkany mężczyzna, z którym żyłam pod jednym dachem, pogrzebał w sobie, składając w ofierze dla dzieła doskonałego.

Powoli nacisnęłam klamkę.

Zamknęłam oczy, zrobiłam zdecydowany krok naprzód i dopiero wtedy znów uniosłam powieki.

Pomieszczenie wyglądało niemal identycznie jak pokój ojca w naszym mieszkaniu.

Drzwi same zatrzasnęły się za mną.



– Tato?

Niepotrzebnie spytałam. Widziałam przecież, że pokój był pusty. Nie musiałam zapalać światła, tutaj ojciec nie zamalował okna na czarno, promienie wlewały się do środka niepowstrzymaną falą.

Omiotłam wzrokiem nieliczne sprzęty. Wąskie łóżko, nienagannie pościelone. Obok, na szafce nocnej, klucze do naszego mieszkania – razem z kluczem do jego gabinetu. Stojący przy biurku archaiczny komputer stacjonarny był włączony. Monitor też. Migąła zielona lampka. Podeszłam bliżej, zaciękawiona i zdezorientowana. Nerwowo poruszyłam myszką. Ekran się zapalił. Ujrzałam okno logowania do poczty. W polu „login” dostrzegłam adres maila: ad.rem@krytyka.pl. Pole „hasło” było puste. Ale przecież wiedziałam doskonale, co znalazłabym po zalogowaniu: stos spamu i moją własną, niedawno wysłaną wiadomość.

Moje pole widzenia skurczyło się na moment do rozmiarów znaczka, płuca z trudem zasysały powietrze, przedramiona pokryła gęsia skórka.

Oparłam się o biurko, oszołomiona faktem, że nawet ludzie niecierpiący na fobie mogą bardzo się czegoś bać. Dopiero teraz zauważyłam leżący na blacie stos kartek. Popatrzyłam na pierwszą z brzegu, podejrzewając, że lada moment znów mogę wpaść w czarną paszczę przerażenia. W prawy górnym rogu była mała liczba dziewięć. Wzięłam do ręki kolejną. Był na niej tytuł: *Kres komunikacji*. Niespokojnie przerzucałam kolejne kartki. Wszystkie bez wyjątku były puste. Dopiero po pierwszych kilkudziesięciu stronach natrafiłam na kolejny rozdział powieści, lecz za nim też znajdowały się wyłącznie puste kartki. Czyżby koniec?

Opadłam na oparcie fotela, starając się uporządkować myśli. To zbyt trudne, tym bardziej, że znów miałam wrażenie, jakbym w każdej chwili mogła dostać ataku paniki, jakby ta wroga ciemność, która zawsze czaiła się gdzieś obok, znowu miała ochotę mnie dopaść i przygnieść do ziemi.

Wtedy drzwi za moimi plecami otworzyły się. Odwróciłam głowę, czas jakby spowolnił bieg. Do środka weszła kobieta, której twarz widziałam wcześniej na wyświetlaczu wideofonu. Nie była wcale awatarem. Uśmiechając się do mnie uprzejmie, powiedziała:

– Dzień dobry.

Jej głos brzmiał kojąco. Nim zdążyłam odpowiedzieć, zauważyłam ze ściśniętym gardłem, że ktoś za nią stoi. Oboje weszli do pomieszczenia, poruszali się wolno, z namysłem. To wcale nie był mężczyzna opisany w *Kresie komunikacji*, ten drugi, młodszy Dawid Kordowa. To był ojciec! Mój stary, posiwiaty, zniszczony życiem ojciec, który w zagadkowy sposób zniknął z mieszkania.

– Bardzo się cieszę, że przyszła go pani odwiedzić – rzekła kobieta, wyciągając dłoń w moim kierunku. – Lidia Kotnik. Pracuję tu jako psycholog.

Odpowiedziałam machinalnym gestem, a potem wyminęłam ją, biorąc ojca w ramiona. Wydawał się taki bezradny, taki kruchy. Chociaż go obejmowałam, miałam wrażenie, że rozpływa się w powietrzu jak dym lub mgła, albo jak duch, który istnieje tylko na tyle, by móc się jeszcze pożegnać.

– Kocham cię, tato – wyszeptalam. – Tak się cieszę, że wreszcie cię odnalazłam.

Nie pamiętałam, kiedy ostatnio go przytuliłam ani kiedy powiedziałam mu, że go kocham. Ani kiedy nazwałam go „tata”.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Ojciec patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, zdając się nie pojmować, co się dzieje. Nie wiedziałam, czy mnie rozpoznał. Był znacznie bardziej nieobecny niż przez ostatnie lata. Jakby po jego ucieczce zerwała się ostatnia nić, łącząca go z rzeczywistością.

– Trafił do nas niecałe trzy doby temu, dokładnie o piątej rano – odezwała się psycholożka, mówiąc nadal tym samym kojącym tonem. – Tłumaczył, że dostrzegł u siebie pierwsze objawy batofobii. Bał się, że niedługo nie będzie w stanie samodzielnie funkcjonować. Upierał się też, by nie szukać żadnych członków jego rodziny, bo jest zbyt wcześnie, by ich niepokoić. Na początku był bardzo aktywny, korzystał nawet trochę z komputera. Potem przyszedł nagły kryzys, z godziny na godzinę stan pani ojca drastycznie się pogarszał. Wczoraj po południu przestał mówić, a dzisiaj, nie więcej jak dwie – trzy godziny temu, także reagować na bodźce. Podaliśmy mu dwukrotnie afobian, ale nie zauważyliśmy poprawy. Planujemy zwiększyć dawkę...

Nafaszerują go kolejnym nowym, cudownym lekiem i co dalej? Byłam pewna, że to nic nie pomoże – batofobia śmieje się w twarz współczesnej farmakologii.

Kobieta przyglądała mi się w milczeniu. Ja zaś gapiłam się na ojca, nawet nie próbując walczyć ze łzami.

– Zostawić was samych? – zapytała.

Kiwnęłam głową. Ojciec patrzył na mnie, a może nie tyle na mnie, co raczej przeze mnie. Jakby cały świat był mgłą, w której zabłądził. Labiryntem rozrastającym się we wszystkich kierunkach, bez sensu i bez końca.

Poprowadziłam go do biurka i pomogłam usiąść w fotelu. Po drodze wzięłam z nocnej szafki jego klucze. Standardowa kopia, wykonana w jednej z maszyn Omni3D, drukujących obiekty trójwymiarowe. Na czarnym, plastikowym przedmiocie dostrzegłam datę – dokładnie dobę przed zniknięciem ojca. A więc dlatego widziałam go na tym nocnym nagraniu, przysłanym w załączniku przez E-milkę... Te maszyny działają przecież całodobowo, w każdym kompleksie mieszkalnym i jego najbliższych okolicach jest ich przynajmniej kilka. Czemu o tym nie pomyślałam? Czemu nie przyszła mi do głowy najprostsza odpowiedź, skoro wtedy mogłam myśleć wyłącznie o rzeczach najprostszych? Czemu nie domyśliłam się, że to on sam mógł po ucieczce założyć konto jako Adam Remiecki, udawać postać literacką, która przeniknęła do świata realnego? Nieustanne ataki paniki uniemożliwiają nie tylko względnie normalne funkcjonowanie, ale niekiedy i logiczne myślenie.

Ojciec siedział nieruchomo, patrzył przed siebie. Wyglądał, jakby postarzał się o co najmniej dekadę. Odniosłam wrażenie, że delikatnie się uśmiecha, ale może był to tylko grymas cierpiącego człowieka.

– Wcale nie musiałeś tego robić – szepnęłam, ocierając łzy. Żadnej reakcji.
– Moje życie nie było aż takie straszne. Przyzwyczaiałam się do uwięzienia, zaakceptowałam swoją nową rolę. Istnieją dużo gorsze choroby. Niektórzy ludzie nie mogą wydostać się ze swoich autystycznych głów, a ja tylko nie mogłam wychodzić z mieszkania. Nie musiałeś przecież... – Głos mi się załamał.

Wyjęłam z torby wydruk *Kresu komunikacji*, wszystkich dotychczas skompletowanych rozdziałów. Przez moment wydawało mi się, że uśmiech ojca stał się bardziej wyraźny. Czyżby się ucieszył, widząc, że dotarłam niemal do końca jego ostatniej powieści, która zarazem stała się dla mnie jedynym skutecznym lekarstwem? Czy zdawał sobie sprawę, że jego terapia słowna zadziałała? Czy dostrzegając u siebie pierwsze objawy panicznego lęku, był pewien, że przejął je właśnie ode mnie? A może nie pojmuje już niczego?... Patrzyłam na niego ze ściśniętym sercem. Przypominał mi dziecko, które milczeniem próbuje zatuszować ujawnienie jakiegoś wstydliwego faktu. Brakowało tylko, żeby schował twarz w dłoniach i uwierzył, że dla całego świata stał się niewidzialny.

– Nie mogłam chodzić po naszym kompleksie, więc szukałam cię właśnie

tam, w tekście – powiedziałam, stukając palcem w kartki. – Ale teraz już wiem, że wcale nie to miałeś na myśli, pisząc tę książkę. Nie miałam odnaleźć ciebie, tylko siebie samą.

Czekałam na jakikolwiek gest z jego strony, choćby zwykłe wzruszenie ramion, skiniecie głową, do cholery, nawet przewrócenie oczami czy pełne irytacji westchnienie. Równie dobrze mogłabym przemawiać do wydruku 3D.

Siadłam na łóżku, kładąc sobie *Kres komunikacji* na kolanach. Widziałam chude plecy ojca, zabawną koronę jego siwych, wiecznie rozczochranych włosów, otoczoną blaskiem słońca. Słyszałam jego oddech. Muszę się przyzwyczaić, że to będzie teraz jeden z nielicznych objawów jego pozostawania przy życiu. Ciało ojca jest żywe i obecne, to wszystko. Jego samego już tu nie ma. Z drugiej strony nie było go od dnia śmierci mamy.

Co jeszcze mogę zrobić? Przecież go znalazłam. Był tu, a ja siedziałam obok. Ta historia nie będzie miała innego, lepszego zakończenia. Później porozmawiam z psycholożką, która najwyżej powie coś pocieszającego tym swoim spokojnym głosem, potem może będą też jacyś kolejni lekarze, którzy zrobią to samo, stwierdzając, że w tym przypadku batofobia okazała się gorsza niż paraliż czy autyzm. Powinna go pani zostawić w ośrodku, powiedzą. Teraz musi pani czekać, aż to się skończy, nic więcej. On nie będzie cierpieł. Jest tylko pustym ciałem, wspomnieniem w kształcie człowieka. Nie będzie nawet zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Ale wtedy to ja pokręcę głową. Bo przecież on doskonale wiedział, wiedział od samego początku, że tak właśnie będzie. Sam wybrał swój koniec.

Byłam tu, a on siedział tuż obok. Oddychał, patrząc w jasne okno. Gdzieś tam w dole leżał niewielki park, w gałęziach drzew skakały rozśpiewane symulakrony słowików, a w gęstej trawie buszowały plastikowe świerszcze. Był cały wielki świat bez wirtualnych okien i ikon, a nad nim wisiały chmury, z których może padać tylko deszcz, grad albo śnieg, a nie przytłaczające terabajty danych, życia streamowane na żywo, holografie wyraźniejsze od najbardziej namacalnych wspomnień. Ojciec gapił się na to wszystko niewidzącym wzrokiem i nie poruszał się, choć być może gdzieś w środku był głęboko poruszony. Tam na zewnątrz, w trawie, chmurach i drzewach, w twarzach, gwiazdach i liniach papilarnych było przecież jeszcze tyle do przeczytania...

Mnie pozostało już tylko skończyć jego książkę. Odtworzyć ostatnie słowa, jakie postanowił do mnie skierować przed osunięciem się w buzującą przerażeniem ciemność. Dowiedzieć się, co pomyślał, zanim nastął między nami ostateczny kres komunikacji.

Fragment 10: Nie taki strach straszny...

Kiedy dotarło do mnie, co tak naprawdę oznaczają słowa, które przed chwilą usłyszałem, wiedziałem już, że żadna chemia nie będzie w stanie ocalić mnie przed napierającym zewsząd szaleństwem, żadna kojąca substancja nie uratuje mnie przede mną samym.

Stary mężczyzna patrzył na mnie i tylko mechanicznie kiwał głową, bo doskonale rozumiał, o czym myślałem. Wiedział, że właśnie uświadomiłem sobie to, czego on bał się od chwili, gdy wkroczył do naszego świata.

Lęk jest zaraźliwy. Jest jak wirus. W przyrodzie nic nie znika, nie da się więc czyjejs fobii tak po prostu wymazać. Strach przypomina entropię.

– Musze go znaleźć – powiedziałem cicho. – Muszę znaleźć Kordowę. Tego prawdziwego.

Wstałem chwiejnie, starając się uchwycić jakiegokolwiek racjonalnej myśli. Pole widzenia ciemniało na krawędziach, jak kartka ciśnięta w płomień. Afobian już mnie nie osłaniał, jego działanie wygasło. Byłem pod nieustannym ostrzałem, rzeczywistość próbowała mnie zniszczyć, zarazić wszystkim lękami jednocześnie.

– On gdzieś tutaj jest, prawda? Podgląda naszą dyskusję, a może nawet osobiście ją reżyseruje? – zapytałem, a mężczyzna spuścił wzrok i milczał, nie przestając kręcić przecząco głową. Nie dawałem za wygraną: – To wszystko jest tylko częścią jego planu, prawda? Zawsze lubił manipulować ludźmi, ale teraz chyba trochę się zagalopował.

Starzec skurczył się w sobie, jakby coś coraz szybciej wyżerało go od środka.

To spotkanie, to miejsce... Obskurny ośrodek dla bezdomnych, znerwicowany stróż, szaleniec, kompulsywnie wykrzykujący zasłyszane w telewizji hasła, a nawet siedzący przede mną rozczochrany emeryt, przeklęty władca niczego, w koronie siwych kłaków... Wszystko to było bardzo w stylu Dawida Kordowy – przynajmniej tego, którego znałem. Wpędzić rozmówcę w paranoję, a potem cieszyć oczy efektami. Tym razem jednak plan wydawał się wyjątkowo skomplikowany: zniknięcie przed dwoma laty, ponowne pojawienie się pod zupełnie inną postacią, wymyślenie ciężko chorej córki, zgranie tego

wszystkiego ze zbierającą coraz większe żniwo epidemią i moją zdiagnozowaną dopiero przed paroma dniami fobią... Nawet on nie byłby w stanie pociągać za tyle sznurków jednocześnie. Chyba że... faktycznie występuje w więcej niż jednej postaci.

Nie, takie myślenie to tylko kolejny dowód na to, że naprawdę zaczynam tracić zmysły. Musiałem się stąd wydostać, musiałem...

– Wojna, zdrada, kryzys, wojna! – zaczął znowu wrzeszczeć facet z Tourette'em, zrywając się na nogi i z hukiem przewracając krzesło. – Pogrzeb, zamach, brzoza, mgła i objaw!

Ruszyłem w stronę drzwi, moje ciało było jak z gumy.

– Papież, Polska, Matka Boska! – wrzeszczał tamten. Wstrząsały nim drgawki, jakby jego ruchami sterował rytm niewidzialnego stroboskopu, zaś ten epileptyczny atak przeradzał się w taniec.

Od drzwi dzieliło mnie tylko kilka kroków, ale od obłądu znacznie mniej. Wierzyłem jednak, że podołam, choć szedłem, jakbym po samą szyję brodził w czymś lepkiem i gęstym.

– Zdrada, bezrobocie i rozpacz! Jezus, Maria, Polska! In vitro, dezercja, aborcja! Wieczny zabór i wieczny rozbiór! Fobia, fobia, fobia...

Zanim zamknąłem za sobą drzwi, zobaczyłem, jak mężczyzna nagle zamiera, kończąc swój wściekły występ. Zamilkł i skamieniał, a jego oczy wbiły się we mnie jak w ostatnie z objawień.



Afobian z całą pewnością przestał działać, a może po prostu zaczął mi szkodzić, wywołując całą gamę dotkliwych skutków ubocznych. Podłoga pod stopami zmiękła, a materia się rozproszyła, szedłem po mgle wymalowanej na kolor linoleum, zewsząd ziała przepaść. Korytarz przede mną rozdziwił się, następnie podzielił na trzy mniejsze, jakby wszystkie sklezione dotąd rzeczywistości zaczęły nagle się od siebie oddalać.

Zauważyłem przeszklone białe drzwi i szarpnąłem za klamkę, licząc, że dotarłem do celu. Wytężyłem wzrok, ale wcale nie dostrzegłem stróżówki ani ciężkich wrót, za którymi czekałby znany i względnie oswojony świat. Było tylko ponure wnętrze piwnicy. Na spękanej podłodze siedziała jakaś dziewczyna. Wyglądała, jakby pod koszulą nocną miała gigantyczny garb,

niemal wgniatający ją w ziemię, ale gdy ten garb zaczął się poruszać, dostrzegłem dwa wielkie, symetryczne kształty – ich synchroniczny ruch sprawił, że zrozumiałem, czym tak naprawdę są: skrzydłami.

Strącony w Polskę anioł patrzył na mnie i płakał, pokazując dłonią zamalowane czarną farbą okno pod sufitem. Potem przemówił:

– Stąd nie ma wyjścia. Nigdy nie było.

Przerażony, cofnąłem się na korytarz.

Piwnica znikła.

Musiałem się stąd jak najszybciej wydostać. Tylko którądy? Wszystkie drzwi wyglądały teraz tak samo, na korytarzu nie było żywej duszy. Zrobiłem kilka kroków naprzód i znów spowiała mnie gęsta mgła.

Szarpnąłem za kolejną kłamkę, postąpiłem naprzód, potknąłem się o próg i upadłem. Pod policzkiem poczułem twardą, zimną powierzchnię.

Przeszył mnie przenikliwy chłód i znów wyczułem tę znajomą, odrażającą, metaliczną woń. Wstałem, po omacku szukając włącznika, w końcu zapaliłem światło.

Byłem na klatce schodowej, podobnej do tej, którą pamiętałem z dzieciństwa. Chciałem stąd uciec, ale kiedy się odwróciłem, nie było za mną żadnych drzwi, tylko gładka, białą otynkowana ściana, na której zauważyłem szachownicę liter:

d z i e w i ą t a
z r a n a w o m t
i o z o n a e e ą
e b x w z m n ł i
w i t o i t o i w
i ł z y n w s b e
ą e e o n a z o i
t m o w a n a r z
a t ą i w e i z d

Dobrze znałem te znaki. Do ich rozpoznania nie potrzebowałem nawet zamieszczonych poniżej inicjałów autora: D.K.

Jego dzieło w toku, odwieczny eksperyment literacki – włamać się do głowy czytelnika, dokonać zniszczeń i kradzieży na wszystkich piętrach świadomości i podświadomości. Wywlec ukryte skarby, ponure sekrety, chwile zatopione w niepamięci niczym owady w bursztynie.

Byłem już pewien, że stąd nie wyjdę. Nie stanę się wolny, dopóki nie zajrzę strachowi prosto w oczy.

Światło zgasło. Czas, liczył się tylko czas. Te sekundy między jednym mrokiem a drugim.

Wzięłem głęboki oddech i znów nacisnąłem włącznik.

A potem popędziłem przed siebie, skacząc co dwa – trzy stopnie.



Być może znów stałem się dzieckiem, bo schody wydawały się wielkie. A może tak naprawdę nigdy nie dorosłem, na zawsze już zamarłem pod postacią tamtego przerażonego chłopca – tkwił we mnie, gdy moje ciało rosło, policzki i brodę pokrył zarost, ciało nabierało masy, ale nigdy siły, robiło wszystko to, co kiedyś tylko sobie wyobrażałem, myśląc, że będzie warto: pijaństwo, narkotyki, seks czy może miłość, łamanie serc i nieznośne życie ze złamanym sercem; w środku zawsze był tylko ten przerażony dzieciak, pociągał za sznurki, ściskane w małych, pobielających od wysiłku piąstkach, bał się, tak jak ja boję się teraz. Ale to już nieistotne. Najważniejsze to zdążyć do domu, zanim zgaśnie światło, zanim przyjdzie ten, którego zawsze się bałem, choć nigdy nie miałem pojęcia, jak może wyglądać i czy jest człowiekiem, duchem, potworem, czy może tylko samym cieniem, czarnym obłokiem.

Potykając się, dotarłem na swoje piętro. Światło wciąż się paliło, ale to też już było nieważne. Drzwi mojego mieszkania zastałem szeroko otwarte. Zanim jednak wpadłem do środka, lampy nagle zgasły i ciemność uderzyła we mnie z nokautującą mocą.

Przeleciałem przez próg i uderzyłem głową o ścianę. Nie straciłem przytomności, co mogło oznaczać, że straciłem ją już wcześniej. Działiałem trzeźwo. I szybko. Instynktownie. Zanim pojawił się intruz, zamknąłem drzwi i założyłem blokadę.

Doskonale pamiętałem to mieszkanie – choć teraz było tylko ruiną, nadal wyraźnie widziałem całe moje dzieciństwo, jakby na każdym skrawku podłogi został cienisty trop moich dawnych kroków, jakby na ścianach wciąż tkwiły odbite ślady moich małych dłoni. Tak, tam był pokój rodziców, a tutaj mój pokoik, gdzie zapraszałem kolegów i graliśmy na starym ATARI, godzinami czekając, aż gry wczytają się z taśmy magnetofonowej. Został tu tylko kurz, ale

choć moje oczy rejestrowały jedynie rozpad, wyobraźnia dostrzegła wszystko, co było kiedyś, jakbym wkroczył do hałaśliwego, ruchliwego i kolorowego lunaparku.

Zaglądałem do kolejnych pomieszczeń. Ile lat minęło od czasu, kiedy zmieniłem to mieszkanie na któryś z kosztownych apartamentów bliżej centrum? Stałem przed szerokim oknem w salonie i w zachwycie patrzyłem na barwną gęstwinę parku, który w dzieciństwie był dla mnie i dla moich kolegów niczym prawdziwa dżungla – to tam kryły się najwymyślniejsze stwory, utrudniające nam wykonanie rozmaitych misji oraz zadań. Gdybym wtedy wiedział, że nie przed wszystkimi potworami da się uciec, że nie wszystkie da się tak po prostu zabić, nie musząc poświęcać rzeczy najcenniejszej...

Błądziłem spojrzeniem w dobrze znanych gąszczach, wiedząc zarazem, że tak naprawdę był tam tylko pusty plac, gładka betonowa powierzchnia, gigantyczny nagrobek, który nakrył całą moją przeszłość. Niedługo wyburzą mój blok, wyburzą je wszystkie, by postawić kolejną galerię handlową czy kompleks biurowy. Gdzie się wtedy podzieją duchy mojego dzieciństwa?



Nagle rozzwonił się telefon. Komórka wyła, wibrując w kieszeni. Wyjąłem ją pośpiesznie.

Krystian. Jak sygnał ze świata, do którego nie ma już dla mnie powrotu.



– Adam, gdzie ty się znowu podziewasz? – spytał, a w jego głosie pobrzmiwała trudna do zidentyfikowania ekscytacja.

– Tak jak kazałeś: odnalazłem Dawida Kordowę – odpowiedziałem. – Ale on coś bredzi. I to wcale nie jest on, tylko jakiś maniak, ze trzydzieści lat starszy. Nie będzie z tego żadnej historii dla mediów. W ogóle nic z tego nie będzie. Więc wróciłem do domu. Bo i gdzie miałem się podziać?

– W domu jesteś? Świetnie – odparł, parszkając śmiechem. – Z epidemią milczenia Kordowa nie ma raczej nic wspólnego. Fałszywy trop, zupełnie jak ten koleś na Plantach. Strata twojego i mojego czasu.

– Ale on żyje? – zastanawiałem się głośno, a park za oknami nagle zaczął blednąć, blaknąć i w końcu rozplynał się we mgle. – Na pewno żyje i pewnie lada moment wyda nową powieść.

– Całkiem możliwe, ale i nieistotne – stwierdził Krystian. – Cwaniaczki z „Huffington Posta” zrobiły duży materiał na temat naszej tajemniczej plagi. Starając się obalić większość teorii spiskowych, wskazują trop prawdopodobny, choć wcale nie taki oczywisty. Znasz termin „osobliwość”?

– Co to ma do rzeczy? – spytałem, a mieszkanie wokół niespodziewanie utraciło swoje dawne piękno, też zbladło i zbladło, zmieniając się w ruinę, w spopielone wspomnienia.

– Wsparci opinią specjalistów od transhumanizmu i zmian technologicznych towarzyszących nadejściu „osobliwości” twierdzą, że bliskość cywilizacyjnego przełomu zwiastować mogą takie objawy jak te, które cechują naszą plagę. Gdy technologia przejmuje władzę nad ludzkością, człowieczeństwo zaczyna stopniowo zanikać. W mózgach szybko obumierają obszary odpowiedzialne za komunikację werbalną i niewerbalną. Nadmiar bodźców, informacyjna lawina i przedawkowanie wszelkiego rodzaju form rozrywki robią nam bajzel pod czachą.

– Bajzel pod czachą... Jak ty to... zabawnie nazwałeś – odpowiedziałem, czując się coraz bardziej obco – i w świecie, i we własnym ciele.

Nie byłem już człowiekiem, byłem echem, cieniem...

Telefon niespodziewanie stał się niedorzeczną bryłą, więc po chwili go upuściłem. Rozbił się na podłodze: wypadła bateria, pękł ekran.

Chyba śnię, pomyślałem, a wszystko wokół zaczęło robić się czarne – począwszy od sufitu oraz nieba, zwęglonego jakimś niewidzialnym ogniem, płomieniami, które potężniały tak na zewnątrz, jak i we mnie.



Ale nawet jeśli to tylko koszmar, nie będę się niczego lękać.

Świat zawsze jest straszny i obcy, nie może mnie przerażać jeszcze bardziej.

Zaciśnij pięści, chłopczyku we mnie, myślałem, zaciśnij teraz pięści i zęby.

Chciałem krzyczeć, wzywać pomocy, ale nie dawałem już rady, zupełnie jak wtedy, gdy Natalia raz na zawsze odwróciła się do mnie plecami...

Zamarłem na środku pustego pomieszczenia, które kiedyś było moim pokojem – w nim właśnie bawiłem się lepiej niż kiedykolwiek, mimo że nie wiedziałem nic o świecie, który czaił się za oknami jak wielki, dzieciožerny potwór.

Dalej nie wiedziałem, co było prawdą: czy kłamał Kordowa, czy kłamali ci dziennikarze. To przestało być istotne.

Nie mogłem się poruszyć. Skamieniałem, z trudem walcząc o każdy oddech.

A więc to już koniec. Kres mojej komunikacji ze światem.

Wszystko wokół takie czarne i straszne.

Nie bój się, chłopcze.

Nie boję się, myślę.

Potem się uśmiecham.

I uśmiechnięty czekam aż wszystko, co ludzkie stanie się obce.

Dawid Kain



Prozaik, tłumacz, redaktor. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i podyplomowego edytorstwa na Uniwersytecie Pedagogicznym. Prekursor polskiego bizarro-fiction, horroru eksperymentalnego i grozy postmodernistycznej. Autor m.in. powieści *prawy, lewy, złamany* (2007), *Gęba w niebie* (2010), *Za pięć rewolta* (2011), *Punkt wyjścia* (2012) oraz *Kotku, jestem w ogniu* (2014), a także zbioru opowiadań *Makabreski* (2010). Tłumaczony na czeski i angielski, publikowany w licznych pismach oraz antologiach krajowych i zagranicznych. Jest także współtwórcą warstwy fabularnej do gry komputerowej *Get Even*, która miała premierę w pierwszym kwartale 2017 roku.